

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 2 (6)/2014

KGHM Polska Miedź S.A.

Egzemplarz bezpłatny
ISSN 2353-1304



fundacja
POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik wydawany przez Fundację Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.
ISSN 2353-1304

Redaktor Naczelny

Krzysztof Kulacz

Redakcja

Maria Kuncaitis, Krystyna Nikończuk, Zbigniew Szarmach, Jadwiga Wardach

Wydawca

Fundacja Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 76 747 81 23, fax 76 747 85 07
e-mail: k.kulacz@kgbm.pl
www.kghm.pl (patrz zakładka Fundacja Polska Miedź)

Druk

Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Poligrafia: 59-300 Lubin ul. Budziszyńska 6A

Nakład 3500 egzemplarzy

Fotografie ze zbiorów redakcyjnych i archiwalnych
W tekstach nadesłanych i przeznaczonych do druku Redakcja zastrzega sobie
prawo zmian i skrótów.

Okładka: Szampanem uczcili górnicy sukces zbijcia chodnika T-132 ZG Rudna z kopalnią Sieroszowice. Na zdjęciu od prawej: Jan Suski, naczelny inż. ZRG, Janusz Lipiński, dyrektor ZRG, Ryszard Ziara, przedstawiciel Zjednoczenia Kopalnictwa Rud, Kazimierz Maciejewski, kierownik oddziału PBKR Częstochow. W tle załogi ZRG i PBKR Częstochowa.

COPYRIGHT © BY FUNDACJA POLSKA MIEDŹ
ALL RIGHTS RESERVED • WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Słowo wstępne	7
Nie chciałem do PZPR – Witold Fuchs	9
„Kolaborowałem” z Sowietami – Franciszek Maria Kowalski	14
„Stonki” woziły fortuny – Marian Kaliciak	22
Geolodzy dla Polskiej Miedzi (cz. 2) – Wojciech Salski	26
Przeżyłem i wzroku nie straciłem – Tadeusz Stawski	34
Jak „rozgryzaliśmy” joy’a – Stanisław Leja	39
Zawsze tam, gdzie najtrudniej – Kazimierz Maciejewski	46
Doktor nauk miedziowych – Narcyz Michał Kunysz	52
Miałem być w pracy, a nie jestem – Tadeusz Madej	58
„Ogórkiem” po kraju – Bogusław Kubicki	63
Modłę się za dyrektora Jesionka – Wanda Michalec	68
Nie wolno było mówić o ąpaniach – Zbigniew Szabla	73
Siedziałem na dynamicie – Leon Gumiński	80
Fachowiec bez „papierów” – Lucjan Struski	85
Podejmowałam dobre decyzje – Izabela Kromplewska	89
Nie ma miejsca na kiepską prowizorkę – Jerzy Stąporek	93
Słyszał, jak trzeszczy strop – Andrzej Gryszka	100
Wciąż lubi nowe wyzwania – Jerzy Formago	104
Polubiłem duże „białe damy” – Ryszard Halczak	110
Cały czas na jednym oddziale – Ryszard Kędzierski	116
Szkolił pielęgniarki i piłkarki – Franciszek Hawryś	121
Słownik terminów	128

Wstęp

Przekazujemy Państwu szósty zbiór wspomnień: Miedziorysy. Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi. Wydawnictwo to jest efektem polityki społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR), realizowanej przez KGHM, która wyraża się troską o region, lokalne społeczeństwo i jego kulturową tożsamość.

Dzisiaj Nowe Zagłębie Miedziowe - region o ponad 50-letniej historii górnictwa rud miedzi i 60-letniej historii hutnictwa - doczekało się wielu naukowych opracowań oraz wydawnictw o charakterze kronikarskim i dokumentacyjnym. Jednak w tego typu publikacjach zazwyczaj pozostaje niewiele miejsca na przybliżanie losów ludzi, którzy ten przemysł budowali. Staramy się tę lukę wypełnić.

Nasi bohaterowie pochodzą z różnych środowisk, z różnych stron kraju, a nawet zza granicy; niektórzy mają za sobą dramatyczny bagaż doświadczeń wojennych. Są wśród nich absolwenci wyższych uczelni, technicy i inni fachowcy, a także ludzie spoza firmy w różny sposób związani z KGHM. Dla większości z nich Zagłębie Miedziowe jest spełnieniem życiowych oczekiwań. Chętnie opowiadają o trudach i niezmiernie ciekawych początkach pracy na Miedzi. Być może tu i ówdzie ich relacje będą odbiegały od oficjalnej faktografii. Niekiedy mogą się pojawiać pewne rozbieżności w odbiorze tych samych sytuacji przez różne osoby. Chodzi nam wszak o historię subiektywną, pisaną indywidualnymi biografiami ludzi, którzy budowali nie tylko przemysł, ale poprzez swoje doświadczenia i tradycje wyniesione z rodzinnych stron, wpływali również na kształtowanie się społecznej tożsamości regionu.

Odbieramy od naszych czytelników wiele pozytywnych opinii, wskazujących na duże zainteresowanie wspomnieniami. W szóstym zbiorze pragniemy zwrócić uwagę na biografie byłych pracowników ZG Rudna, które w sierpniu obchodziły 40-lecie. Na końcowych kartach tego wydania Miedziorysów umieściliśmy również informację na temat jubileuszu i kroniki, która ukazała się z tej okazji.

Redakcja

Kiedy jadę przez Iwiny, to serce mnie boli, nawet nie patrzę w stronę kopalni. 30 lat pracy i nic po nas nie zostało; budynek przeróbki opustoszały, powybijane okna. Całe moje produkcyjne życie poszło na złom.

*Witold Fuchs,
kierownik Zakładu
Wzbogacania Rudy.
Pracował w ZG
Konrad od 1953 do
1980 roku*



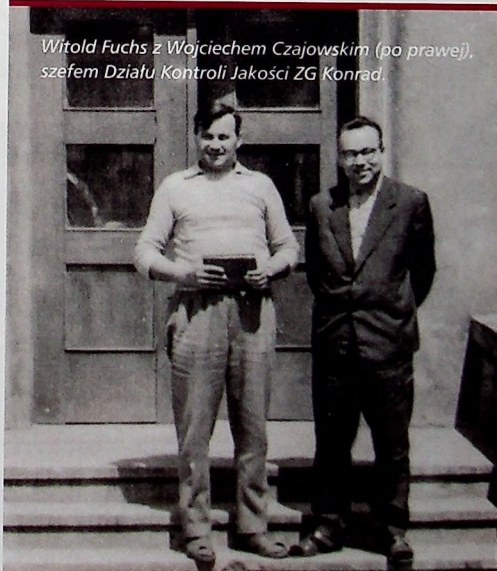
Nie chciałem do PZPR

Do Polski wyruszyliśmy ze Lwowa 17 września 1945 roku. W naszym wagonie było pięcioro młodych ludzi, którzy chcieli studiować. Kiedy zatrzymaliśmy się w Krakowie, poszliśmy na miasto rozpytywać o miejsca na uczelniach. Ale to było marzenie ściętej głowy, bo na jedno miejsce przypadało nawet po 10 kandydatów. Poradzono nam spróbować w Gliwicach, a najlepiej od razu udać się do Wrocławia, dokąd przeniosła się większość kadry naukowej z Politechniki Lwowskiej. I tak też zrobiliśmy. We Wrocławiu bez kłopotów zapisaliśmy się na politechnikę, egzaminów wstępnych nie było. Wystarczyło mieć tylko jakiegokolwiek dokumenty.

Mnie przyjęto na chemię, mimo iż nie miałem matury. Ukończyłem jedynie 10-latkę i ukraińską *Stadtlische Chemische Schule* we Lwowie. Jednak po pierwszym roku trzeba było zaliczyć egzaminy na poziomie maturalnym. Musiałem zdać: matematykę, język polski i geografę. Na pierwszym roku nauk zaczynało 73 studentów, a kończyło 100, bo dołączyli do nas koledzy ze zlikwidowanego wydziału hutniczego. Co pięć lat jeździłem na Zjazd

Pierwszych Absolwentów Politechniki Wrocławskiej. Wyjątkowo uroczysty I Światowy Zjazd Absolwentów odbywał się w 2010 roku, na 100-lecie założenia uczelni.

*Witold Fuchs z Wojciechem Czajowskim (po prawej),
szefem Działu Kontroli Jakości ZG Konrad.*



■ Kupił mnie Lautersztajn

Po studiach obowiązywał trzyletni nakaz pracy, ale mimo wszystko można było wybierać miejsce. Ja szukałem takiej pracy, która gwarantowałaby szybkie otrzymanie mieszkania, gdyż moja rodzina, łącznie z teściową, liczyła wówczas pięć osób. Jako absolwent chemii o kierunku spożywczym podlegałem Ministerstwu Przemysłu Spożywczego, ale nie mieli dla mnie odpowiedniej oferty z mieszkaniem. W końcu prof. Romer doradził, by jechać na giełdę pracy do Warszawy. Tam też było ciężko, mało kto oferował mieszkania. Giełda się kończyła, na sali został jedynie dyrektor Zakładów Górniczych Konrad Leon Lautersztajn i ja. Zwerbował już jednego inżyniera, ale potrzebował drugiego - w tym czasie w „Konradzie” było tylko 5 inżynierów. Zapytał, czy znam się na górnictwie. Odpowiedziałem, że miałem na studiach technologię górnictwej przeróbki i chętnie podejmę pracę w kopalni, pod

Do pracy w ZG Konrad w Iwinach zgłosiłem się w marcu 1953 roku, a w listopadzie wprowadziliśmy się do tego, wówczas służbowego, mieszkania. W całym ciągu szeregowych domków przy ulicy Dolne Młyny w Bolesławcu, tylko dwa nadawały się do zamieszkania, reszta była wypalona, wcale nie z powodu działań wojennych. Sowieci w obawie przed Niemcami, oświecali sobie w nocy okolicę, podpalając budynki. Cały Bolesławiec, łącznie z rynkiem, był bardzo zniszczony.

■ Koncentrat do Trzebinii

Na początku 1953 roku Zakład Wzbogacania Rudy, gdzie miałem pracować, nie był jeszcze gotowy. W Iwinach nie miałem nic do roboty, dlatego po załatwieniu formalności w kadrach, dyrekcja wysłała mnie na praktykę na Śląsk, do kopalni cynku i ołowiu Orzeł Biały. Tam, na przeróbce, przez trzy miesiące zapoznawałem się z procesami flotacji. (Później podobne praktyki odbywałem także w Czechach, na Węgrzech i w NRD). W tym czasie na „Konradzie” kończyli stawiać budynki pierwszego systemu flotacji. Znalazłem się w składzie komisji, która odbierała gotowe obiekty oraz zamówione maszyny i urządzenia techniczne: młyny kulowe, rurowe, maszyny flotacyjne, pompy, zgęszczacze. Po wstępnym rozruchu Wydział Przeróbki Mechanicznej oficjalnie uruchomiono na Barbórkę w 1953 roku. Ja zostałem zastępcą kierownika inż. Zygryda Piaseckiego.

Początkowo koncentrat nie był filtrowany, nie było też suszarni; wylewało się go

na płyty obok WPR, gdzie był odwadniany, potem ładowany do wagonów i część wysyłano do Huty Cynku i Ołowiu w Trzebinii. Tam wytapiali z niego miedź, srebro i nikiel - pamiętam, że srebra produkowaliśmy ok. 8 ton rocznie. Nikiel i złoto to był odzysk hutniczy, nam płacono za miedź i srebro. Wsad, czyli ruda miedzi, miała średnio 0,75% zawartości kruszcu, my na „Konradzie” wzbogaciliśmy ją do 15% - 18%, zależnie od jakości wsadu. Dziennie przerabiano się ok. 6 tys. ton rudy (w tym ok 1 tys. ton pochodzi-



*W swoim biurze
kierownika Wydziału
Przeróbki Mechanicznej.*

warunkiem, że otrzymam mieszkanie od ręki. Zapewnił, że jest taka możliwość. „A ile zarobię?” - chciałem wiedzieć. Na początek gwarantował 1500 zł. Warunki mi pasowały, więc dobiliśmy targu i Lautersztajn mnie „kupił”. Zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem w angażu, jak będą wyglądały moje zarobki, chodziło mi o proporcje składników płacy: zasadnicza, to było 935 zł, reszta dodatki; premia 40 proc. i karta górnika 5 proc. Dość szybko, bo już na Barbórkę, dostałem pierwszą podwyżkę: 1005 zł pensji zasadniczej.

ło z kopalni Nowy Kościół), co dawało 240 ton koncentratu na dobę.

Tuż po wojnie były plany, żeby w Wizowie rozbudować hutę na nasze potrzeby, tak jak zaplanowali Niemcy. Ale tam doszło do wybuchu

po kierunku przeróbka. Przy czym w 10-osobowej grupie było tylko 3 chłopców, reszta to dziewczyny. Zatrudnialiśmy je do nadzorowania pracy maszyn, nie była to robota ciężka, ale w miarę popłatna. Choć trzeba było się liczyć z uciążliwymi i stwarza-

jącymi zagrożenie warunkami. Niestety, wypadki się zdarzały. Do najpoważniejszego w skutkach doszło w trakcie prowadzenia doświadczeń nad odczynnikami. Wtedy rozrabiło się je w beczkach i wiadrami nosiło na trzecie piętro. W niedzielę, na popołudniowej zmianie, prowadzony był rozruch. Kobieta pochyliła się z wiaderkiem nad beczką, by zacerpnąć roztwór i prawdopodobnie się zatrula oparami. W niedzielę, przy okrojonej obsadzie zakładu, nie było łatwo o samochód i o lekarza; zmarła w szpitalu.

Lata 50. Witold Fuchs (trzeci z prawej) wśród członków delegacji z kopalni miedzi Balchasz z ZSRR.



i zniszczenia pieca. Ostatecznie w Wizowie powstała Fabryka Kwasu Siarkowego na bazie anhydrytu-gipsu z kopalni Nowy Łąd.

■ Babiniec z Kresów

Na dobre przeróbka ruszyła rok później, choć nie było wsadu w dostatecznej ilości. Cały tydzień gromadziło się rudę w magazynach, by przez następny ją przerabiać. A w kolejnym tygodniu - znowu przerwa. W czasie tych przerw odbywały się szkolenia z teorii i z praktyki, bo w większości załogę stanowiły młode kobiety z Kresów. O przemyśle nie miały pojęcia, nigdy nie stały przy maszynach. Odgłos włączanych maszyn, nagłe zgrzoty, piski, wzbudzały w nich przestrach. Jednym słowem, miałem na wydziale babiniec. Na flotacji, na głównym ciągu, pracowało 45 kobiet. Mężczyźni byli kierowani na cięższe stanowiska, do obsługi pomp, młynów. Kiedy w 1980 roku przechodziłem na emeryturę, na wydziale zatrudnionych było 530 osób.

Pierwszych wyszkolonych pracowników dostaliśmy dopiero w 1955 roku. Byli to absolwenci szkoły górniczej w Złotory

kiedy pracowałem, technologia wzbogacania rudy miedzi niewiele się zmieniała. Jedynie cały czas przeróbkę rozbudowywano, aż do początku lat 60. Oczywiście proces flotacji udoskonalano, wprowadzaliśmy nowe wydajniejsze odczynniki. Zwiększono także efektywność, kierując niektóre produkty do dalszej przeróbki, zamiast na odpady.

Maszyny i urządzenia ciągle były te same, które montowaliśmy w 1953 roku. I te same zostały sprzedane na złom, jak „Konrad” likwidowano w końcu lat 80. Kiedy jadę przez Włocławek, to serce mnie

Na terenie zakładu ze swoim zastępcą Ryszardem Puknielem.



boli, nawet nie patrzę w tamtą stronę. 30 lat pracy i nic po nas nie zostało; budynek zrujnowany, powybijane okna. Całe moje produkcyjne życie poszło na złom.

■ Poważny feler

Moja kariera zawodowa utknęła na szczeblu kierownika wydziału przeróbki mechanicznej, gdyż miałem jeden poważny feler - nie należałem do partii, ponieważ czerwona legitymacja nie bardzo mi pasowała. Kilka razy proponowano mi zapisanie się w szeregi PZPR, ale ja miałem stałą wymówkę.



Przed pochodem 1-majowym w Bolesławcu. Od prawej: Józef Erban, Stanisław Poremski, Stanisław Makos, Witold Fuchs. (Ostatni górnik nierozpoznany).

Wykręcałem się tym, że rodzina chodzi do kościoła, dzieci na religię i przystępują do komunii, a ja musiałbym się z tego powodu ciągle tłumaczyć.

Pewnego razu przyszli do mnie inżynierowie, którzy byli w „Konradzie” na stażu. Pytali, czy się zapisać do partii. Odpowiedziałem szczerze: Jak chcecie awansować, to koniecznie, a jak chcecie siedzieć, tak jak ja, cały czas na jednym stanowisku - to nie musicie. Pamiętam, że jednym z nich był Józef Szczurba, który w 1981 roku wrócił do „Konrada” jako dyrektor naczelny, ja w tym czasie byłem już emerytem.

Najlepiej pracowało się mi z dyrektorem Władysławem Lubochem, który dwukrotnie kierował kopalnią, w latach 50. i potem w 60. Był on także pionierem; budował nowe zagłębienie miedziane w Lubinie. Najgorzej ułożyły się mi stosunki z Alfredem Cholewiakiem, ostatnim dyrektorem, z któ-

rym przyszło mi współdziałać. Był do mnie uprzedzony. Na Barbórkę (nie pamiętam roku) wszyscy dostali nagrody, a ja - nie. Zapytałem Cholewiaka: „Dlaczego?”, a on coś tam pokrętnie tłumaczył. A powód był prosty. On wojował z dyrektorem technicznym, któremu podlegałem. Techniczny dawał mi jakieś dyspozycje, a gdy wychodziłem z jego gabinetu, to sekretarka miała polecenie od Cholewiaka, żeby od razu skierować mnie do niego. Zmieniał decyzję, ja początkowo posłuchałem, bo to on w końcu zarządzał całą kopalnią, ale efekt był taki, że techniczny mnie ochrzaniał za niewykonanie poleceń. W końcu powiedziałem naczelnemu, że jestem w pionie technicznym, nie administracyjnym i nie będę się stosował do jego dyspozycji. Szybko się zrewanżował, nie dając premii uznaniowej. Po osiągnięciu wieku emerytalnego, chciałem nadal pracować. Udało się to tylko przez rok, na kolejny nie dostałem zgody od naczelnego.

■ Nieźle się zarabiał

Z dyscypliną załogi było różnie. „Panie inżynierze - dzwoni do mnie pracownik przed rozpoczęciem dniówki - nie mogę przejść przez bramę...”. Wiadomo było, o co chodzi: napił się i przyszedł do pracy nietrzeźwy, a strażnicy go zatrzymali. „Masz nadgodziny?” - pytam. „Mam.” - odpowiada. „To pisz podanie o wolne za nadgodziny” - doradziłem. Był stranny, bo nadgodziny płacono dubeltowo, ale za to dniówkę miał zaliczoną. Tak się załatwiała ta sprawa, oczywiście tym, którzy nie byli notorycznymi obibokami. W tamtych latach dyscyplina musiała być poluzowana, bo wszystkie zakłady, szczególnie górnicze, cierpiały na braki kadrowe. Dlatego na niektóre wybruki pracowników trzeba było przyrękać oczy.

W kopalni nieźle się zarabiał. Żona też pracowała na „Konradzie”, była księgową z pensją 1200 zł; tak więc jedne pobory mogliśmy spokojnie odłożyć. Do tego dochodziły nagrody, nawet do tysiąca złotych, to był już niemały pieniądź w latach 50/60. Kiedyś, chyba był to 1955 rok, dostałem talon na motor ifa 250, który kosztował 15 tys. zł, były też



3 grudnia 2009 r. Spotkanie byłych pracowników ZG Konrad w UM Bolesławca. Po prawej W. Fuchsa - R. Pukniel.

rowery na talony, a dla pracowników na wysokich stanowiskach - samochody. Pierwsze swoje auto - warszawę, po 20 tys. km przebiegu, kupiłem w latach 50. od dyrektora technicznego. A pierwsze nowe auto - fiata 125p sprawiłem sobie dopiero w 1973 roku.

■ Pszczoły i działka

ZG Konrad miały dom wczasowy Barbarka w Świnoujściu. Żona co roku jeździła z dziećmi nad morze, a ja urlop wykorzystywałem na żniwa w gospodarstwie rodziców w Bolkowie. Ojciec miał 13 ha i pasiekę. Gdy umarł, pasiekę przywiozłem do Bolesławca.

Pszczelarstwo u nas, to zajęcie rodzinne. Dziadek ze strony ojca miał 100 pni, a ja pod okiem rodziców zacząłem wdrażać się w to rzemiosło po czwartej klasie szkoły podstawowej. Moje dzieci również pomagały w pasiece. Miód odstawialiśmy do spółdzielni, więc zawsze był z tego dodatkowy dochód w rodzinnym budżecie (Brat, który mieszkał we Wrocławiu, rów-

nież trzymał pszczoły.). Zatem miałem się czym zajmować na emeryturze. Poza tym przy domu uprawiałem 3-arową działkę, która też wymagała sporo pracy. W 2000 roku, po śmierci żony, sprzedaliśmy pszczoły. Mnie już sił brakowało, by się nimi zajmować, a nikt z rodziny nie miał ochoty przejąć pasieki.

Nikt też z najbliższych na dłużej nie związał się z górnictwem. Z czwórki dzieci (2 synów i 2 córki) tylko syn Zdzisław przez pewien czas pracował na kopalni. Najpierw na „Konradzie”, jako sztygar gospodarczy, potem w Lubinie, na dole ze swoim teściem w jednej brygadzie. Któregoś razu syn dostał rozstroju żołądka i nie zdążył na swój autobus. Do pracy przyjechał z opóźnieniem i od razu dowiedział się, że właśnie na jego oddziale tępnęło; teść zginął. Po tym zdarzeniu zrezygnował z górnictwa. ■

**Kiedys zacięły się dostawy
chłodnic z Francji. Kopalnie
domagają się maszyn, a my
wciąż czekamy na chłodnice.
Co robić? Rozpytuję wśród
zaprzyjaźnionych Rosjan,
okazuje się, że mają odpowiednie
chłodnice w swoich magazynach.
Przywieźli nam siedem sztuk
i ani grosza nie wzięli.**

*Franciszek Maria
Kowalski, główny
inżynier mechanik,
m.in. w ZG Lena, ZG
Konrad, dyrektor ZM
Legmet. Pracował
w górnictwie od
1955 do 1986 roku*



„Kolaborowałem” z Sowietami

Wojenna mroźna noc. Franuś ma około dziesięciu lat. Zziębnięty stoi od wieczora z wózkiem na węgiel w długiej kolejce przed kopalnią Renard w Sosnowcu. Ktoś litościwy woła go do strażnicy; tam dostaje gorącą zupę z brukwi. Jeszcze dziś pamięta, jak bardzo mu smakowała. Rano mama - pielęgniarka wracając z nocnego dyżuru w szpitalu wciska mu - nie wiadomo jak zdobytą - bułkę z kawałkiem kielbasy. Pochłania ją natychmiast. Przełykając ostatni kęs dostrzega wlepione w siebie dwie pary oczu. Wciąż je widzi i nie może sobie wybaczyć, że się nie podzielił bułką z małymi dziewczynkami.

Umierają najbliżsi. Ojciec ginie nie wiadomo w jakich okolicznościach, babcia - z głodu, wycieńczona mama też nie dotrwała końca wojny. W 1943 roku znalazł się w transporcie dzieci przeznaczonych

do germanizacji. W Niemczech komisja selekcyjna uznała, że kolor jego oczu nie spełnia rasowych wymogów. 13-letni Franek zostaje wysłany do pracy w stalowni w Trzyńcu niedaleko Cieszyna. Uliłował się nad nim jeden z pracowników Karol Szwarc i zabrał do pomocy w swoim gospodarstwie. Dobrze mu było u Szwarca, ale gdy we wsi pojawili się sowietcy zwiadowcy na koniach, zapytał ich, czy można już wracać do Polski? „A idź, gdzie chcesz” - usłyszał. Wziął plecak i ruszył w kierunku Sosnowca.

■ Leningrad zamiast Szwajcarii

Miał czternaście lat i jednego był pewien - musiał liczyć tylko na siebie. Przez jakiś czas mieszkał w Sosnowcu, w domu wybudowanym przez dziadków i uczył się w szkole podstawowej założonej

przez wujka Jana Kamińskiego. Usłyszał od kogoś, że były więźni obozu koncentracyjnego, niejaki Parylak, chce zdolnemu uczniowi zapewnić wykształcenie. Chętnych było wielu. Parylak zastosował swoisty sposób rekrutacji: kazał wszystkim położyć ręce na stół. Jego wybór padł na Franciszka Kowalskiego; on sam nie ma pojęcia, co Parylak dostrzegł w jego dłoniach. Stypendium pozwalało na naukę w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach. Ale Franek był uparty i lubił mieć swoje zdanie. Doszło do konfliktu, Parylak cofnął stypendium, bo podopieczny nie chciał się zapisać do Związku Więźniów Politycznych.

Co robić? Jak się utrzymać? Centralny Komitet Opieki Społecznej prowadził w Katowicach darmowy internat z wyżywieniem - mieszkał tam kolega z klasy. By się tam dostać, trzeba było należeć do Związku Walki Młodych. Franciszek nie miał wyboru, zapisał się. Uczył się doskonale i przez ministra Szkół Wyższych i Nauki Adama Rapackiego został wytypowany na studia do Szwajcarii, jako jeden z 20 uczniów z całego kraju.

- Mija miesiąc, półtora, a o wyjeździe nic nie wiadomo - opowiada pan Franciszek. - W szkole poradzili: „Jedź do Warszawy”. W ministerstwie dowiedziałem się, że trzy tygodnie temu 20 osób wysłano do Szwajcarii, także ...Franciszka Kowalskiego urodzonego w 1931 roku, tak jak ja. Od tamtej pory używam swojego drugiego imienia - Maria.

■ W slipach przez tajgę

Rapacki obiecał, że jak tylko pojawi się kolejna oferta zagranicznych studiów, on pierwszy ją dostanie. Przyszła, do Leningu. Jako Zagłębiak i lokalny patriota, postanowił studiować górnictwo. Na ostatnim roku skierowano go na praktykę do najlepszej w kombinacie Kizelugol brygady Timofiejewa. Na początek główny inżynier zabrał go na obchód kopalni. Gdy dotarli do przodka, gdzie pracowało dwóch górników, nagle tąpnęło. Zostali odcięci od reszty kopalni.

- Górnicy zachowali się nadzwyczaj przytomnie i profesjonalnie - chwali pan Kowalski. - Od razu przesunęli obudowę w stronę zawalu,

żeby wzmocnić strop. Dwie doby czekaliśmy na ratunek. Po tym zdarzeniu usłyszałem, że więcej do ich kopalni nie jadę, bo przynoszę pecha, pewnie chodziło im też o moje bezpieczeństwo. Martwiłem się, co z moją praktyką. „Pójdiesz z ekspedycją geologów w tajgę” - powiedzieli. Poszliśmy, a właściwie pojechaliśmy wierzchem na małych konikach. Gdy biwakowaliśmy przy ognisku nad rzeką Koźwą, dopływem Kamy, zaczęli mnie podpuszczać: „Słyszyliśmy, że jesteś dobrym pływakiem i grałeś w piłkę wodną. Ale tej rzeki nie przepłyniesz”. Byłem już po kilku kolejkach... W samych slipach wszedłem do wody, a rzeka ogromna, wartka. Zniosło mnie daleko od obozu. Wyszedłem na brzeg, szukałem miejsca, żeby przepłynąć z powrotem na drugą stronę, jak najbliżej obozu. Zobaczyłem ognisko i traperza z fuzją, wyglądał jak dziki człowiek.



Praktyki studenckie Franciszek Kowalski odbywał w kopalniach ZSRR.

wiek, coś do mnie mówił. Zrozumiałem tylko pytanie: „Ile kosztuje teraz głowa cukru?” Przestraszyłem się go. Pognąłem dalej i wszedłem do wody, by popłynąć do swoich. Zapadał zmrok, gdy usłyszałem odgłos silnika; po rzece sunął niewielki statek i reflektorami omiatał wodę poszukując więźniów zbiegłych z pobliskiego

łagru. Wyłowili mnie i na szczęście uwierzyli, że nie jestem łagiernikiem.

■ Chce do kopalni

Gdy w 1955 roku Franciszek M. Kowalski kończył studia w Głównej Szkole Górniczej, dostał trzy atrakcyjne oferty pracy w ZSRR, m.in. asystentury na uczelni. Ale ciągnęło go do Polski, choć miał już żonę Rosjankę i dwóch synów. Po powrocie, w Warszawie, zaproponowano mu stanowisko nadinspektora przeróbek mechanicznych w Ministerstwie Górnictwa i Hutnictwa. Ale jemu najbardziej zależało na mieszkaniu, gdyż chciał jak najszybciej sprowadzić rodzinę. Ministerstwo mieszkań nie dawało. Postanowił szukać pracy bliżej produkcji, gdyż tam była większa szansa na własne lokum. Wziął skierowanie do Katowic, do Zjednoczenia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych.

– Dyrektor Zjednoczenia Tadeusz Zastawnik powiedział: „Mam dla ciebie stanowisko inspektora ds. mechanicznych” – opowiada pan Kowalski. – Ja na to: „Chcę do kopalni.” „To do Orla Białego pójdziesz.” – zakończył rozmowę. Pojechałem na rozpoznanie, a tam potężna huta i kopalnia. Miałem zastąpić głównego mechanika, którego właśnie zamknęli, bo trzy tygodnie wcześniej był wybuch w piecu hutniczym. O nie – pomyślałem – to nie dla mnie! Przecież nie znam się na hutnictwie.

Poza tym, tam są sami ślázacy, ja Zagłębiak, w dodatku „ruski”. Dwa dni później odbywała się narada dyrektorów zakładów podległych zjednoczeniu. Zastawnik przedstawił mnie dyrektorom mówiąc, że przysłał mu z Warszawy tego oto inżyniera mechanika, górnika, elektryka w jednej osobie. „On chce do kopalni. Kto go weźmie?” – zapytał. Dyrektor Marian Kula z „Konrada” był chętny, obiecał mieszkanie, więc się zgodziłem. Po naradzie z całą ekipą ze starego zagłębia miedziowego wyruszyliśmy do Bolesławca. W połowie autostrady postój w knajpie. Podszedł do mnie dyrektor Mazur z „Leny”: „Jedź pan ze mną do „Leny”. Ma pan ruską żonę, ja – też, będzie im weselej.” – namawiał. „A mieszkanie?” – zapytałem. „Od ręki” – zapewnił. Co działo się później – nie pamiętam. Rano obudziłem się w mieszkaniu dyrektora Mazura w Złotoryi. Wkrótce dostałem swoje na ul. Górniczej. Sprowadziłem rodzinę. Żona szybko się w Polsce zaaklimatyzowała; pracowała w przedszkolu, uczyła rosyjskiego w szkole, potem prowadziła „Kamieńczyk”, ośrodek wczasowy Legmetu w Szklarskiej Porębie.

■ Kasperek i Kwaśny

– Na „Lenie” był tylko jeden inżynier mechanik, Niemiec – wspomina pan Franciszek. – Ja zostałem nadsztygarem na dole. Były tam osobne oddziały: mechaniczny i elektryczny. Kierowali nimi dwaj



Pierwsza połowa lat 70. Wizyta partyjno-rządowa w kombinacie. Od lewej: w białym kasku - Edward Gierek, czwarty - Piotr Jaroszewicz, za nim - Franciszek M. Kowalski, obok w kufajce - Włodzimierz Lejczak. Tyłem, w mundurze - Jan Stosiak.

wybitni fachowcy: mechanicznym Słazak Leon Kasperek a elektrycznym Wiktor Kwaśny, ale żarli się jak pies z kotem. Głowiłem się, co zrobić, by ich pogodzić, żeby współpracowali. Bo do awarii w kopalni powinno iść dwóch: elektryk i mechanik, gdyż nigdy nie wiadomo, który bardziej będzie potrzebny, a może obaj naraz. Chodzi również o czas, by awarię usunąć jak najszybciej. Przekonywałem wszystkich dookola, że oddział musi być połączony. I częściowo dopiąłem swego. Już jako główny inżynier ds. energomaszynowych połączyłem oba działy i warsztaty mechaniczne w jeden pion, na początek te powierzchniowe.

W „Lenie”, razem z Poloczkim, kierownikiem działu szybowego, inż. Kowalski zajmował się również pogłębianiem szybu i przebudową maszyny wyciągowej. Powszechne w użyciu były maszyny typu Koepe i bębnowe. We dwóch skonstruowali hybrydę – jedyną tego rodzaju maszynę w świecie, którą nazwali maszyną wyciągową z opasowanym bębnem.

■ Więźniowie ratują plan

W „Lenie” pracowali więźniowie z ośrodka pracy w Wilkowie. Niezwykły to był widok, gdy szli na szychę w towarzystwie oswojonych łań, które mieszały z nimi w ośrodku. Odprowadzały ich, a potem wracały za druty. Więźniowie przyzwyczaili je do zjadania papierosów. Jak łania zaczynała komuś obwąchać kieszenie, wiadomo było, że ma on papierosy.

– Największym pod względem wydobywania odziałem na „Lenie” kierował Parachimowicz. Większość jego składu stanowili więźniowie – mówi Franciszek Kowalski. – Gdy pod koniec miesiąca z kopalnianym planem wydobywania było źle, dyrektor zwracał się do mnie: „Pogadaj z więźniami.” Pogadałem: oni ostro brali się do roboty, a ja w nagrodę załatwiałem im film porno. Obie strony były zadowolone. Kiedyś widzę, że coś u nich jest nie tak, jacyś markotni chodzą. Pytam: „Co się dzieje, chłopaki?” Wołają mnie na bok i mówią, że na dole w kopalni umiera ich kolega. W czasie strzelania przodka odłamki poharały mu plecy. Nie ujawnili wypadku, bo bali się konsekwencji, a służby więzienne nie połapały się, że brakuje im człowieka. Leżał tam kilka dni, a oni wozili mu jedzenie i poili alkoholem. Zadzwońnię do dyrektora Cholewicka - naradziliśmy się. Karetką wysłaliśmy rannego do szpitala we Wrocławiu, nie ujawniając, że to więzień. Baliśmy się tylko, żeby nie został inwalidą,

bo wtedy wyszłaby sprawa odszkodowania i mieli byśmy poważne kłopoty.

Z „Leny” pan Franciszek pamięta zabawną historię z pracownikami o nazwisku Ciura, którzy zajmowali się deputatami. Mieszkał w Wilkowie i udzielał się w kościele: chodził w procesjach z krzyżem, nosił nad księdzem baldachim:

– Sekretarz partii kazał go zwolnić. Tylko za co, skoro był dobrym pracownikiem? „Panie Ciura, chce pan do mnie przejść? Będzie pan moją „sekreterką.” – zaproponowałem. Zgodził się. Ja byłem partyjny i na zebraniach czasem wygłaszałem referaty. Dawałem mu je do przepisania na maszynie. Miał opory, ale przepisywał, udzielając sobie rozgrzeszenia. Przeżegnał się i mówił: „Szef kazał, to grzechu nie będzie”.

■ Ptaki i krzaki

Po kilku latach w „Lenie” Franciszek Kowalski trafił do Zakładów Górniczo-Hutniczych koło Olkusza. Minister wymiół tam całą dyrekcję, bo nie mogła sobie poradzić z konfliktami wśród załogi. Katolicy rzymscy w Starczyńowie walczyli z katolikami polskimi o kościół i te nieporozumienia przeniosły się na zakład. Nowym dyrektorem został Włodzimierz Woźniczko, głównym inżynierem Władysław Luboch, a Kowalskiemu zaproponowano stanowisko głównego energomechanika. Tak oto wspomina ten okres w swoim życiorysie:

– Ludzie tam byli wspaniali, ale kradli jak jasna cholera, okoliczne domy zabudowano z tego, co im się udało wywieźć za bramę. Nagminne były przypadki rozbijania kloszy lamp i wykręcania żarówek. Kupiłem kilka kartonów żarówek i postawiłem przy bramie. Każdy wychodząc z zakładu mógł wziąć żarówkę, jednocześnie ostrzegłem, że jak złapię na rozbijaniu kloszy, to zwolnię, nawet jakby ktoś miał pięcioro dzieci na utrzymaniu. Posypały się skargi. W Komitecie partii powiedziano mi, że stosuję faszystowskie metody. Podobne zarzuty usłyszałem również wtedy, gdy w zakładzie ołowiu (wszyscy chorowali tam na ołowicę) próbowałem uświadomić ludziom, jak ważna jest profilaktyka: mycie rąk, twarzy i zębów przed wejściem na stołówkę. Ponadto usiłowałem wymusić, żeby posilił regeneracyjne zjadali na miejscu, a nie żywili nimi swoje rodziny.

Ale doczekałem się również pochwały od olkuskiego komitetu partii, który wysłał mnie na wieś, by przekonywać chłopów do kolektywizacji. Pojechałem w niedzielę, przy okazji chciałem za-

polować; do samochodu wzięłem pieska i strzelbę. W wiejskiej świetlicy pusto, bo wszyscy byli na mszy w kościele. Kilku mieszkańców podeszło do mnie, zagadnęli o polowanie i w końcu zwierzyli się, że mają kłopot, bo nie mogą uruchomić poniemieckiej maszyny do oprysku sadów. Z nudów poszedłem zobaczyć co z tą maszyną, zajrzałem do instrukcji (po niemiecku); wynikało z niej, że trzeba wyspać do maszyny proszek, a oni ten proszek mieszały z wodą. Maszyna zaczęła działać, ale na referat nie starczyło czasu. Potem usłyszałem w komitecie, że jestem najlepszym agitatorem, bo cała wieś mnie wychwalała.

Miejscowi olkuszanie mówili o nas, przybyszach - ptaki, o sobie, jako rdzennych mieszkańców - krzaki. No i jako ten ptak w 1964 roku odleciałem w kierunku Bolesławca. Ktoregoś razu dyrektor Luboch mówi do mnie: „Przenoszą mnie na „Konrad”, jedź ze mną.” Ten niezwykle kulturalny, elegancki człowiek był moim absolutnym idolem. W Bolesławcu czekało na mnie piękne mieszkanie: 4 pokoje, do tego garaż automatycznie otwierany. Do domu prowadziła aleja czerwonych kasztanów. Pracowałem w ZG Konrad parę lat, jako główny inżynier energomaszynowy. Bardzo dobrze wspominam ten czas.

■ Trzeba zwolnić Bluja

1 października 1966 roku Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego powołało Legnickie Zakłady Mechaniczne Przemysłu Metali Nieżelaznych w Budowie (późniejsza nazwa ZM Legmet). Z nakazu Franciszek Maria Kowalski został dyrektorem budowy tych zakładów. Bronił się przed tym awansem, bo oznaczał gorsze zarobki i organizowanie wszystkiego od podstaw. W końcu zgodził się, ale na własnych warunkach. Rynek pracy fachowców w Legnicy był już zagospodarowany przez hutę, kopalnię i duże miejscowe zakłady. Skąd wziąć ludzi do roboty? - dręczył się pytaniem. Jedynym wyjściem było, równocześnie z budową zakładu,

stawianie nowych bloków i remontowanie starych mieszkań. Dostał na to zgodę i środki. W tym samym czasie trwała rekrutacja; po 2 latach zebrał



*Dyrektor KGHM
Tadeusz Zastawnik
gratuluje odznaczenia
dyrektorowi Legmetu.*

już około 1,5 tys. pracowników, w tym prawie setkę z wyższym i średnim wykształceniem.

– Szukając kandydata na swojego zastępcę – opowiada – wpadłem na trop Mieczysława Bluja, byłego szefa produkcji Pafawagu we Wrocławiu, właśnie zwolnionego z pracy. W Kanadzie umierał mu ojciec. Pojechał, pochował ojca, a po powrocie wyrzucili go za to, że wcześniej nie zgłosił, iż ma rodzinę za granicą. Zaryzykowałem, dałem mu w Legnicy mieszkanie i powiedziałem, że ma zasłużyć w pracy, a z Urzędem Bezpieczeństwa to ja będę rozmawiał. (Ciekawe, że nigdy w żadnej sprawie bezpośrednio do mnie się nie zwrócili). Bluj był zastępcą fenomenalnym, ale spokoju z nim miałem. Po jakimś czasie zadzwonił dział kadr Zjednoczenia: „Bluja trzeba zwolnić!”, ja na to: „Znajdźcie mi lepszego, to go zwolnię”.

Jednego razu dyrektor Zastawnik z kombinatu zaprasza mnie na rozmowę. Proponuje dla ułatwienia współpracy włączenie Legmetu do KGHM. Zjednoczenie Górniczo-Hutnicze Metali Nieżelaznych, któremu podlegaliśmy, nie stawiało przeszkód, i tak w 1970 roku Legmet stał się częścią KGHM. Po roku Zastawnik zadzwonił do mnie:

„Trzeba zwolnić Bluja...”. Bronilem go mówiąc, że lepszego nie znajdę. Wkrótce problem się rozwiązał: Dyrektor Zastawnik przeniósł Mieczysława Bluję do wrocławskiego „Cuprum” na stanowisko głównego projektanta.

■ Kowalski - niepiśmienny!

Opieka nad maszynami na dole była marna; pozalowane olejem nieraz zapalały się, co stwarzało śmiertelne niebezpieczeństwo dla ludzi. Temat poruszono podczas wizyty w kombinacie Ministra Przemysłu Ciężkiego Włodzimierza Lejczaka. „Może Legmet by coś zaradził?” – zwrócił się do Kowalskiego minister. „Masz na to pół roku. Jak ci się uda, w nagrodę dostaniesz, co chcesz” – obiecał. Dyrektor Legmetu miał gotowe życzenie: „Chcę wolę diesel, z Belgii”. Nadarzyła się okazja, by wreszcie mieć porządne służbowe auto, bo do tego czasu korzystał z własnego samochodu.

– Zaczęliśmy główkować: Jak uchronić maszyny przed pożarami? – wraca do tamtych lat Franciszek M. Kowalski. – Słyszałem, że czołgi mają jakieś zabezpieczenia. Wiedzałem, że jeden z naszych inżynierów służył jako czołgista. (Ja nigdy w wojsku nie byłem, przez śmieszny przypadek. Po studiach zgłosiłem się do WKU. Pisarz wojskowy sprawdzał wykształcenie, krzycząc w stronę grupki rekrutów: „Kowalski! Piśmienne?” Ja rozśmieszony tym „piśmienne”, odrzknąłem odruchowo: „niepiśmienne!”. Nie miałem pojęcia, że odnotował na mojej karcie - niepiśmienny, co mnie uchroniło przed armią.). Zawołałem więc do siebie tego inżyniera czołgistę, on wyjaśnił, że w czołgu rzeczywiście jest specjalne zabezpieczenie p-poż. Wyprawilem go w delegację: „Masz tu forszę, jedź do jednostki, przywieź wszystko co potrzeba, kup albo daj łapówki, na popitkę też wystarczy”. Po paru dniach przywiózł potrzebne akcesoria. Trzy miesiące później wypuściliśmy pierwsze maszyny z zabezpieczeniem przeciwpożarowym.

■ Chłodnice za friko

Nieoficjalna współpraca legnickich zakładów ze stacjonującą w Legnicy Północną Grupą Wojsk Armii Radzieckiej dla nikogo nie stanowiła tajemnicy. Franciszek Kowalski był zaprzyjaźniony z pułkownikiem Depelianem, szefem centrali zaopatrzenia - mieszkali w tym samym budynku przy ul. Chojnowskiej.

– Handlowałem z nimi - mówi - na zasadzie wymiany usług. Taki przykład: Na odcinku pod

Legmetem wyremontowano drogę, nawierzchnia była tak gładka, że przy niesprzyjającej pogodzie, co rusz rozbijały się tam samochody i lądowały w rowie. W końcu poprosilem Rosjan, by przejechali po tej drodze swoimi ciężkimi sprzętem, dzięki temu stała się bardziej bezpieczna. W zamian pozwalaliśmy czerwonoarmiejcom korzystać np. z naszych warsztatów, gdy potrzebowali coś pospawać, czy wytoczyć na tokarce. Kiedyś zacięły się dostawy chłodnic z Francji. Kopalnie domagają się maszyn, a my wciąż czekamy na chłodnice. Co robić? Pytam Rosjan, okazało się, że mają odpowiednie chłodnice. Przywieźli nam 7 sztuk, i ani grosza im nie zapłaciłem.

■ Pokochałem tenis

Współpraca z Czerwoną Armią rozciągała się także na sport. Miasto nakłoniło Legmet do przejęcia nieczynnego teatru żydowskiego. Sztuk teatralnych legmetowcy nie zamierzali wystawiać, ale ulokowali tam drużynę bokserką. Byli mocni, dostali się do II ligi dzięki Rosjanom. Bo jak brakowało zawodników określonych wag, Kowalski dawał znać komu trzeba i przysyłali swoich żołnierzy - bokserów. Było to wygodne, bo klub nie musiał ich utrzymywać.

– Pojawiła się nawet szansa na I ligę – przypomniał sobie były dyrektor Legmetu – ale pomyślałem: Na jakiego diabła I liga w Legnicy, to zbyt kosztowne. Nie wziąłem Rosjan na mecz z Lubinem i zgodnie z planem - przegraliśmy. Ale najbardziej pokochałem tenis ziemny. Też za sprawą Radzieckich. Gdyby nie moje uszkodzone biodro, pewnie nadal bym biegał z rakietą po korcie. Pierwszy kort powstał na zapleczu mojego domu przy ul. Chojnowskiej. Tam się zaczął legnicki tenis, potem z Rosjanami załatwiłem trzy place koło ich budynków. Na moją prośbę ściągnęli do Legnicy świetnego trenera Borysa Kołomowa, który prowadził również naszych zawodników. Na tenisie ziemnym wychowało się wielu młodych legniczan, którzy potem w różny sposób (jako sparingpartnerzy, instruktorzy czy właściciele kortów) zawodowo związali się z tenisem.

■ Spiryтус dla generała

Raz podjął się roli tłumacza na polsko-rosyjskiej konferencji wojskowej. Trochę opierał się, bo nie znał militarnej terminologii. Przekonano go, że na pewno da sobie radę. Będzie potrzebny przez 15-20 minut, a potem w miarę kolejnych

toastów, sami szybko znajdą wspólny język. Tak też się stało, ale najpierw o mało nie doprowadził do zgonu generała.

– Siedział obok mnie potężny mężczyzna, pierś oblepiona medalami – wspomina pan Franciszek. – Każdy z nas miał przed sobą 2 szklaneczki po 150 g; w jednej czysty spirytus, w drugiej woda borżomi. Przestraszyłem się, bo nigdy nie piłem czystego spirytusu, dyskretnie zamienilem swój na wodę borżomi generała. Pierwszy toast – cyk! Ja gładko jedną wodę popijam drugą. Spoglądam na sąsiada – on cały purpurowy, siny, tchu nie może złapać, dusi się, bałem się, że za chwilę padnie. Gdy usiadł i po jakimś czasie doszedł do siebie, woła adiutanta i besza go: Ki czort spirytu nalił w miejsce wady!?

■ Narty pod Elbrusem

– Kiedyś dzwoni do mnie gen. Depelian z jakąś sprawą – ciągnie swoją opowieść pan Kowalski. – Mówię mu, że właśnie wybieram się na narty do Zakopanego. „A po co do Zakopanego?” – zdziwił się. – „Jedź do nas pod Elbrus, do ośrodka wojskowego”. Wcześniej był on szefem tego ośrodka. Pojechałem. Byłem jedynym Polakiem wśród Niemców i Francuzów. Jeździłem na stokach Czegetu. Warunki śniegowe fantastyczne, ale trasy kiepsko przygotowane, jedna była nawet zamknięta, bo ginęli tam narciarze. Widziałem piękne austriackie ratniki, ale były zepsute. Kiedy przyjechałem po raz drugi, już z żoną – nadal nie pracowały.

W pobliżu znajdowała się ogromna odkrywka wolframu i molibdeny. Dyrektor tej kopalni zaprosił mnie i żonę do siebie. A tam oczywiście przyjęcie na całego: przepyszna baranina w fantastycznym sosie, w kantine wszystkie piwa świata. Pojedliśmy, popiliśmy i w końcu dyrektor mówi: „Mamy problem z pana maszynami. Kupiliśmy ładowarki i teraz ludzie trują się w naszej odkrywce”, a była głęboka na jakieś 100 m. Mówię, że nasze maszyny pod ziemią chodzą i nikogo nie trują. Pokazują mi te maszyny, patrzę, a to fadroma, przystosowana

do robót powierzchniowych. Poradziłem żeby założyli katalizatory, my sprowadzaliśmy je z Francji. Zaproponowałem nawet, żeby przysłali kogoś do Legmetu, to wszystko wyjaśnię. Ale ostatecznie nikt się nie pojawił.

■ Zemsta sekretarza

W 1975 roku I sekretarzem KW PZPR w Legnicy został, przysłany z Gliwic, Stanisław Cieślík. Pan



Na emeryturze Franciszek Kowalski (po prawej) budował wyciąg narciarski w Świeradowie Zdroju.

Franciszek pamiętał go z kursu przygotowawczego, który prowadził dla kandydatów na studia do ZSRR, będąc już po pierwszym roku studiów w Leningradzie. Cieślík był jedynym, którego odrzucił, uznając, że się nie kwalifikuje. Cieślík chyba też zapamiętał Kowalskiego. Na naradzie dyrektorów legnickich zakładów polecił mu przebudowanie domu towarowego (dziś jest tam urząd skarbowy) na dom partii. „Towarzyszu sekretarzu, ja buduję maszyny, a nie domy” – skłamał z premedytacją. Wtedy dyrektor Halamski ze ZRM wybawił go z kłopotu, zgłaszając się do tego zadania na ochotnika. Kowalski już wiedział, że jego dni na stanowisku dyrektora Legmetu są policzone. Zaczęło się poszukiwanie haków, m.in. sprawdzano, czy nie brał lewych pieniędzy za wnioski racjonalizatorskie. Ale niczego nie znaleziono. Zastawnik chciał przenieść

go do Zanamu na zastępcę dyrektora, jednak to mu nie odpowiadało. Potem już z Warszawy dzwonił oferując takie samo stanowisko w Bełchatowie. Odmówił, bo na odkrywkiach się nie znał.

– W końcu Józek Szczęba, dyrektor ZG Lubin, dzwoni: „Franuś, chodź do kopalni na nadsztygara, zarobisz dwa razy więcej niż do tej pory”. To mi pasowało, trzeba było myśleć już o emeryturze, która nie zapowiadała się najlepiej – zwierza się pan Franciszek. – Nigdy specjalnie nie zabiegałem o zarobki i gdyby nie ta praca na „Lubinie”, dziś pewnie nie miałbym co do garnka włożyć. Rodzina nieraz mi wytyka, że po tylu latach na eksponowanych stanowiskach niczego się nie dorobiłem się.

Ale na „Lubinie” znowu dopadła go „matka partia”. Polecono mu wygłosić jakiś referat na Szybie Wschodnim. Niestety, na zebranie przyjechał Cieślík. I się zaczęło. „A co tu Kowalski robi na Lubinie?” – spytał zniechęcony.

– Nie chciałem – tłumaczy pan Franciszek – by Józek Szczęba miał przeze mnie kłopoty, więc zacząłem rozglądać się za robotą. Dyrektor KGHM Mirosław Pawlak mianował mnie na dyrektora ZBiPM „Cuprum” we Wrocławiu. Nie minęły trzy dni, kiedy Służba Bezpieczeństwa dopatrzyła się, że mój starszy syn Wiktor jest na liście internowanych – był szefem struktur krajowych szkolnictwa zawodowego NSZZ „Solidarność”. Musiałem odejść, ale w sumie byłem zadowolony, bo dość już miałem dyrektorskiego stołka.

■ Konie i kozy

Ostatecznie znalazł zatrudnienie w Okręgowym Urzędzie Górniczym we Wrocławiu, którym kierował Zbigniew Pochciał. Kontrolował składy materiałów wybuchowych w całym regionie, głównie w kopalniach odkrywkowych. W 1986 roku przeszedł na emeryturę i mógł więcej czasu spędzać w swoim gospodarstwie w Świeradowie Zdroju, gdzie hoduje konie i kozy. Wpadł wtedy na pomysł zbudowania wyciągu narciarskiego obok domu wczasowego Malachit. Zgłosił się do ZG Sieroszowice i zaproponował dyrektorowi układ, żeby go czasowo zatrudnił, a on w tym czasie postawi wyciąg orczykowy. Udało się to w ciągu jednego sezonu. Do tej pory pozostał wierny

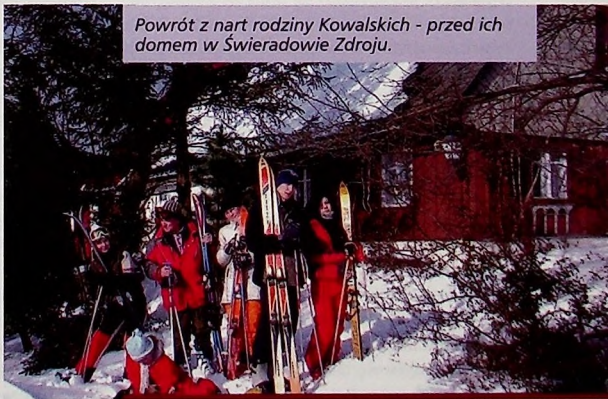
Z żoną w swoim gospodarstwie w Świeradowie Zdroju.



namtom i ma nadzieję jeszcze pojeździć. Nadal dba o kondycję: dwa razy w tygodniu: basen i sauna a codziennie nordic walking z psem po parku. Na diamentowe gody, które niedawno obchodzili z żoną, bez problemu założył mundur górniczy, który nosił jeszcze w Legnicy.

Z najbliższej rodziny tylko syn Michał był związany z Miedzią, pracował w Zakładzie Doświadczalnym. Wnukowie szukają już pracy z dala od domu. Najstarszy, Mateusz, jest prezesem na Europę w znanej w świecie firmie innowacyjnej. ■

Powrót z nart rodziny Kowalskich - przed ich domem w Świeradowie Zdroju.



Peesiaków wysyłano do najcięższych prac wykonywanych za pomocą łopat zwanych mandolinami. Między innymi ładowali rudę na taśmociągi. Wprawdzie płacono im niewiele, ale każdy dzień roboczy liczony był za dwa dni więzienia.

Marian Kaliciak,
rachmistrz w ZG
Lena, główny
księgowy
w ZG Polkowice
i w Zakładzie
Hydrotechnicznym.
Pracował w latach
1957 – 2005



„Stonki” woziły fortuny

Zanim Kaliciakowie przyjechali na Dolny Śląsk ze Lwowa, najpierw trafili do Strzelec Opolskich. Jednak czuli się tam obco wśród autochtonów. Ponadto nie byli zadowoleni z tego, że w bezpośrednim sąsiedztwie ich domu znajdowało się więzienie. Dlatego przenieśli się na zachód, pod Złotoryję, gdzie już osiedlili się ich krewni. W Jerzmanicach Zdroju rodzina Kaliciaków żyła z 3-hektarowego gospodarstwa, które w latach pięćdziesiątych próbowano na siłę kolektywizować. Jednak ojciec pana Mariana poznał na wschodzie kołchozy i wiedział już, czym to się może skończyć, dlatego przeciwstawił się naciskom władzy.

Na szczęście przed kolektywizacją uratowała rolników polityczna odwila po śmierci Stalina. Mimo to Kaliciakom, jak większości w tamtym czasie, nie żyło się łatwo. Dlatego pan Marian chciał się jak najszybciej wyrwać ze wsi.

■ Szybciej niż na komputerze

Do kopalni Lena przyjął się w sierpniu 1957 roku, nie miał nawet 18 lat. Był absolwentem leśniczkijskiej szkoły ekonomicznej.

– W księgowości, na „Lenie”, mieliśmy tylko papier, pióra i liczydła. Do dzisiaj liczę na nich szybciej, niż na komputerze – mówi z humorem Marian Kaliciak. – Nie zachowałem jednak tego historycznego urządzenia, bo podarowałem pewnemu choremu chłopcu, który lubił się nim bawić. Później dostaliśmy niemieckie a właściwie ponemieckie maszyny liczące Reimentaler. Mieliśmy tylko dwa takie urządzenia na całe biuro.

Krótko potem dostał się na Akademię Ekonomiczną we Wrocławiu. Zdążył postudiować kilka miesięcy i zmarła mu matka, w której miał oparcie. Pojawiły się kłopoty, gdyż ojciec nie był chętny jego nauce. Panu Marianowi brakowało

pieniędzy, przerwał więc studia i wrócił do „Leny” na dawne stanowisko rachmistrza.

■ Z mandoliną pod ziemią

Pensja rachmistrza, choć nie-wysoka, bardzo się w domu przy-dawała. Jak pamięta pan Marian, praca biurowa w tych latach nie była ceniona. Urzędników uważa-no za obiboków. Mówiło się, że nie nie robią, tylko kawę piją. Nawet inżynierowie zatrudnieni w biurze niewiele zarabiali.

– Urzędnik dostawał jakieś 1200, 1300 zł. Górnik zarabiał o wiele więcej, np. strzałowy brał około 4 tys. zł, a jeśli był superwy-dajny, nawet 5 tys. Z kolei dyrektorskie pensje niewiele różniły się od zarobków dobrego górnika – wyja-śnia Kaliciak.

W latach 50. i 60. na „Lenie” pracowali więźniowie, również polityczni. Nazywa-li ich peesiakami, czyli pracownikami specjalnymi. Peesiaków wysyłano do najcięższych prac wyko-nywanych za pomocą łopat zwanych mandolinami. Między innymi ładowali rudę na taśmociągi. Wprawdzie płacono im niewiele, ale każdy dzień roboczy liczony był za dwa dni więzienia. Doraźnie korzystano również z ich pomocy w księgowości, skąd przenosili setki kilogramów dokumentów do archiwum.

Szczególnie zapamiętał dwóch skazanych. Je-den to major, chciał zabić żonę, ale zastrzelili jej ko-chanka, bo ten zasłonił ją sobą. Na podpułkownika doniosła żona i go zamknęli, a ona odeszła do inne-go. Niektórzy więźniowie po odpracowaniu wyro-ku znajdowali zatrudnienie na „Lenie”.

■ Mieszkanie w ciemno

Pan Marian poznał wszystkie działy księgowo-ści i stopniowo awansował. Po katastrofie w Lwi-nach przeniesiono go do Zjednoczenia Górnico-Hutniczego Metali Nieżelaznych w Katowicach. Pracował zwykle w delegacjach, kontrolując księ-gowość zakładów podległych zjednoczeniu. Ale jak mówi, było to zajęcie dla samotnego człowieka, bo wyjazdy trwały po kilka miesięcy. Żona pana Ma-riana zarzucała mu, że zaniedbuje rodzinę. Mówiła: „Córka boi się ciebie, jak obcego”.



Marian Kaliciak na po-chodzie pierwszoma-jowym w Polkowicach w 1978 roku.

– Na początku 1969 roku przyjechałem służ-bowo do Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego (SOWI) i tu natknąłem się na Tade-usza Babisza, wtedy dyrektora ZG Polkowice, któ-rego poznałem w zjednoczeniu. „Co tu robisz, Marian?” – zapytał. Kiedy dowiedział się, że wciąż jestem zatrudniony w Katowicach i przyjechałem na kontrolę, rzucił: „Przejdź do mnie, potrzebuję człowieka, który zna się na placach”. Następnego dnia przysłał po mnie samochód. Kiedy już sie-działem u niego w gabinecie, powiedziałem: „Panie dyrektorze, ale ja nie mam mieszkania”. „Dach nad głową masz od zaraz w Polkowicach” – zareago-wał natychmiast. „Wolałbym w Głogowie, bo tam założyłem książeczkę mieszkaniową” – upierałem się. Do Lubina też nie chciałem, bo kojarzył mi się z wioską. Gdy w połowie lat 50. przyjeżdżałem tam na mecze piłkarskie, widziałem pasące się krowy w miejscu, gdzie później zbudowano dworzec PKS. Dyrektor był niezadowolony, że broniłem się przed Polkowicami, bo chciał mieć pracowników pod ręką. Ponadto mieszkania stały tam puste i kopal-nia płaciła za to karę. W końcu ustąpił. Po krótkiej rozmowie zapytał, ile mam dzieci? Odpowiedzia-łem, że jedno. Przywołał kierownika mieszkaniów-ki i powiedział: „Dwupokojowy lokal w Głogowie na pierwszym piętrze dla tego pana”. Wyszedłem z gabinetu z kluczami do M-3, którego wcześniej nawet nie obejrzałem.

Gdy urodziło się nam drugie dziecko, otrzymałem trzypokojowe mieszkanie, choć wówczas, nie rozdawano ich już tak łatwo, jak pod koniec lat sześćdziesiątych.

■ Sądny dzień

W ZG Polkowice Marian Kaliciak zajął się na początek uporządkowaniem organizacji pracy. W tamtych czasach księgowe pomyłki i tym samym reklamacje, zdarzały się często. Stopniowo jednak wszyscy nabierali wprawy i błędów było coraz mniej.

– Dawniej gotówkowy obrót pieniędzmi był powszechny, dlatego 15. każdego miesiąca kopalnie przeżywały sądne dni. W „Polkowicach” wypłaci-

deskę skrzynki i ukradł 4 koperty z wypłatami dla górników. Wtedy zablokowałem i powiedziałem mu, że ludzie z okien naprzeciwko wszystko widzieli. Kiedy księgowy obiecał, że nie zawiadomi policji, robotnik oddał pieniądze.

Przez wszystkie lata w księgowości pan Marian nie miał żadnych kłopotów z podwładnymi. Także w działach, którymi kierował, nie doszło też do żadnych finansowych afer.

W ZG Polkowice z czasem awansował i został głównym księgowym.

■ „Dziobie” do dzisiaj

Doświadczenie w organizowaniu służb finansowych bardzo się przydało, gdy z „Rudnej” wydzie-



W dobrym nastroju na jednej z corocznych Barbórek.

śmy pensje około 6 tysiącom zatrudnionych. Banknoty zapakowane w worki i walizki przywożono ciężarówką, zwaną stonką. Trzeba było je powkładać do imiennych kopert uważając, by się nie pomylić. Jeśli zostało lub zabrakło choćby kilku złotych, kasjerki od nowa przeliczały zawartość wszystkich kopert, a był to ogrom pracy. Musieliśmy się pilnować, gdyż wielu górników nie znało się na matematyce, jednak pensję wszyscy potrafili wyliczyć sobie co do grosza – zaznacza. – Ale nieuczciwych także wśród pracowników nie brakowało.

– Pamiętam, jeden z robotników wykorzystał chwilę nieuwagi kasjerki, podważył śrubokrętem

lono Zakład Hydrotechniczny. Wtedy pan Marian został w tym zakładzie pełnomocnikiem do spraw organizacji księgowości.

Kiedy odchodził z „Polkowic”, wkraczała tam komputeryzacja, a gdy kończył zatrudnienie w Zakładzie Hydrotechnicznym, systemy informatyczne już zintegrowano w ramach KGHM.

– Dziś na monitorze ma się firmę, jak na dłoni, a ludziom z księgowości odpada ogrom żmudnej pracy – podsumowuje pan Marian.

– Przypomniałem sobie służbową wizytę w Austrii w latach 80., kiedy doznałem lekkiego szoku. Księgowy tamtejszej kopalni włożył do urzędze-



Pożegnanie odchodzącego na emeryturę Mariana Kaliciaka.

Od lewej byli dyrektorzy Zakładu Hydrotechnicznego: zastępca ds. finansowych Ryszard Kuraśński, zastępca ds. technicznych Teodor Habura, Marian Kaliciak i były dyrektor naczelny ZH Wojciech Maślanka.

nia stojącego w holu kartę i wyjął wypłatę. My w tym czasie byliśmy na etapie kopertowania i przewożenia pieniędzy w workach. Jednak pozwoli ten postępek dotarł i do nas.

Chociaż funkcjonowanie księgowości przeszło rewolucję, a praca w niej jest o wiele ciekawsza i łatwiejsza, dzieci Mariana Kaliciaka nie poszły w jego ślady.

– Kiedyś syn zapytał mnie: „Tato, jak ty możesz tak dziobać i dziobać?” I dodał: „Mnie papiery nie interesują, mnie ciekawi technika”.

Znalazł pracę w dozorze telekomunikacyjnym w ZG Polkowice. Córka natomiast jest fizyko-terapeutką w Miedziowym Centrum Zdrowia w Głogowie – opowiada pan Marian.

Po przejściu na emeryturę w 2005 roku, nie przestał „dziobać”. Jest społecznym wiceprezsem w legnickim Oddziale Okręgowym Stowarzyszenia Księgowych w Polsce oraz w Polskim Związku Ogródków Działkowych „Konwalia”. Obie organizacje za dobrą pracę wyróżniły go złotymi krzyżami. ■

Realizacja prac z zakresu geotechniki wymagała często dużego wysiłku fizycznego, związanego z pobieraniem próbek skał, zwykle o znacznej masie oraz z transportowaniem różnych urządzeń do wykonywania badań bezpośrednio w wyrobiskach górniczych. To wszystko trzeba było przenieść na własnych plecach. W Stacji Badawczo-Doświadczalnej Geologii zatrudnialiśmy kilku pracowników fizycznych, którzy m.in. wykonywali tego typu zadania.

*Wojciech Salski,
z-ca geologa
KGHM w Zakładzie
Doświadczalnym
oraz ZBiPM Cuprum.
Pracował w latach
1960 – 1982*



Geolodzy dla Polskiej Miedzi (cz.2)

■ Badania mechanicznych własności skał

Dla wielu rozwiązań technicznych w początkach budowy kopalni, ogromne znaczenie miały prace realizowane w Pracowni Geotechniki kierowanej przez Narcyza Kunysza, nazywanego przez nas powszechnie – Cziem. Najważniejszą rzeczą w pierwszym okresie było skompletowanie urządzeń umożliwiających prowadzenie badań laboratoryjnych własności mechanicznych skał. Do badań wytrzymałościowych zakupiona została prasa o nacisku 20 t z rejestratorami pisakowymi. Ponadto pracownię wyposażono w piłę diamentową do wycinania próbek kostkowych oraz wiertarkę

z koronkami diamentowymi dla przygotowywania próbek walcowych. Rozpoznanie geomechanicznych własności skał złożowych i otaczających złoża obejmowało określenie wytrzymałości doraźnej na ściskanie, rozrywanie i zginanie oraz wielu innych parametrów.

Obok oznaczania podstawowych parametrów wytrzymałościowych N. Kunysz podjął badania technologicznych własności skał, których znajomość jest niezbędna przy rozwiązywaniu wielorakich problemów w górnictwie. Obejmowały one określenie nośności spągu w wyrobiskach górniczych, zwięzłości skał, ścieralności, ścierności,

kruszalności oraz ciężaru nasypowego. Nośność spągu oznaczająca odporność skał na obciążenie powierzchniowe w przypadku budowanych kopalń rud miedzi odgrywała szczególną rolę, ze względu na powszechne stosowanie maszyn oponowych i gąsienicowych. Badania przeprowadzone w wyrobiskach górniczych wykazały, że niedostateczną nośność dla ciężkich maszyn mają niższe partie piaskowców białego spągowca.

Dla oceny stopnia zużywania się części urządzeń wierzących, ładujących i odstawczych w kopalni oraz kruszarek i młynów w przeróbce mechanicznej, prowadzone były w Pracowni Geotechniki badania własności ściernych skał. Jest to właściwość minerałów budujących skałę do ścierania urządzeń lub ich części w trakcie eksploatacji. Największą ściernością w profilu złoża charakteryzują się piaskowce, a wielokrotnie mniejszą dolomity. Dla potrzeb technologii urabiania złoża oraz rozdrabniania rudy w procesie przeróbki mechanicznej N. Kunysz prowadził badania nad zwiążnością i kruszalnością skał. Pozwoliły one na

Realizacja prac z zakresu geotechniki wymagała często dużego wysiłku fizycznego, związanego z pobieraniem próbek skał, zwykle o znacznej masie oraz z transportowaniem różnych urządzeń do wykonywania badań bezpośrednio w wyrobiskach górniczych. To wszystko trzeba było przenieść na własnych plecach. W Stacji Badawczo-Doświadczalnej Geologii zatrudnialiśmy kilku pracowników fizycznych, którzy m.in. wykonywali tego typu zadania. Cyziek, który był zawsze człowiekiem niezwykle dobrodusznym, a przy tym dość mizernej postury, choć wielkiego serca i umysłu, większość rzeczy dźwigał sam, a silni chłopcy przemieniali się wyłącznie w osoby towarzyszące. Ale kopalnia to nie pustynia i od czasu do czasu ktoś zauważał tę przedziwną karawanę. W efekcie Fredek Z. jako szef Stacji przeprowadził „rozmowę wychowawczą” najpierw z Cyziem, a następnie z pracownikami fizycznymi i podział pracy wrócił na właściwe tory.

■ **Badania mineralogiczno-petrograficzne**

Organizowaniem pracowni mineralogicznej

zajął się Jan Jarosz wkrótce po rozpoczęciu pracy w KGHM, w styczniu 1964 r. W początkowym zamysśle komórka ta sytuowana była w dziale geologicznym kombinatu, później gdy zrodził się pomysł utworzenia oddzielnej placówki badawczej uznano, że najważniejszym rozwiązaniem będzie zlokalizowanie mineralogii w jej obrębie. Jak zwykle trzeba było zacząć od określenia niezbędnego wyposażenia pracowni i złożenia zamówień, bowiem w tamtym okresie czas oczekiwania na ich realizację był z reguły bardzo długi. Dostawy aparatury optycznej i urządzeń następowały sukcesywnie już w okresie istnienia ZBiD. Na wypo-



Michał N. Kunysz podczas jednej z konferencji w 2005 roku.

ilościowe określenie tych parametrów i stwierdzenie, że w przypadku zwiążności najwyższymi wartościami charakteryzują się wapienie i dolomity, a najniższymi dolna część piaskowców. Natomiast w odniesieniu do kruszalności sytuacja jest dokładnie odwrotna.

sażenie składały się mikroskopy, urządzenie do planimetrowania, szlifierka i polerka oraz piła tarczowa. Osobnym problemem było znalezienie osoby, którą można by przyuczyć do wykonywania szlifów mikroskopowych w świetle przechodzącym i odbitym. Wybór padł na Tonisławę Wolak,

mieszkanekę Lubina, która wcześniej pracowała w handlu i mimo, że nie były znane predyspozycje kandydatki, to jej zatrudnienie okazało się niezwykle trafne. Przygotowanie do nowego zawodu było jednak bardzo trudne, bowiem nie funkcjonowały zorganizowane ośrodki, czy też kursy, które uczyłyby wykonywania szlifów do badań mineralogicznych i petrograficznych. Jedyną możliwość stwarzało oddanie T. Wolak „na naukę” do wykwalifikowanego szlifierza w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Rychło jednak okazało się, że „mistrz” po przekazaniu podstawowych zasad wykonywania zawodu niechętnie zdradza tajniki sztuki poznane w okresie wieloletniej praktyki i te, zainteresowana musi zdobywać w analogiczny sposób. Nie wiedziała Tonia wówczas, że przepracuje w tej profesji 38 lat.

W początkowym okresie kiedy J. Jarosz dysponował już mikroskopem, a nie funkcjonowało jeszcze w całości wyposażenie laboratorium, wykonywanie szlifów mikroskopowych zlecane było do Przedsiębiorstwa Geologicznego w Krakowie. Badania koncentrowały się na rozpoznawaniu składu petrograficznego poszczególnych warstw w profilu złoża oraz charakteru i intensywności mineralizacji kruszczowej, głównie miedzi, ołowiu, cynku i srebra. Materiałem dla analizy mikroskopowej były próbki rudy pobierane w wyrobiskach górniczych. W miarę gromadzenia co raz obszerniejszego materiału analitycznego Jarosz podejmował badania ukierunkowane na rozwiązywanie określonych problemów. Przedmiotem zainteresowania były m.in. liczne w łupkach miedzionośnych, drobne żyłki siarczków miedzi i znacznie rzadsze, lecz z większym zasięgiem w dolomitach. Dostarczyły one szeregu interesujących informacji na temat różnorodności jakościowej mineralizacji i sukcesji minerałów w trakcie wtórnych procesów zachodzących w złożu. Obok czterech podstawowych metali; miedzi, ołowiu, cynku i srebra, przedmiotem badań

kruszcowych były również minerały kobaltu, niklu, arsenu, antymonu, molibdenu i uranu.

Kilkuletnie prace badawcze ujawniły obecność w złożu wielu minerałów kruszczowych, nieznanych dotychczas z etapu dokumentowania złoża. J. Jarosz, już w początkach swoich prac odkrył występowanie minerałów miedziowo-srebrowych, jak np. stromeyerytu, a także minerałów arsenu, kobaltu, niklu, molibdenu, antymonu oraz uranu.

W trakcie lat pracy w Zakładzie Doświadczalnym, Jarosz zgromadził ogromny materiał obserwacyjny. Panowało powszechne przekonanie, że można było na nim zrobić kilka doktoratów, jednakże prowadzenie ciągle nowych badań uniemożliwiło naszemu koledze skupienie się na określonej grupie zagadnień. To bogactwo zebranych informacji mineralogicznych można było zawdzięczać wielkiej pracowitości i systematyczności Janka.

Poza badaniami mineralogicznymi ukierunkowanymi na rozpoznanie okruszcowania w złożu, podjęte zostały, dla Zakładu Doświadczalnego Przeróbki Mechanicznej, prace dotyczące produktów flotacji. Obejmowały one określenie udziału głównych minerałów miedzi: chalkozynu, bornitu, chalkopirytu i kowelinu oraz wielkości ich ziaren. Analiza mikroskopowa dotyczyła nadawcy (rudy), koncentratu i odpadów flotacyjnych. Uzyskane wyniki były wykorzystywane przy doskonaleniu

Krystyna Salska w trakcie badań mikroskopowych produktów flotacji.



procesów technologicznych flotacji dla zwiększenia zawartości miedzi w koncentracie, zwiększenia odzysku miedzi i srebra oraz zmniejszenia strat w odpadach. Od 1969 r. tego rodzaju badania mineralogiczne prowadziła K. Salska.

W 1967 r. do Pracowni Mineralogicznej przyjęta została Dorota Puchlik, absolwentka geologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Jej mąż – inżynier mechanik – zatrudniony był w Stacji Mechanizacji Górnictwa. Było to młode sympatyczne małżeństwo, które zamierzało urządzić się w Lubinie, jak wiele im podobnych. Jednakże ich losy potoczyły się zupełnie inaczej. Jan Puchlik miał pochodzenie żydowskie, a w związku z tym po 1968 r. nie mógł normalnie funkcjonować w Polsce. Po pewnym czasie został zwolniony z pracy i na terenie gdzie istniały liczne przedsiębiorstwa budujące kombinat nie mógł jej znaleźć, będąc inżynierem mechanikiem. Dopiero przy trzeciej próbie zrozumiał, że został objęty specjalnym programem z etykieta „syjonista”, sterowanym przez władzę. Ostatecznie znalazł zatrudnienie jako pracownik fizyczny w prywatnym warsztacie samochodowym. W kilka miesięcy później została zwolniona z pracy Dorota, ponieważ zgłosiła akces wyjazdu za granicę razem z mężem. Było to dla nas w zespole geologicznym duże przeżycie, bowiem byliśmy zżyci i lubiliśmy Dorotę, a ponadto mieliśmy poczucie wielkiej krzywdy i niesprawiedliwości.

■ Badania geofizyczne

Pracownia Geofizyczna kierowana przez Mirka Kazimierczyka koncentrowała swoją działalność na następujących zagadnieniach: bezpośrednie (in situ) oznaczanie zawartości miedzi w złożu metodą fluorescencji rentgenowskiej, zastosowanie sejsmiki młotkowej do prześwietlania calizny górotworu, określenie oporności elektrycznej skał w wyrobiskach górniczych oraz obsługa stacji sejsmicznej.

Prowadzone od 1963 r. przez Instytut Techniki Jądrowej AGH prace nad bezpośrednim oznaczaniem zawartości miedzi w złożu wykazały, że najbardziej przydatną jest metoda radioizotopowej fluorescencji rentgenowskiej. Badania nad zastosowaniem jej w złożu lubińskim podjął Mirek K. w Zakładzie Doświadczalnym od 1967 r. Zakupiony został w Anglii przenośny analizator fluorescencyjny, na który składał się przyrząd rejestrujący oraz sonda pomiarowa. Pomiary w kopalni wykonywano równolegle z pobieraniem próbek bruzdowych. Uzyskane wyniki w dość istotny sposób odbiegały

od rezultatów klasycznej metody opróbowania i analizy chemicznej. Największą zbieżność osiągnano w piaskowcach, ze względu na występowanie w tych skałach równych powierzchni i największy udział okruszczenia rozproszonego. Niezadawająca dokładność, ale w znacznej mierze także silny tradycjonalizm spowodowały, że dalsze badania zostały zaniechane. Z perspektywy lat nasuwa się wniosek, że była to decyzja pochopna i kontynuowanie badań oraz doskonalenie metody mogło przynieść znaczną poprawę wyników.

W maju 1967 r. w kopalni Lubin, M. Kazimierczyk podjął badania własności geomechanicznych skał „in situ” z zastosowaniem sejsmiki młotkowej. Metoda polegała na sztucznym wywoływaniu, poprzez uderzenie młotkiem w ocios, drgań sprężystych, a następnie rejestrowanie ich przebiegu, dokładnym określeniu ich przebiegu oraz rejestracji amplitud i częstotliwości drgań. W trakcie badań stwierdzono, że wiarygodne wyniki uzyskuje się jedynie w przypadku kiedy miejsce uderu tworzą skały lite, nie spękane.

Już w trakcie rozpoznawania i dokumentowania złoża wypowiadany był przez wielu specjalistów pogląd, że w przyszłych kopalniach rud miedzi będą miały miejsce zjawiska tąpni. To przypuszczenie wiązało się z występowaniem powyżej złoża kompleksu skał wapienno-dolomitowych i anhydrytowych, które ze względu na wysokie parametry wytrzymałościowe, posiadają zdolność kumulowania naprężeń wywołanych eksploatacją górnictw. W związku z tym w lutym 1967 r. w budynku D-21 w kompleksie zabudowań KGHM zainstalowano sejsmograf z jedną składową pionową, wypożyczony z Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk. Obsługa stacji sejsmicznej należała do Pracowni Geofizycznej Zakładu Doświadczalnego, natomiast sejsmogramy były własnością Instytutu Geofizyki i w nim dokonywano interpretacji wyników. W późniejszym okresie uruchomione zostało pełno składowe stanowisko sejsmografu, które stwarzało nieporównywalnie większe możliwości rejestrowania wstrząsów.

Początkowo, ze względu na niedoskonałość aparatury, rejestracja nie stwarzała możliwości na wiarygodne wnioskowanie. Niejednokrotnie poziom zewnętrznych zakłóceń był wyższy od impulsów sejsmicznych, co niezmiernie utrudniało interpretację. Pierwsze wyraźniejsze wstrząsy miały miejsce w 1969 r. w efekcie eksploatacji doświadczalnej w rejonie szybu wschodniego kopalni

„Lubin” i związanego z nią załamywania się stropu nad częścią złoża o powierzchni ponad 4 ha. Ilość wstrząsów oraz ich intensywność zwiększały się w miarę rozwoju eksploatacji. M. Kazimierzczuk wytrwale dążył do zbudowania sieci sejsmologicznej, która w pełni umożliwiałaby rejestrowanie zjawisk wstrząsowych oraz określenie ich lokalizacji i przyczyn, analogicznie jak ma to miejsce w Górnśląskim Zagłębiu Węglowym. W 1971 r. we współpracy Pracowni Geofizyki ZD z Instytutem Geofizyki PAN uruchomiono pierwszą aparaturę sejsmologiczną opartą na rejestracji zapisów na papierze fotograficznym. W 1972 r. miało miejsce pierwsze w LGOM tąpnięcie w kopalni „Polkowice” o energii 4,4 - 107 J odczuwalne przez ludzi zarówno w wyrobiskach podziemnych, jak i na powierzchni Ziemi. Fakt ten ewidentnie przyspieszył nie tylko zakładanie sieci sejsmologicznej dla potrzeb górnictwa rud miedzi, ale także szeroką działalność badawczą i obserwacyjną, zmierzającą do zmniejszenia zagrożenia od dynamicznych przejawów ciśnienia górotworu.

W realizacji badawczych prac geofizycznych Mirek wykazywał dużo uporu, co w różnych nowatorskich poczynaniach było bardzo pozytywnym rysem charakteru. Miał również jeszcze inną cechę, a mianowicie ogromną zapobiegliwość. Dotyczyła ona materiałów i osprzętu niezbędnego do badań geofizycznych, jak kable, złączki i tp., ale także rzeczy określanych ogólnie jako materiały piśmienne. Wszystkie zamówienia zatwierdzał Fredek jako szef Stacji, ale fakt ten poprzedzały długotrwałe „targi” z Mirkiem. Pewnego dnia byliśmy z Fredkiem w Pracowni Geofizyki i podczas naszej wizyty otworzyły się drzwi jednej z szaf, ukazując naszym oczom nieprzebrane zapasy „różnorakich towarów” umożliwiających przetwarzanie długotrwałego obciążenia. Od tego momentu zatwierdzanie zamówień stało się dla Mirka znacznie trudniejsze.

■ Wizyta u I sekretarza

W 1968 r. kopalnie „Lubin” i „Polkowice” zostały oddane do eksploatacji. Jak było to przyjęte w tamtych czasach, wydarzenie biegło się ze Świętem 22-lipca. 25% docelowego wydobycia obydwu zakładów górniczych uzyskały w grudniu 1968 r. W tym czasie zakończono głębienie dziesięciu szybów, w budowie pozostawał ostatni szyb L-II kopalni Lubin. Wydobycie rudy uzyskiwano z doświadczalnego oddziału ścianowego i filarowo-komorowego. W czerwcu w rejonie szybów głównych kopalni

Polkowice rozpoczęto roboty górnicze dla przygotowania oddziału eksploatacyjnego G-II.

18 lipca 1968 r. przyjęta została przez Władysława Gomulkę 15-osobowa delegacja, która oficjalnie informowała o oddaniu kopalni do ruchu. W składzie personalnym delegacji uwidaczniał się pewien dualizm. Jedną część reprezentowali działacze partyjno-rządowi w osobach: Ministra Przemysłu Ciężkiego, przewodniczącego rządowej komisji do spraw Legnicko-Głogowskiego Okręgu Przemysłowego, I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu, I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Lubinie, I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR w kombinacie oraz przewodniczącego Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Górników w Legnicy. W drugiej grupie znajdowali się ludzie uczestniczący bezpośrednio w budowie nowego górnictwa miedziowego: dyrektor naczelny KGHM – Tadeusz Zastawnik, górnicy przodowi – Wojciech Chmielewski i Henryk Rogalski, brygadziści – Wiktor Wiśniewski, strzałowy – Józef Krakowiak, sztygar zmianowy – Władysław Starzec, kierownik oddziału budowlanego – Bolesław Granat, technik – Mieczysław Sztuka oraz geolog – Wojciech Salski. Na jakiej zasadzie znalazłem się w składzie delegacji, dotychczas nie wiem. Przypuszczalnie miałem być reprezentantem młodej kadry technicznej, a ponadto zaważył również fakt uczestniczenia przeze mnie od początku realizacji inwestycji.

Osobą referującą problematykę Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego był T. Zastawnik. Władysław Gomulka zrobił na mnie dużo lepsze wrażenie, aniżeli w trakcie swoich publicznych wystąpień; był rzeczowy i nie posługiwał się ideologiczno-polityczną frazeologią. Podstawową sprawą było uzyskanie akceptacji na dalsze zakupy za dewizy nowoczesnych, samojezdnych maszyn górniczych produkowanych w krajach kapitalistycznych. I sekretarz aprobował ten kierunek działania, jednakże z zastrzeżeniem, że w jak najkrótszym czasie na bazie tych maszyn podjęta zostanie rodzima produkcja. Innym problemem poruszonym przez dyrektora Zastawnika była sprawa bazy wczasowo-rekreacyjnej dla załóg budujących LGOM, a właściwie brak tej bazy. W tej mierze sytuacja górnictwa miedziowego krańcowo różniła się od górnictwa węglowego. Odpowiedź Gomulki dobrze zapamiętałem, bowiem była ona nieco szokująca. Powiedział on w jaki sposób załatwia to przemysł węglowy, zastrzegając się, że nie jest to wzór do

naśladowania: „Oni podejmują budowę dużego ośrodka wypoczynkowego nie mając dostatecznych środków finansowych. Realizują budowę np. w 30%, a następnie zwracają się o pomoc do władz centralnych, bo wszystko się zmarnuje”. Później długo się zastanawiałem dlaczego I sekretarz mówił o tym skoro było to postępowanie naganne.

4 grudnia 1968 r. KGHM w Lubinie ustanowił dwustopniową odznakę (srebrną i złotą) „Budowniczego LGOM”, przyznawaną pracownikom, którzy wnieśli istotny wkład w tworzenie nowego ośrodka górnictwa miedziowego. W kwietniu 1969 r. zostałem wyróżniony złotą odznaką, która ze względu na moje długotrwałe i emocjonalne związki z inwestycją lubińską ma dla mnie szczególne znaczenie. Po wielu latach odznaczenie to stało się symbolem miłych wspomnień z okresu wielkiej budowy.

■ Kres geologii w Zakładzie Doświadczalnym

Rok 1971 stanowił kres istnienia komórki geologicznej w Zakładzie Doświadczalnym w dotychczasowej postaci. Ówczesny dyrektor podjął decyzję o stopniowej likwidacji Stacji Badawczo-Doświadczalnej Geologii. Być może pomysł zrodził się gdzie indziej, ale nikt z naszego zespołu nie poznał przyczyn takiego działania. Na prima aprilis przekazany zostałem do Zakładów Górniczych „Rudna” w budowie, w tym samym czasie Andrzej Kaczmarek i technik geolog Karol Nożewski przeszli do pracy w Zakładzie Transportu KGHM – Piaskownia „Obora”, w której prowadzono wydobycie piasku podsadzkowego, technicy górnicy zatrudnieni w Pracowni Geotechniki N. Kunysza odeszli do czynnych kopalń rud miedzi, a Pracownię Mineralogiczną we wrześniu tego samego roku przeniesiono do Centralnego Laboratorium.

Zmiana pracodawcy pociągała za sobą radykalną zmianę charakteru działalności zawodowej i odejście od pracy badawczej, co było dla mnie sprawą przykrą. Nastrój poprawiała mi przychylność ówczesnego dyrektora budowanej kopalni „Rudna” – Włodzimierza Mięśowicza. Odegrał on szczególną rolę w tworzeniu nowego górnictwa miedziowego. Był dyrektorem kolejno budowanych kopalń „Lubin”, „Rudna” oraz „Sieroszowice” i po oddaniu do eksploatacji jednej, przystępował do realizacji następnej inwestycji.

■ Doktoranckie zamierzenia

Prowadzenie obserwacji tektonicznych w wyrobiskach górniczych co raz bardziej rozbudzało moje

zainteresowanie tą problematyką. Zaczęło się od spekań w złożu i w skałach otaczających, ale szybki postęp robót górniczych sprawiał, że systematycznie ujawniana była wielka różnorodność deformacji strukturalnych. W miarę gromadzenia materiałów uzmysłowiłem sobie, że będzie mi potrzebna pomoc doświadczanego tektonika, najlepiej dobrze znającego problematykę geologiczną Dolnego Śląska. Wyrażenie sugerowało to ośrodek geologiczny Uniwersytetu Wrocławskiego. Z pomocą przyszedł mi Jan B. Tomaszewski główny dokumentator lubińskiego złoża rud miedzi w Przedsiębiorstwie Geologicznym w Krakowie, a następnie docent i kierownik Zakładu Geologii Stosowanej w Zakładach Badawczych i Projektowych Miedzi „Cuprum” we Wrocławiu i zarazem absolwent tego uniwersytetu. Orzekł on, że wymarzoną osobą będzie prof. Józef Oberc i że przeprowadzi z nim rozmowę, zapowiadając moją wizytę. Miała ona miejsce w 1967 r., aczkolwiek dokładnej daty nie pamiętam. Zreferowałem profesorowi dotychczasowy zakres i przebieg badań oraz zamierzenia na przyszłość i w ten sposób zaczęła się współpraca, która wybiegła w czasie daleko poza mój późniejszy doktorat. Wkrótce J. Oberc wyraził chęć zjazdu do kopalni i przeprowadzenia wspólnych obserwacji. Efektem tej „wyprawy” był wspólny artykuł w Kwartalniku Geologicznym w 1968 r. na temat deformacji skał w rejonie szybu wschodniego, ale niepomniernie większe znaczenie miało ukierunkowanie moich dalszych badań.

Moja współpraca z prof. Obercem przyjęła formę okresowych spotkań w Katedrze Geologii Fizycznej na ul. Cybulskiego. Przedstawałem na nich wyniki ostatnich badań oraz problemy do przedyskutowania i najbliższe zamierzenia. Bardzo sobie ceniłem rzeczowość naszych dyskusji oraz to, że wszystkie ustalenia miały charakter wiążący. W trakcie jednej z kolejnych wizyt zgłosiłem profesorowi chęć podjęcia pracy doktorskiej w zakresie problematyki, którą się zajmowałem. Profesor uznał, że temat stwarza realne przesłanki dla wykonania pracy doktorskiej, ale oficjalne działania związane z otwarciem przewodu zostałyby podjęte na etapie większego zaawansowania badań.

Realizując różne tematy w Zakładzie Doświadczalnym mieliśmy konsultantów z różnych uczelni w kraju. Wykonując badania geotermiczne w kopalniach, korzystałem ze wsparcia doc. Kazimierza Chmury w Politechnice Gliwickiej. Podczas jednej z wizyt w 1968 r. docent zaproponował, abym pod-

jął u niego doktorat z tej dziedziny. Oczywiście nie wchodziło to w rachubę, ze względu na zaawansowany stan badań tektonicznych i moją współpracę z prof. J. Obercem. Po powrocie do Lubina o sprawie poinformowałem kolegów w pracy; Fredka Zaczka i Cyzia Kunysza. Obydwaj od pewnego czasu zastanawiali się nad podjęciem doktoratów: Fredek na temat geotermiki, a Cyziek w zakresie geomechaniki. Namówiłem ich do nawiązania kontaktu z doc. Chmurą i w obu przypadkach zaowocowało to w 1972 r. doktoratami.

W połowie 1968 r. pojawiła się w Zakładzie Doświadczalnym pogłoska, że dyr. Pazdro nosi się z za-

widywalne było również podejście do moich ambicji naukowych. W związku z tym wybrałem się do prof. Oberca, aby przedstawić sytuację, która niesie dla moich planów pewne zagrożenia. Profesor uznał, że w takim przypadku należy niezwłocznie złożyć na uczelni niezbędne dokumenty. W efekcie w grudniu 1968 r. dziekan Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego poinformował mnie, że decyzją Rady Wydziału wszczęty został mój przewód doktorski, a promotorem jest prof. J. Oberc.

Dwa kolejne lata wypełniły obserwacje tektoniczne w nowych rejonach złoża udostępnionych

poziomymi wyrobiskami górniczymi. W miarę gromadzenia materiału badawczego zaczynały ujawniać się prawidłowości odnośnie do orientacji przestrzennej różnych form tektonicznych (spękania, żyły mineralne, uskoki i fałdy), a także istniejące pomiędzy nimi współzależności genetyczne i wiekowe.

W końcu 1970 r. byłem gotów z rękopisem pracy doktorskiej oraz z częścią graficzną. Sądziłem, że całość materiałów przekazać promotorowi do przejrzania i poczekam na ocenę. Tymczasem Profesor zaproponował, że będzie najlepiej jeżeli przyjadę na dwa dni do Wrocławia i razem przeglądnęmy

i przedyskutujemy opracowanie. A do tego dodał z lwowską serdecznością i akcentem: „kulego! będzie pan spał u mnie w domu, żeby nie wydawać pieniędzy na hotel, a pracować będziemy na uczelni”.

Na początku 1971 r. przekazałem na Uniwersytet Wrocławski egzemplarze pracy doktorskiej pt. Budowa tektoniczna okolic Lubina i Polkowic, której recenzentami byli prof. prof. Stefan Alexsandrowicz z AGH i Kazimierz Dziedzic z UWr. W czerwcu miałem obronę pracy, a dokładnie w Barbórkę uroczystą promocję w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego.



Prof. Józef Oberc wręcza autorowi dyplom doktora w trakcie uroczystej promocji w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego.

miarem opuszczenia nas i powrotu na Góry Śląsk. Bardzo mnie to zmartwiło, bowiem wśród moich dotychczasowych przełożonych zajmował wyjątkową pozycję. Ale poza tym, że Pana Jana darzyłem szacunkiem i sentymentem, fakt ten miał dla mnie również istotne znaczenie praktyczne. Mój dyrektor odnosił się bardzo życzliwie do wszelkich poczynań naukowych i nie miałem wątpliwości, że poprze moje starania dla formalnego rozpoczęcia doktoratu. Dla rozpoczęcia przewodu doktorskiego niezbędna była zgoda kierownictwa zakładu, w którym pracuje kandydat. Osoba następcy dyrektora ZD nie była znana, a w związku z tym nieprze-

■ Z perspektywy lat

Praca w Zakładzie Doświadczalnym stanowiła w moim życiu zawodowym niezwykle ważny okres i to nie tylko z racji uzyskania doktoratu. W tym czasie stopniowo zdobywałem umiejętności prowadzenia prac badawczych realizując pełny cykl od postawienia celu, określenia metodyki i zakresu badań, wykonanie ich oraz przedstawienie wyników i wniosków. Na pomyslną działalność zespołu geologicznego, a także na indywidualne sukcesy miało wpływ szereg korzystnych uwarunkowań. Przede wszystkim dyrektor Jan Pazdro stworzył w zakładzie sprzyjające warunki do pracy oraz dla rozwoju osobistego jednostek. Równie korzystny wpływ na efekty naszej działalności miały kontakty z różnymi ośrodkami naukowymi w kraju oraz korzystanie z pomocy konsultantów aktywnie wspierane przez kierownictwo zakładu. Stwarzało to sprzyjające warunki dla uwzględniania w badaniach najnowszych zdobyczy nauki.

Siłą napędową w działaniach wiodącej grupy pracowników Stacji Badawczo-Doświadczalnej Geologii były osobiste ambicje zawodowe i naukowe. Staraliśmy się doskonalić swoje umiejętności poprzez studiowanie literatury oraz częste wspólne dyskusje. Dodatkowym elementem pozytywnie oddziałującym na proces badawczy był młody wiek pracowników, jednakże w większości przypadków dysponujących już doświadczeniem w pracach terenowych i w górnictwie.

Obok opracowań dotyczących tematyki wcześniej scharakteryzowanej i stanowiącej istotę działalności geologicznej w Zakładzie Doświadczalnym, sukcesem niezbyt liczного zespołu, w krótkim, zaledwie kilkuletnim okresie były trzy doktoraty oraz kilkadziesiąt publikacji w czasopiśmie technicznych i naukowych. Wyrazem aktywności zawodowej było również czynne uczestnictwo poprzez wygłaszanie referatów na różnego rodzaju sesjach, konferencjach i zjazdach.

Znaczącą pomoc w pracy badawczej dawała zorganizowana przy KGHM, przypuszczalnie na przełomie roku 1964/1965 biblioteka techniczna. Jej utworzenie, podobnie jak powołanie kilka lat później oddziału Polskiej Akademii Nauk w Lubinie było efektem wizjonerskiego patrzenia na całą inwestycję dyrektora kombinatu Tadeusza Zastawnika. Biblioteka wraz z doskonale urządzoną czytelnią stanowiła ośrodek pozwalający wzbogacać swoją wiedzę zawodową licznej rzeszy inżynierów kombinatu. Dzięki umiejętnościom i energii zespo-

łu pań prowadzących tę placówkę, wkrótce zebrany został szeroki asortyment czasopism różnych branż i to nie tylko bieżących edycji, ale po części także z lat minionych. Dzięki współpracy z innymi ośrodkami istniała ponadto możliwość sprowadzania pozycji literatury, którymi biblioteka KGHM nie dysponowała. Wydawało się, że funkcjonowanie i przydatność takiej placówki w stolicy wielkiego i nowoczesnego przemysłu nie może budzić wątpliwości, a jednak około 30 lat później tj. po roku 1995, ówczesny prezes Zarządu KGHM Polska Miedź SA podjął decyzję o jej likwidacji.

W Zakładzie Doświadczalnym przepracowałem ponad 5,5 roku. Traktując pierwsze miesiące jako czas organizowania się nowej placówki, pozostałe pięć lat stanowiło dla całego zespołu geologicznego okres w pełni wydajnej pracy badawczej. Rok 1971 okazał się przełomowy, a właściwie finalny dla dalszego funkcjonowania Stacji Badawczo-Doświadczalnej Geologii. W końcu I kwartału, w związku z przeniesieniem pracowników do innych zakładów przestała istnieć Pracownia Geologii Kopalnianej. We wrześniu 1971 r. Pracownia Mineralogii przypisana została organizacyjnie do Laboratorium Centralnego. W tym samym roku Pracownię Geofizyczną przekształcono w Stację Sejsmologiczną, której zakres działania obejmował tylko jedną tematykę, a Pracownię Geotechniczną włączono do zespołu górniczego. W 1973 r. Fredek Zaczek sprawujący przez kilka lat funkcję kierownika Stacji Badawczo-Doświadczalnej Geologii przeszedł do pracy w oddziale Polskiej Akademii Nauk w Lubinie.

W ten sposób przestała istnieć zgrany i ambitny zespół, który miał znaczące sukcesy w zakresie mineralogicznego rozpoznania złoża, metodyki oprobowania złoża, tektoniki, geomechaniki górotworu, geotermiki i sejsmologii. Istotny wpływ na realizację prac miało usytuowanie placówki w Lubinie w bezpośrednim sąsiedztwie kopalni. Umożliwiało to utrzymywanie bliskich kontaktów ze służbami geologicznymi i dozorem górniczym kopalni, co bardzo ułatwiałało prowadzenie badań w wyrobiskach górniczych. W okresie funkcjonowania zespołu geologicznego Zakładu Doświadczalnego w miarę upływu czasu ewidentnie wzrastały nasze umiejętności w zakresie metodologii badawczej i samodzielnego wnioskowania. I chociaż wiadomo, że wszystko ma swój początek i koniec, to jednak szkoda, że nie dane nam było w tym zakładzie, rozumiejącym się i zintegrowanym dłużej pracować. ■

Rosjanie, stacjonujący na lotnisku w Krzywej, przynieśli nam kilka litrowych butelek alkoholu zakorkowanych gazetą Prawda. W ten sposób dziękowali za stare niepotrzebne hucie silniki. Baliśmy się, że spirytus jest skażony i się zatrujemy. Ale oni zapewniali: „Nie bojties, wsie liotcziki pijut i wsie zdarowyje”.

Tadeusz Stawski,
kierownik wydziału
przygotowania
wsadu.
Pracował w Hucie
Miedzi Legnica
w latach 1962 – 2003



PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKI

Alexander Kwaśniewicz

Przeżyłem i wzroku nie straciłem

Huta Miedzi Legnica była dla Tadeusza Stawskiego pierwszym i ostatnim zarazem miejscem pracy, z niej przed laty odszedł na emeryturę. Raz tylko pozwolił sobie na małą „zdradę”, zaliczając kilka miesięcy pracy w kopalni Lena, ale szybko zatęsknił za hutą.

■ W towarzystwie szczurów

– Zachęcony przez szwagra przyjąłem się do „Leny”, ale wytrzymałem tam tylko pół roku i odszedłem. W kopalni praca jest bardzo ciężka i odpowiedzialna, a do tego jeszcze miałem na „Lenie” towarzystwo szczurów. Wróciłem więc do legnickiej huty i pracowałem tu przez ponad 40 lat – wspomina pan Tadeusz.

Urodził się we Lwowie. Po wyjeździe z tego miasta zamieszkał wraz z rodziną w Bytomiu, a potem przyjechał na Dolny Śląsk. W Ziębicach skończył Zasadniczą Szkołę Elektryczną i poszedł na staż do Huty Miedzi. Pracował w elektrowni jako elektromonter warsztatowy; obowiązki nie były uciążliwe, a przy tym dość ciekawe.

– Produkowaliśmy parę wodną dla wydziałów huty i prąd elektryczny, żeby zasilić podstawowe urządzenia. Za moich czasów wytwarzaliśmy jakieś 4 MW, teraz produkują minimum 12 – tłumaczy.

Pracę na wydziale metalurgicznym ocenia jako znacznie trudniejszą, podobnie jak na przy-

gotowaniu wsadu, gdzie przeniósł się w późniejszych latach. Wydziały te były zapyłone i zagazowane, a w kurzu fruwała cała tablica Mendelejewa.

■ Jak na minie

Dzisiaj łatwiej jest kupić samochód, niż w Polsce Ludowej można było dostać numer telefonu. Nie dotyczyło to jednak pracowników dozoru huty.

– Pamiętam, że aparat telefoniczny założyli mi w domu już w latach 70. Siedziałem przy nim jak na minie. O każdej porze dnia i nocy, w świętek czy w piątek, gdy dochodziło do awarii, byłem wzywany do huty. Pod dom podjeżdżał samochód służbowy, wtedy wszystko zostawiałem i jechałem do pracy – mówi Tadeusz Stawski.

Ktoregoś dnia spaliły się kable elektryczne doprowadzające prąd na brykietownię, zepsuł się też układ sterowania i łączności pomiędzy nią a piecami szybowymi. Groziło to zatrzymaniem całej huty. Do zakładu zjechali elektrycy i dozór. Pamiętam, że wtedy pracowaliśmy bez przerwy 24 godziny. Udało się jakoś ominąć popalone kable i podłączyć nowe, podczas gdy hutnicy czuwali, by miedź nie „zamarzła”.

Podstawową sprawą było zapewnienie ciągłości produkcji, mimo awarii czy na przykład braku hugu. Gdy potrzebne były jakieś urządzenia lub części zamienne, pan Tadeusz z kolegą mechanikiem siadali przy swoich biurkach i telefonowali do sklepów i zakładów w całej Polsce. Zabierali się do tego o godzinie 7 rano, ale nierzadko rozmowy międzymiastowej nie mogli się doczekać przez cały dzień i niczego nie załatwili.

– Wtedy trzeba było kombinować: latać i spawać. Dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale tak się wówczas pracowało – opowiada Tadeusz Stawski. – Były też kłopoty z hukiem posulfutowym stosowanym do produkcji w piecach szybowych. Sprowadzaliśmy go najpierw z ZSRR, potem z Rosji i pewne ilości z Czech. Pamiętam, że Rosjanie stale podnosili ceny hugu, bo brakowało go na rynku. Przed laty kontakty z nimi wyglądały całkiem inaczej.

■ Prawda w butelek

Od czasu do czasu hutnicy współpracowali ze stacjonującymi w Legnicy i w jej okolicach żołnierzami Armii Radzieckiej.

– Pamiętam, że któregoś dnia o pomoc zwrócił się do nas Rosjanin z Krzywej. Było tam lotnisko wojskowe z hangarami, w których trzymali samoloty. Drzwi do hangarów były ogromne. Jedno

skrzydło musiało otwierać kilku żołnierzy i szło to bardzo wolno. Uznali więc, że coś z tym trzeba zrobić, bo gdyby wybuchła wojna, to samoloty nie mogłyby startować z tak dużym opóźnieniem. Zapytali nas, czy nie mamy do sprzedania silników. Tak się złożyło, że były to lata przebudowy huty i zostały nam niepotrzebne urządzenia. Sprzedaliśmy więc je po cenie złomu, z czego Rosjanie bardzo się cieszyli. Z wdzięczności przynieśli hutnikom kilka litrowych butelek alkoholu zakorkowanych gazetą Prawda i zachęcali: „Nu dawaj, napij się wміestіe”. Był to spirytus stosowany w samolotach dla zabezpieczenia aparatury pomiarowej przed zamarzaniem. Wąchaliśmy z kolegą ten alkohol i mieliśmy obawy, że jest skażony. Baliśmy się zatrucia, ale oni zapewniali: „Nie bojcieś, wśіe lіotczіkі pijut i wśіe zdarowjе”. Nie kłamali, bo przeżyłem i wzroku nie straciłem. Potem nasi rosyjscy znajomi często z nami handlowali i bardzo im to pasowało. Doszło do tego, że spotykaliśmy się też prywatnie i nie były to tylko kontakty handlowe – mówi Tadeusz Stawski.

Jego bliski kolega, suwnicowcy, zakochał się z wzajemnością w młodej Rosjance. Romansowali, dopóki nie dowiedział się o tym jej ojciec, podpułkownik Armii Radzieckiej; natychmiast odesłał dziewczynę do ZSRR. Zanim wyjechała, zawiadomiła Jurka, kiedy odjedzie z legnickiego dworca. Ten poszedł ją pożegnać, ale nie pozwolono im nawet porozmawiać. Oboje zapłakani pomachali tylko do siebie z oddali. I tak się czasem kończyła przyjaźń polsko-radziecka.

– A komu to szkodziło, żeby ci młodzi się pobrali? – zastanawia się Tadeusz Stawski.

■ Triki zamiast odpalania

Produkcja była dla hutników rzeczą świętą. Zakład dymił i truł wszystkich dokoła, ludzie plakali od gazu, ale najważniejsze było to, że miedź zawsze dobrze się sprzedawała za granicą. Potem starano się ograniczyć zapylenie i zagazowanie, jednak stosowane technologie nie były skuteczne. Na brykietowni zainstalowano filtry elektryczne do wyłapywania pyłu. Dochodziło jednak do zwarć i często urządzenia nie pracowały.

– Kiedy przychodziły kontrole z zewnątrz, hutnicy stosowali mokrą mieszaninę i wyglądało na to, że odpalanie funkcjonuje. To był tylko trik – przyznaje dzisiaj Tadeusz Stawski.

W latach 80. wciągnięto hutę na listę największych trucielei w Polsce i temat stał się gorący.

- Pamiętam zebranie z udziałem speców z Politechniki Wrocławskiej, do-
zoru, dyrekcji i „czynnika społecznego”,
jak się to wówczas określało. Jeden z na-
ukowców zapytał szefa: „Panie dyrekto-
rze, co pan robi, by zmniejszyć zapylenie
i zatrucie środowiska?” Zastępca dyrek-
tora wstał i powiedział: „Proszę pana,
ja rozliczam się z poziomu produkcji,
nie z emisji zanieczyszczeń. To co mam
zrobić?” - Obniży pan produkcję! - od-
powiedział młody człowiek.

Pamiętam, że z trudem to do nas
docierało. Potem zaczęliśmy lepiej ro-
zumieć potrzebę dbania o środowisko.
Z czasem zostałem nawet członkiem
straży ochrony przyrody - opowiada Ta-
deusz Stawski.

■ Czarny i biały dym

Skuteczniejsze rozwiązania przycho-
dziły z czasem. W 1986 roku na wydziale
przygotowania wsadu zamontowano
cyklony przeciwbieżne. Znacznie popra-
wiły one sytuację, ale nie można było na
tym poprzestać.

- Wziąłem sobie za punkt honoru
poprawienie warunków pracy i zmniej-
szenie zapylenia. Z taśmociągów kurzy-
ło się niesamowicie, zwłaszcza wtedy,
gdy zatrzymywaliśmy ciąg technolo-
giczny. Zainstalowaliśmy więc zbiorni-
ki i kiedy piece były już załadowane po
brzezi, nie musieliśmy, jak dotychczas,
zatrzymywać linii, bo mieliśmy już
gdzie gromadzić brykiet. Zmniejszyło
się zapylenie i nie kosztowało to wiele,
gdyż modernizacja polegała głównie na
zmianie organizacji pracy - tłumaczy
Tadeusz Stawski.

Modyfikować trzeba było po możliwie niskich
cenach, bo zwłaszcza od lat 90. cięcie kosztów nie-
ustannie wisiało hutnikom nad głową.

Wydział przygotowania wsadu nie był jedynym
miejscem, w którym się kurzyło. Koncentraty z ko-
palni przywożono wagonami, przy ich rozładowy-
waniu cała okolica była zapyłona. Dochodziło na-
wet do tego, że na drodze pod hutą kierowcy mieli
ograniczoną widoczność i były obawy, że skończy
się to tragedią. Wówczas inspektorzy PIP zagrozili,
że jeśli problemu nie rozwiążemy, to zamkną rozła-



*Tadeusz Stawski z kolegą przy cyklonach
przeciwbieżnych, służących do odpylania gazów
w procesie suszenia koncentratu. Lata 80.*

dunek koncentratów, a to znaczyło, że stanie cała
huta. Z problemem mierzyli się projektanci z Bi-
prometu z Katowic, fachowcy z Wrocławia, inży-
nierowie z działu konstrukcyjnego huty i długo nie
mogli nic wymyślić.

- Stawiałem czasami przy rozładunku, przyglą-
dałem się i główkowałem, co zrobić. W końcu się
udało. Zastosowaliśmy wymyślone przeze mnie
sterowane ssawki, a także filtry workowe i wenty-
latory. Pamiętam, że wówczas za ten pomysł do-
stałem nagrodę Naczelnej Organizacji Technicznej
- opowiada Tadeusz Stawski.



Na wydziale przygotowania wsadu przy próbach granulacji koncentratu. Lata 90.

W 1996 roku huta zaczęła współpracować z Bi-prometem nad zastosowaniem filtrów workowych w miejsce cyklonów przeciwbieżnych na wydziale przygotowania wsadu. Po wielu próbach zdały one egzamin także na wydziale metalurgicznym. Kiedy więc przyjeżdżali na kontrolę ludzie z ochrony środowiska, pracownicy huty byli już spokojni.

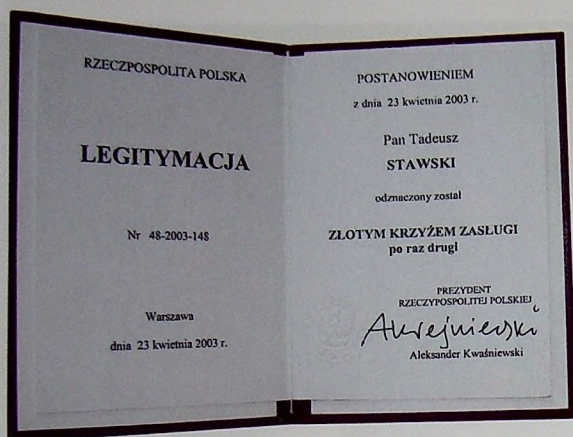
– Krótko przed moim przejściem na emeryturę, w 2002 roku, zostaliśmy zdjęci z listy największych trucicieli w Polsce. Dzisiaj, kiedy jadę samochodem koło huty, nie widzę już czarnego dymu, lecz biały – mówi z satysfakcją pan Tadeusz.

■ **Partia nie dała...**

Do czystej technologii huta dochodziła dość długo. Początkowo nie było ani dobrych rozwiązań technicznych, ani licznej fachowej kadry. Na stanowiskach mistrzów i kierowników pracowali ludzie po szkole podstawowej i po zwykłym przeszkoleniu, zwłaszcza jeśli któryś miał zasługi partyjne. Brakowało inżynierów, ale jednocześnie na kształcenie kładziono duży nacisk i wielu ludzi skończyło wówczas studia. Huta dawała urlopy przed eg-

zaminami, a przełożeni bez problemu zwalniali pracowników na zająęcia. Ale nie każdy dawał sobie radę z nauką.

– Zaczęłam studia z kolegą – działaczem partyjnym. Wybraliśmy wydział elektrotechniczny na Politechnice Wrocławskiej. On chyba myślał, że pojedzie na znajomościach i partii, ale wyleciał po pierwszym semestrze. Potem, w 1981 roku, kiedy sekretarz PZPR wziął mnie na rozmowę i w jego obecności wypominał: „Polska Ludowa dała wam wykształcenie, jesteście inżynierem, a wy nie chcecie przyjąć legitymacji partyjnej”, kolega ten wziął mnie w obronę, mówiąc do sekretarza: „No... nie mów tak, że dała. Nie dała, nie dała...”. Faktycznie, gdyby dała, to mój partyjny kolega też byłby inżynierem – śmieje się Tadeusz Stawski. – Po prostu trzeba było, jak mówią studenci, ryć. Potem skończyłem jeszcze studia podyplomowe i jako jeden z niewielu uzyskałem I stopień specjalizacji inżynierskiej w zakresie elektromechaniki przemysłowej. Moje zarobki od razu wzrosły o 10 procent – pan Tadeusz wraca pamięcią do lat pracy.



Tadeusz Stawski dwukrotnie otrzymał Złoty Krzyż Zasługi; pierwszy w 1985 roku od przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, w 2003 roku od Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego.

Legnicka huta była kuźnią kadr dla huty głogowskiej. Tu przychodzili na staż absolwenci Akademii Górniczo-Hutniczej, by potem przenieść się do Głogowa.

■ **Obraziłem śpiewaczkę**

Były jednak w hucie takie dni, w których nikt nie myślał o poziomie produkcji, czystych technologiach czy awariach. Zaliczał się do nich Dzień Kobiet.

Imprezy z okazji tego święta były przez panów lubiane, bo ich koleżanki, których swego czasu na brykietowni nie brakowało, zawsze coś smacznego przygotowały i można było „poszaleć”. Kobiety częstowały kawą i ciastem, a nawet nalewkami przyniesionymi z domu. Jednego roku, po takim poczęstunku, pracownicy poszli do zakładowej stołówki, gdzie zaplanowano występy artystyczne dla przedstawicieli wszystkich wydziałów.

– Na scenie było wesoło, przedstawiano jakieś skecze, ale panie nie bardzo pozwalały nam obserwować, co się tam dzieje, bo cały czas częstowały nalewkami. W pewnym momencie zaczęła grać orkiestra. Poprosiłem więc koleżankę do tańca, a za mną na parkiet wyszedł Włodek Babik. Nagle podbiegł do nas działacz związkowy Tadek Janiszewski i krzyczy: „Prześcąńcie! Co wy robicie! Prześcąńcie!” Ale niczego już nie wskórał, bo zbyt wielu hutników poszło w nasze ślady. Dopiero potem dotarło do mnie, że orkiestra nie przygrywała nam do tańca, lecz akompaniowała artystce operowej, która próbowała zaśpiewać jakąś arię. Zeszła ze sceny obrażona. Na nasze usprawiedliwienie mogę tylko

powiedzieć, że honorarium wypłacono jej z góry, więc wielkiego nieszczęścia nie było – opowiada rozbawiony Tadeusz Stawski.

Od 10 lat jest na emeryturze. Czas wolny wykorzystuje na podróże. Czasem, gdy idzie legnicką ulicą wyłożoną czarną kostką, którą huta produkowała z żużla, przypomina sobie okres, kiedy jeszcze pracował. Pamiątek z tego czasu ma niemało: jeden srebrny krzyż zasługi i dwa złote. Uzbierała się też kolekcja dyplomów, wyrazów uznania, wyróżnień, świadectw autorskich. Ale jak mówi, największą satysfakcję sprawia mu świadomość, że jego dawny zakład pracy to już nie „krematorium”, ale „sanatorium” i to o światowych standardach. ■



Stanisław Leja, inżynier mechanik.

W latach 1963 – 1990 pracował w zakładach i zarządzie KGHM, od 1992 do 2006 r. w Miedzowym Centrum Kształcenia Kadr



Jak „rozgryzaliśmy” joy’a

■ Jak pan pamiętał początki swojej pracy na Miedzi?

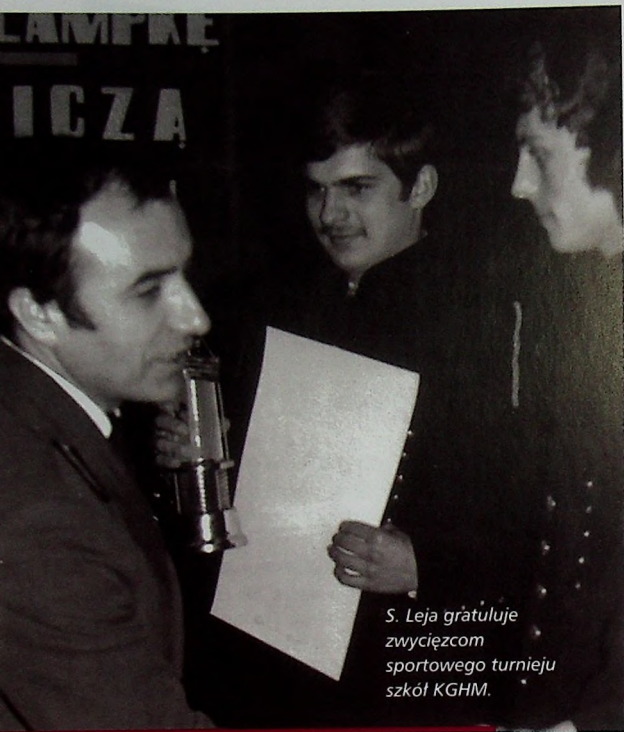
Sam początek nie był zbyt fortunny. Na Wydziale Maszyn Górniczych i Hutniczych AGH mówiono na mnie „prawdziwek”, ponieważ w czasie studiów nie oblałem żadnego egzaminu. Jedynym sprawdzianem, na którym poległem, był egzamin po stażu w KGHM. Przewodniczący komisji Albin Tatała zadawał dość dziwne pytania, o odległości między szczeblami drabiny, o wielkość prześwitu w kopalnianych torach itp. Później dowiedziałem się, że zazwyczaj przepytował z przepisów bhp, które zawarł w swojej książce. Wkułem je i poprawkę zaliczyłem śpiewając, na dodatek wytknąłem autorowi szereg nieścisłości. Trzeba przyznać, że przyjął moje uwagi i nawet za nie podziękował. Dwa lata później już sam zasiadałem w składzie komisji egzaminacyjnej.

■ A jak się to stało, że trafił pan akurat do Lubina?

O udostępnieniu złoża miedzi dowiedziałem się podczas wycieczki studenckiej w 1959 roku. Zwiedzaliśmy kopalnie granitu w Strzelinie, węgla brunatnego w Turoszowie i rudy miedzi w Nowym Kościele. Zatrzymaliśmy się także w Lubinie, zaniedbanym trzytyśiecznym miasteczku, ze śladami zniszczeń w rynku i dużą ilością żołnierzy Armii Czerwonej. Po trzecim roku studiów, razem z trze-

ma kolegami, podpisałem umowę stypendialną z powstającym kombinatem. Do pracy zgłosiłem się w 1963 roku z kolegą Franciszkiem Sieczką. Przyjął nas osobiście dyrektor naczelny Tadeusz Zastawnik. Wiedząc, że jesteśmy bez grosza, nakazał wypłacenie nam po 500 zł w formie nagrody na przeżycie do pierwszej wypłaty. Zamieszkaliśmy w hotelu D-21 w Lubinie, a po tygodniu przenieśliśmy się do Złotoryi w związku ze stażem w ZG Lena. Do lutego 1964 roku odbywaliśmy staż pod ziemią, w pionie głównego mechanika inż. Piotra Maćkowa, a dokładnie w oddziale energomaszynowym, kierowanym przez bardzo sympatycznego i kompetentnego Wiktora Kwaśnego. W lutym przyjechali do pracy na Miedź pozostali koledzy - stypendyści: Jacek Mozdyniewicz i Jan Kopeć, którym dyrektor Zastawnik zaproponował odbycie stażu w Głównym Instytucie Górnictwa w Katowicach. Franek i ja również dołączyliśmy do nich. Byłem z tego zadowolony, bo miałem bliżej do Krakowa, gdzie została moja niedawno poślubiona małżonka.

Mnie i Franka zatrudniono w Zakładzie Górotworu i Obudowy. Praca polegała na pomiarach zaciskania stropu w kopalniach węgla kamiennego zagrożonych tąpnięciami i nagłymi zawałami. Doświadczyłem tego zjawiska dosłownie na własnej skórze, gdy w Ziemowicie na mojej zmianie tąpnęło. Na szczęście nie doszło do zawału ściany, jedynie



*S. Leja gratuluje
zwycięzcom
sportowego turnieju
szkół KGHM.*

do szkód w instalacjach, a ludzie doznali niewielkich urazów od odłamków węgla. Na dłoniach, pod skórą, jeszcze długo nosiłem czarne ślady po tym zdarzeniu.

Gdy w kopalni Konrad w Iwinach (rejon Lubichów) zawaliła się ściana z obudową podporową, zostałem wraz z kolegami stażystami oddelegowany na dwa miesiące do przeprowadzenia podobnych jak na Śląsku pomiarów konwergencji oraz sił oddziaływających na stojaki podporowe.

■ **Pana nazwisko kojarzy się tutaj, w zagłębiu miedziowym, przede wszystkim ze szkoleniem górniczych kadr.**

Po wykonaniu zadania na Lubichowie koledy wrócili do Katowic, a mnie dyrektor Zastawnik zlecił (od 1 września 1964 roku) nauczanie przedmiotów zawodowych w nowo otwieranym Zespole Szkół Górniczych przy ul. Kościuszki w Lubinie. Nie broniłem się przed tą pracą, bo lubiłem uczyć; przez całe studia udzielałem korepetycji. Do dyspozycji

miałem tylko salę, tablicę i kredę. Resztę, czyli całe wyposażenie gabinetu maszyn górniczych, organizowałem przy pomocy uczniów technikum wieczorowego zatrudnionych w PBKRM Lubin przy głębieniu szybów, którzy przynosili zużyte wiertarki, młoty pneumatyczne itp. Jako 25-latek, byłem wychowawcą znacznie starszych od siebie osób. Harowałem w tej szkole jak wół; ciągnąłem dwa etaty, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. Ale mam satysfakcję z tego, że byłem nauczycielem pierwszych absolwentów ZSG i technikum wieczorowego.

Po dwóch latach dyrektor Mieczysław Łaniewski, żartobliwie zwany Papuciem (zasłużył sobie na to przezwisko ścigając wszystkich, łącznie z nauczycielami, za brak papci w szkole), powierzył mi stanowisko zastępcy dyrektora ds. szkoleniowo-produkcyjnych. Organizowałem i nadzorowałem warsztaty szkolne (w obecnej hali sportowej przy ul. Składowej) i praktyki w Upadowej Grodziec ZG Konrad - tam górniczego fachu

uczyły się starsze klasy ZSG. Sama praca mi odpowiadała, ale jednocześnie z awansem oczekiwałem lepszych zarobków. Nic z tego - podwyżki nie dostałem.

■ **Zostawił więc pan szkolnictwo i poszedł tam, gdzie lepiej płacili?**

Poprosiłem dyrektora Zastawnika o przeniesienie do powstałego rok wcześniej Zakładu Badań i Doświadczeń. Tam z kolegami ze stażu, m.in. z inż. Sieczką, prowadziliśmy próbną eksploatację nowej ładowarki łyżkowej zasilanej Atlas Copco w drążonym przez PBK Częstochowa wyrobisku, w polu B kopalni Lubin. W czerwcu 1967 roku dyrektor ZD Jan Stosiak zwrócił się do mnie: „Dostaliśmy dwa joy'e z Francji. Będziesz na nich szkolił operatorów”. (Były to pierwsze dwa wozy odstawcze firmy JOY, jakie pojawiły się w naszym zagłębiu.). Miałem obawy, czy podołam, bo wcześniej nigdy nie widziałem takiej maszyny a nawet nie miałem jeszcze pra-

wa jazdy. Do pomocy przydzielono mi, pochodzącego z rodziny francuskich reemigrantów, młodego technika Rene Kaletę. Rozładowaliśmy joy'e z platform kolejowych i przetransportowaliśmy na lotnisko do tymczasowego garażu w hangarach. Już na drugi dzień przysłano nam około 20 ludzi do przeszkolenia. Ale jak tu uczyć, skoro my sami nic nie wiedzieliśmy o tej maszynie? Było ciepło, więc kursantów wysłałem na nowo otwarty basen SOWI na lotnisku, a my dwaj „rozgrzaliśmy” joy'a zapoznając się z budową zespołów: instalacji elektrycznej, hydraulicznej i pneumatycznej, miejsc smarowania, zbiorników płynów eksploatacyjnych oraz dźwigni sterowniczych. Po trzech dniach mogliśmy już szkolić innych. Ta grupa uczestniczyła także w demontażu francuskich maszyn, co było konieczne przed opuszczeniem ich na dół Szybem Wschodnim do oddziału doświadczalnego na polu B, gdzie potem wspólnie je montowaliśmy.

Demontaż i montaż były konieczne z uwagi na wymiary rury szybowej i na pojemność podziemnych wozów szynowych (mniej niż 1 m sześć.). Stąd wszystkie pierwsze maszyny, również wóz wiertniczy Serpent, wóz kotwiący RBD produkcji USA oraz ładowarka zabierakowo-ładowa 18 HR musiały być zwożone na dół po ich rozebraniu, a potem ręcznie składane.

Podobny problem z transportem na dół pojawił się także przy doświadczeniach z łyżkową ładowarką Fadromy z Wrocławia. Mieliśmy przekonstruować wielkogabarytową budowlaną maszynę, dostosowując ją do pracy w niskich wyrobiskach górniczych. Sztymar objazdowy dowiódł nam w wagonikach, które po drodze kilkakrotnie się wywracały, stosy wymieszanych elementów tej ładowarki. Kpiąco oświadczył, że prędzej mu kaktus na dłoni wyrośnie, niż złożymy ją w całość. Kaktus nie zdążył mu wyrosnąć, bo po tygodniu ładowarka była gotowa do prób. Natomiast wślawił się on tym, że z nocnej zmiany wyjeżdżał kiedyś na bosaka. Pracownicy



Rok 1970. Wystawa maszyn górniczych przed siedzibą KGHM. Przy ładowarce radzieckiej, od lewej: Jan Kopec, Stefan Furmaniak i Stanisław Leja.

przylapali go na drzemce, zdjęli mu ostrożnie gumki i skutecznie schowali. Rad nie rad, ruszył do szybu bez butów, co wzbudziło ogólną wesołość.

■ W ZD powstało wiele prototypów maszyn górniczych. Jaką rolę odegrał w tych pracach?

Ważnym dla mnie był współudział w pracach nad prototypem ładowarki kopalnianej MŁO 100/2, wyprodukowanej w Fabryce Maszyn Budowlanych Wrocław, przy znaczącym udziale jej głównego konstruktora inż. Wysłoucha. Jako kierownik oddziału maszynowego zajmowałem się montażem tych ładowarek a także prototypowych wozów: wiertniczego SWW i kotwiącego SWK, wykonanych w warsztatach ZD. Własnymi siłami prowadziliśmy również ich próbną eksploatację. Działaliśmy w prymitywnych warunkach, bez odpowiednio wyposażonej komory przeglądowo-naprawczej; brakowało głównie kanału remontowego i suwnicy. Na każdą zmianę ludzie w rękach taszczyli pod ziemię kanistry z olejami, części zamienne itp. Wdrożenie tych pierwszych, wykonanych w kraju, samojezdnych maszyn górniczych było sukcesem wszystkich pracowników oddziału.

Docenił to Minister Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki, przyznając w 1971 roku nagrody finansowe dyrekcji Zakładu Doświadczalnego, mnie i pracownikom - konstruktorom.

oddział remontów ładowarek łyżkowych i ciągników typu Fadroma. Pierwszym kierownikiem tych warsztatów, załóżka późniejszych Centralnych Warsztatów Remontowych, przemianowanych



Rok 1970. W tyżce ładowarki, od lewej: Jan Kopeć, Jacek Mozdyniewicz, Jan Stosiak, Stefan Furmaniak, Stanisław Leja.

■ **W rozmowach z pana kolegami - inżynierami mechanikami - ciągle pojawia się temat awaryjności maszyn górniczych, kłopotów z ich remontami.**

W pierwszych latach był to bardzo trudny problem. Wytypowano mnie do grona osób, które poszukiwały sposobów na jego rozwiązywanie. Biorąc udział w tych wszystkich pracach demontażowych i montażowych, dobrze poznałem budowę i działanie większości górniczych maszyn. Dzięki temu również dość szybko awansowałem, wpięrow na kierownika Pracowni Wykonawstwa i Wdrożeń Prototypów a następnie na szefa Zespołu Eksploatacji Maszyn Górniczych. Decyzją dyr. technicznego KGHM Wojciecha Skoczyńskiego ZD przejął nadzór techniczny nad eksploatacją samojedznych maszyn górniczych w kopalniach Lubin i Polkowice. Kontrolowałem ich eksploatację i sporządzałem zamówienia na części zamienne, głównie do maszyn importowanych, w oparciu o uruchomiony w tym czasie w ZD komputer Odra i wdrożony przez Piotra Maćkowskiego system rejestracji SEPAR. Równocześnie organizowałem na Szybie Zachodnim kopalni Polkowice

z czasem na Zakłady Naprawcze Maszyn (Zanam) był Edmund Pakuła.

W tym czasie na rynku powszechnie brakowało sprzętu do konserwacji i napraw, a nawet zwykłych części zamiennych: śrub, sworzni, uszczelki itp. Radziliśmy sobie z tym wyposażając komory przeglądowo-naprawcze w stanowiąca zakuwania węży hydraulicznych, także w tokarki, szlifierki, na których produkowano te brakujące elementy. Liczył się każdy pomysł pracowników i dozoru w łataniu dziur zaopatrzeniowych. Wspomnę przykładowo o jednym. Kanistry używane do transportu paliw i do napełniania baków maszyn miały dwie wady: były niedostępne na rynku, a z trudem zdobyte szybko zniknęły. Kwitł czarny rynek paliw, zwłaszcza od ruskich, a kanistry były niezbędne w tym interesie. Natomiast metalowe, tanie konewki stały w każdym sklepie ogrodniczym. Zaproponowałem ich zakup i nie tylko nie zniknęły, ale stały się niezastąpionym sprzętem do ręcznego napełniania zbiorników maszyn.

Doskwierał nam również brak nietypowych części zamiennych. Na zakupy zagraniczne stale

brakowało dewiz, więc używaliśmy głównie polskich zamienników. Żeby je zdobyć, trzeba było jeździć po kraju, prosić, błagać, przekupywać. Często wyprawiałem po nie swojego pracownika, przyznawałem mu nagrodę, by kupić za nią wódkę, która okazywała się mocnym argumentem przy załatwianiu deficytowych części. Gdy byłem głównym mechanikiem w ZG Lubin, miałem pracownika o nazwisku Mazurkiewicz. Był niezastąpionym załatwiaczem. Raz wysłałem go do Łodzi po uszczelki do zmiennika momentu ładowarki ŁK-1. Dotarł do właściwego człowieka, zdobył uszczelki, ale na bramie wpadł w ręce strażników. Ci wezwali milicję i chłop trafił do aresztu. Szczęściem na krótko, bo w tamtych latach łatwo wybaczano „działania” dla dobra publicznego.

■ Który okres pracy był dla pana najtrudniejszy?

W 1973 roku zostałem głównym mechanikiem maszyn dołowych w ZG Lubin. Po 15 godzin na dobę byłem w pracy, chodziłem nieprzytomny, wymęczony i niedospany, także dlatego, że w tym czasie urodziła się nam druga córka. A w pracy ciągle młyn, spowodowany szybko rosnącym wydobyciem i koniecznością organizowania nowych oddziałów przy lawinowym ruchu załogi. Spośród 1800 osób w moim pionie, prawie połowa wymieniała się w ciągu roku! Kadrowcy jeździli po całej Polsce i werbowali kogo się da, ale tylko część z nich zostawała na dłużej. KGHM chwycił się różnych sposobów ściągania do pracy w kopalniach. (Tworzyliśmy nawet szkoły i klasy górnicze daleko od Lubina, np. mieliśmy taką klasę na drugim krańcu Polski, w Międzyrzeczku Podlaskim.).

Mimo tych przeciwności, sukcesów nie brakowało. Wymienię te, w których miałem swój udział: uruchomienie głównej komory remontów maszyn na podszybiu ZG Lubin; wdrożenie pierwszego młota hydraulicznego Roxon produkcji fińskiej do rozbijania dużych kęsów urobku na kratkach przesypowych; zabudowa i wdrożenie na diagonalni pomiędzy Szybem Głównym i Zachodnim pierwszego prototypu przenośnika taśmowego Legmet, zaprojektowanego i wykonanego przez pracowników ZM Legmet i ZBiPM Cuprum pod bezpośrednim nadzorem dyr. Wojciecha Skoczyńskiego.

Dotychczas używane przenośniki z węgla typu Gwarek nie nadawały się do transportu rudy. Legmetowski był dłuższy i mocniejszy. Jego pomyslna eksploatacja pozwoliła na wykonanie dla ZG Rudna przenośnika o poprawionej konstrukcji a następnie uruchomienie seryjnej produkcji w ZM Legmet i wyeliminowanie w kopalni Rudna podziemnego transportu szynowego.



Lata 80. Dyrektor naczelny KGHM Janusz Maciejewicz odznacza Stanisława Leję.



Lata 70. S. Leja oprowadza podsekretarza stanu Janusza Bojakowskiego po wystawie dorobku TGR.

■ **Po niespełna dwuletnim epizodzie produkcyjnym na „Lubinie”, znowu powrócił pan do szkolenia.**

Z ulgą przyjąłem propozycję Wojciecha Skoczyńskiego utworzenia Ośrodka Szkolenia i Przygotowania Kadr dla KGHM przy ZD. Zadaniem Ośrodka była organizacja, koordynacja i prowadzenie szkół zawodowych KGHM (5 zespołów szkół) oraz szkoleń we wszystkich zakładach KGHM. Zajmowaliśmy się wyposażaniem Ośrodka w pomoce dydaktyczne własnej produkcji (materiały szkoleniowe, instrukcje, programy szkoleń kursowych, filmy, modele, plansze itp.). Współpracowaliśmy z uczelniami wyższymi w zakresie naboru kadr, zawierania umów stypendialnych oraz dokształcania kadr inżynierskich na studiach podyplomowych. Dwa lata później Ośrodek zmienił nazwę na Centrum Kształcenia Kadr ZD. Od 80. roku stał się samodzielną jednostką w Zarządzie KGHM. Kierowałem CKK przez 15 lat, początkowo jako kierownik a później dyrektor.

Równocześnie, jako przewodniczący komisji, prowadziłem egzaminy na tytuł mistrza dyplomowanego w resorcie Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego. CKK wyspecjalizowało się w szkoleniu operatorów samojedźnych maszyn górniczych i stało się centralnym ośrodkiem dla całej branży górnictwa podziemnego. Wraz z pracownikiem

M. Maderą, bezpośrednio w kopalniach węgla (Szombierki, Staszic) oraz w kopalniach rud cynku i ołowiu (Olkusz, Pomorzany), uczyliliśmy dozór i operatorów obsługi pierwszych wdrażanych tam samojedźnych maszyn.

■ **Jak się to stało, że mógł pan zajmować ekspozowane stanowiska, nie będąc członkiem partii?**

Jakoś się uchowałem dzięki dyrektorowi naczelnemu KGHM Tadeuszowi Zastawnikowi, również bezpartyjnemu. Naciski były; sekretarz KM PZPR Antoni Malik wciąż namawiał mnie i wręczał deklarację, którą po wyjściu z budynku wyrzucałem do kosza. Nie mogłem się ugiąć, nie tylko dlatego, że chodziłem do kościoła z całą rodziną i że byłoby to wbrew moim przekonaniom. Nie

mogłem tego zrobić mojemu nieżyjącemu ojcu.

W czasie wojny nasz dom, na przysiółku pod lasem w Rakszawie koło Łańcuta, był punktem kontaktowym żołnierzy Armii Krajowej. Ojciec, jako podoficer tej formacji, był w 1944 ścigany przez NKWD. Musiał się ukrywać, ale ostatecznie go dopadli, więzili w nieludzkich warunkach i prawie zamęczyli. Udało się go wydostać z rąk oprawców dzięki żydowskim komunistom, którym ojciec jako leśniczy pomagał się ukrywać w lasach hrabiego Potockiego. Wrócił do domu, ale był wrakiem człowieka i wkrótce umarł.

Jednak nie wybroniłem się przed pisaniem partyjnych referatów dla Stanisława Cieślika, sekretarza wojewódzkiego KW PZPR w Legnicy. Dyrektor Orzechowski wiedząc, że dobrze sobie radzę z piórem, zwerbował mnie do tego zajęcia. Ale dzięki temu partyjni władarze jakoś przymykali oko na moją niechęć do politycznej aktywności.

■ **Na emeryturę odszedł pan dość wcześnie, mimo to nadal jest pan czynny zawodowo. Zmusiła pana do tego sytuacja ekonomiczna?**

W 1990 roku, w wieku 50 lat, przeszedłem na emeryturę górniczą, która pomimo obietnic rządowych szybko stała się tzw. starym portfelem. Po

niecących dwóch latach skorzystałem z propozycji T. Borysiaka, prezesa Miedziowego CKK (przed prywatyzacją CKK) i wróciłem na stanowisko głównego specjalisty. Organizowałem m.in. bazę szkolenia praktycznego operatorów przy Szybie Wschodnim kopalni Lubin, a także uczyłem zawodu już trzecie pokolenie operatorów: niedawno egzaminowałem młodego człowieka, którego ojciec i dziadek również byli operatorami w kopalniach miedzi. Inicjowałem uruchomienie (po raz drugi) Zasadniczej Szkoły Górniczej, tym razem dla dorosłych. Szkoła ta, po reaktywacji, jako pierwsza w kraju o tym profilu (z gwarancją zatrudnienia

koniec lat 80. na kontrakt do Grecji w roli kierownika ds. energomaszynowych na budowie górskiego tunelu. W 1985 roku zostałem szefem miesięcznej wyprawy z grupą uczniów Technikum Górnictwa Rud do USA w ramach nawiązanej współpracy.

■ **Który okres pracy zawodowej był dla pana, jako inżyniera, najbardziej twórczy?**

Najciekawszy przypadek na okres zatrudnienia w Zakładzie Doświadczalnym. Nieraz po dwie doby siedział się pod ziemią, nawet zwożono nam jedzenie, bo terminy goniły i nie można było przerwać montażu lub naprawy maszyn. Mie-

Podczas czynu społecznego nad żalwem małomickim. Trzeci z prawej - S. Leja.



w kopalniach KGHM), znalazła nawet uznanie sfer rządowych; wizytowała ją wicepremier pani Jaru-ga-Nowacka. Po 15 latach odpuściłem, pracuję tylko dorywczo na umowę o dzieło; w sumie jestem czynny zawodowo już ponad 50 lat.

■ **Czy przełożeni doceniali pana pracę?**

Dowodem uznania są liczne odznaczenia: zakładowe, regionalne, resortowe i państwowe, łącznie z Orderami Sztandaru Pracy I i II kl. Szczególnie cenię sobie Medal Komisji Edukacji Narodowej za rozwój szkolnictwa zawodowego w kraju; prawdopodobnie otrzymałem go, jako jedyny pracownik KGHM. Nagrodą były także wyjazdy na zagraniczne delegacje, m.in. do Francji, Szwecji i NRD, a pod

liśmy ogromną chęć do pracy, rozpieła nas entuzjazm, zwłaszcza gdy próby się powiodły, gdy udało się coś nowego zrobić. Niedawno wspominaliśmy te czasy z kolegą Feliksem Puchlikiem, który co jakiś czas przyjeżdża do Lubina ze Szwecji, gdzie z powodzeniem pracował w swoim zawodzie. Musiał wyjechać z kraju wraz z żoną, bo w 1968 roku został zwolniony z KGHM za pochodzenie; jego matka była Żydówką. Gdy rozmawiamy, z ogromnym sentymentem wracamy do pionierskich lat pracy w ZD przy tworzeniu nowego w Polsce systemu eksploatacji złoża, z pełną mechanizacją podstawowych robót górniczych samojedznymi maszynami. Mamy swój skromny, ale trwały wkład w tym dziele. ■

Założyłem szachciak i zjechaliśmy kuble na dół. Na górnym podeście pomostu, przy pompie cementacyjnej, uwijało się kilku górników, na dolnym słychać było huk od młotków odbudowy, którymi wbijano kołki dębowe w szczeliny pikotażowe łączenia tubingów. Górnicy pracowali szybko, bez słów i dopiero po wyjeździe zdałem sobie sprawę z tego, dlaczego się tak spieszyli. W szybie, zza obudowy, niczym z prysznica lały się na nich strumienie wody.

*Kazimierz Maciejewski,
kierownik
Oddziału Robót
Górnich PBKR
w Częstochowie.
Pracował w latach
1964 – 1999*



Zawsze tam, gdzie najtrudniej

Urodził się pod Częstochową w Kłobucku – mieście dwóch Długoszy. Pierwszy Bartłomiej (herbu Wieniawa), kapelan Władysława Jagiełły, odprawiał jedną z mszy przed bitwą pod Grunwaldem, drugi Jan Długosz, to znany historyk i kronikarz, proboszcz parafii kłobuckiej.

- Po ukończeniu ogólniaka dostałem się na studia medyczne, ale trudna sytuacja materialna i rodzinna zmusiła mnie do zmiany życiowych planów. W Chorzowie znalazłem Państwową Szkołę Górniczą, w której dostałem stypendium, internat i gwarancję pracy – wspomina Kazimierz Maciejewski.

W 1961 r. należał do grona pierwszych absolwentów szkoły. Zaczął pracować w Kopalni Węgla Kamiennego „Łagiewniki”. Tu uzyskał zatwierdzenie OUG Bytom na nadgórnika, mógł w końcu pomagać rodzinie. Ale już rok później został wcielony do wojska.

■ Delegacja na całe życie

Po wojsku chciał być blisko rodzinnego domu, dlatego starał się o pracę w pobliskiej Kopalni Rud Żelaza „Grodzisko”, ale okazało się, że tam zatrudniali tylko absolwentów szkoły przyzakładowej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jego

W 1961 roku
K. Maciejewski
ukończył szkołę
w grupie
pierwszych
absolwentów.



KRĘGOWY URZĄD GÓRNICZY
Bytomiu

L. dz. 5331/852/2900/62/2a/22

Bytom, dnia 4 sierpnia 1962 *Wzdr nr 30*

Kierownictwo Ruchoh Zakł. Gór.,
Kop. Węgla Kam. ZAGIEWNIKI
w Bytomiu-Zagiewnikach

znak: K14/DT/12037/62

W załączeniu wniosek z dnia 10.VII.1962 oraz w oparciu o załączony zakres czynności

kręgowy Urząd Górniczy w Bytomiu

ustalenie, że: Ob. MACIEJEWSKI Kazimierz

z dnia 3.X.1941 r. w Kłobucku

czytacz zatwierdzony w charakterze

powiada warunkom ogólnym, naukowym i zawodowym określonym w § 4 i 55 13.3.pkt. a.

sporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 14 sierpnia 1959 r. w sprawie warunków ogólnych,
skowych i zawodowych jakim powinny odpowiadać osoby mające sprawować kierownictwo i do-
ruchu zakładu górniczego (Dz. U. Nr 48, poz. 292) - ratwierdza Go na podstawie art. 93

1 prawa górniczego (Dz. U. z r. 1961 Nr 23 poz. 113) na stanowisko

nadgórnik oddziału górniczego

Kop. Węgla Kam. Zagiewniki w Bytomiu-Zagiewnikach

określenie zakresu czynności

określonym do grupy 2 określonej w § 5 ust. 2 pkt. 1

w rozporządzenia.

REKTOUR

Pierwsze zatwierdzenie uzyskał jeszcze
w kopalni „Zagiewniki”.

ojciec chrzestny znalazł się z Bogusławem Kostką, wtedy głównym inż. górniczym w PBKR Częstochowa. Wystarczyła krótka rozmowa. Inż. Kostka zaoferował mu pracę, tyle że jeszcze dalej od Kłobucka, bo na delegacji w Lubinie, gdzie PBKR zaczęło budowę kopalni.

– 22 listopada 1964 r. wysiadłem na malutkiej stacji kolejowej Lubin Legnicki. Dzień był mglisty i ponury, pora wczesna. Rozglądałem się za taksówką, ale ktoś poinformował mnie, że są tylko dwie, lub trzy, bo miasteczko liczy około 3000 mieszkańców. Zagadnałem o Szyb Wschodni jednego z przechodniów. Oznajmił, że idzie do dyrekcji kopalni, więc nie musiałem szukać drogi. To, co zobaczyłem na miejscu, nie napawało optymizmem. Szyb wyglądał zupełnie inaczej niż znane mi wieże wyciągowe kopalń Górnego Śląska, przypominał raczej budowę wieży wiertniczej, wokół której wszystko tonęło w błocie. Utyłany, w przemoczonych butach dotarłem do kierownictwa budowy – wspomina pan Kazimierz.

■ Szachciaki zamarzały

Trzy dni później Kazimierz Maciejewski rozpoczął pracę w miedziowej kopalni.

– Założyłem szachciaki i zjechałszy kubłem na dół. Na górnym podejściu pomostu, przy pompie cementacyjnej uwijało się kilku górników, na dolnym słychać było huk od młotków odbudowy,

którymi wbijano kolki dębowe w szczeliny piko-
tażowe łączenia tubingów. Górnicy pracowali
szybko, bez słów, ponieważ z za obudowy, niczym
z prysznica, lały się na nich strumienie wody.

Z końcem grudnia kończyliśmy roboty w szy-
bie. O tej porze roku przejście z szybu do łaźni
oddalonej o kilkadziesiąt metrów było istną ka-
torgą, ponieważ przemoczone szachciaki natych-
miast zamarzały – kontynuuję wspomnienia.

Trzy miesiące delegacji zamieniło się w pobyt
na drugi kwartał, potem kolejne przedłużenie,
tym razem na całe... życie. W 1965 r. Kazimierz
Maciejewski poznał przyszłą małżonkę, rodowitą
lubiniankę, pracownicę częstochowskiej PBKR.
Dwa lata później młodzi wzięli ślub i rozpoczęli
wspólne życie w nowym mieszkaniu przy ulicy
Hanki Sawickiej, dzisiejszej Księża Ludwika I.

■ Zacementowali studnię

Szyb Lubin Wschodni częstochowska PBKR
przejecha od PBKRM Lubin, a prace rozpoczęto od
cementacji.

– Przez trzy dni pompowaliśmy cement przez
otwory w tubingach, do momentu gdy na ko-
palnię wpadł zdenerwowany rolnik z Małomic
z pretensjami, że zacementowaliśmy mu studnię.
Okazało się, że w skałach były szczeliny, a po-
niem że tłoczyliśmy pod ogromnym ciśnieniem,
to mimo sporej odległości między Małomicami
a Lubinem Wschodnim, cement przedostał się do
studni – objaśnia pan Ka-
zimierz.

■ Tamy bezpieczeństwa

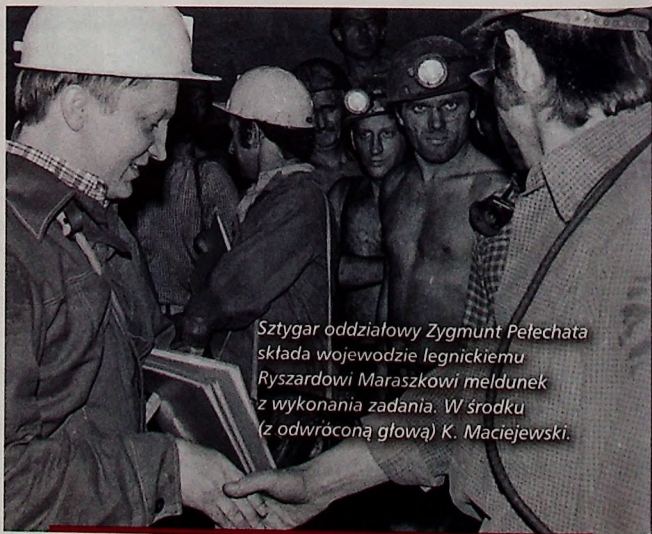
Przez następne trzy
lata Kazimierz Maciejew-
ski pracował na Lubinie
Wschodnim. Jako szty-
gar oddziałowy zaśląnął
z prowadzenia rekordo-
wych zbić chodników.

– W lecie 1965 r. we-
szliśmy na słynny w hi-
storii ZG Lubin chodnik
W4E. Drażyliśmy dwa
przekopy z przeciwnych
stron Szybu Bolesław, dą-
żąc do połączenia z Szy-
bem Głównym. Po dro-
dze zbudowaliśmy dwie

potężne tamy, zabezpieczające kopalnię przed
nagłym wdarcie się wody. Chociaż do dziś nie
zostały użyte, dawały wtedy poczucie bezpie-
czeństwa. Pilnym zadaniem było przebiecie chod-
nika łączącego W4E z chodnikiem pośrednim,
przy przekopie do LG. Za tę robotę wykonaną
w rekordowym tempie obiecano nam odpowied-
nie wynagrodzenie. Z pomiaru na mapie wynika-
ło, że między tymi chodnikami jest ponad 200 m
– opowiada. Po miesiącu przekopali się przez 202
m, ten wynik długo był rekordem. Przyspieszyło
to połączenie chodników i poprawiło wentylację,
której niedostatek wcześniej dawał się górnikom
mocno we znaki.

■ Rekordowe zbicia

Z końcem lat 60. K. Maciejewski przeszedł
na Pole Zachodnie kopalni Lubin. Jego bryga-
dzie powierzono ważne zadanie – wykonania
połączenia z Szybami Głównymi. Przy tych
robotach posługiwali się już większym i nowo-
cześniejszym sprzętem. Np. w miejsce małych
wozów kopalnianych weszły 8-tonowe, pojawi-
ły się także wozy samojedźne typu Joy o ładow-
ności 12 ton, a w przodkach ładowarki łapowe
PNB-3k. Roboty przodkowe też przeszły istną
rewolucję, bo doszły: wiertnice, wozy kotwiące,
wozy do strzelania saletrolem, wozy do wierce-
nia otworów zawałowych, ładowarki ŁK-I oraz



*Sztygar oddziałowy Zygmunt Pelechata
składa wojewodzie legnickiemu
Ryszardowi Maraszkowi meldunek
z wykonania zadania. W środku
(z odwróconą głową) K. Maciejewski.*

sprzęt oponowy produkcji krajowej na licencjach zagranicznych.

Wykonywali obiekty przyszybowe, kierując się jednocześnie wyrobiskami w stronę Pola Głównego Lubina. Po kilku miesiącach nastąpiła jednak zmiana koncepcji przebiecia, ze względu na duży wypływ wody pod ciśnieniem w Polu Głównym. Załoga K. Maciejewskiego musiała cofnąć się kilkaset metrów i rozpocząć drążenie nowymi pochylniami. To wydłużyło drogę a czasu było coraz mniej, więc by zdążyć w terminie, należało drążyć w rekordowym tempie. W pierwszym miesiącu osiągnęli 350 m, bijąc stary rekord. W drugim przekroczyli 400 m.

– Maszyny były przygotowane świetnie, co było zasługą oddziałowego ZG Lubin Zygmunta Kaniewskiego – wspomina. – Szczególnie wzorowo spisały się brygady przodowych: Szporka, Siadkowskiego, Kierata, Grzywacza, Świątkiewicza oraz pracujący w tych brygadach górnicy, wśród których byli m.in. Olek, Milcarz i Kopciowski. Chcieliśmy się przekonać, ile możemy zrobić maksymalnie przez pełny miesiąc. Było to o tyle trudniejsze, że droga odstawy znacznie się wydłużyła. Jako wsparcie dostaliśmy dodatkowo jednego joy'a i ostro ruszyliśmy. Koniec miesiąca przyniósł odpowiedź - 602 m. Tego rekordu już nikomu nie udało się pobić. Nadrobiliśmy zaległości czasowe i w terminie przebiliśmy się do Lubina Głównego.

■ Ostatni strzał dla kolegów

W 1967 r. Maciejewskiego przerzucono wraz z załogą na Szyb Główny, gdzie pracował przy drążeniu chodnika transportowego, który miał łączyć szyb „Bolesław” z szybami L-I i L-III.

– Któregoś dnia, na odprawie przedjazdowej, dowiedzieliśmy się, że do zbiecia pozostało 6 m. W tym czasie posuwaliśmy się przodkiem 4 m na zmianie. Zjechaliśmy na II zmianę i nie chcieliśmy, by następna mogła przebić się jednym strzałem. Po drugiej stronie ściany był mój serdeczny przyjaciel, który „walczył” tam od początku. Mieliśmy bezpośrednią łączność po obu stronach i po telefonicznej rozmowie doszliśmy do wniosku, że to my mamy największe prawo, by się przebić. Tylko co zrobić z tymi dwoma metrami, które pozostaną? Umówiliśmy się, że zrobimy niespodziankę i zakończymy sprawę wcześniej. O godzinie 18 odpaliliśmy po obu stronach chodnika i w szalonym zrywem upora-

liśmy się z wybieraniem odstrzelonego urobku. W pewnym momencie, przy wierceniu górnych otworów strzałowych, wiertło przeszło na drugą stronę. Zobaczyliśmy maleńkie światełka górniczych lamp. Uzupełniliśmy obudowę z naszej strony i ostatni odstrzał oddaliśmy kolegom zza ściany, którzy jechali dłużej. Po kilku latach wróciłem w miejsce bitego przed laty rekordu z montowaniem przenośników Legmet, które miały połączyć Lubin Zachodni z Lubinem Głównym.

■ Górnicy majstersztyk

Z początkiem 1975 roku został przeniesiony z oddziałem na Pole Wschodnie, na dwie pochylnie, które dwukilometrowymi wyrobiskami miały połączyć wentylacyjnie poziomy 740 z 810. Do wykonania były dwa kilometry chodników. Zadanie utrudnił 19-metrowy uskok, z którym mimo to udało się uporać jednej z brygad. Pozostali w tym czasie wydrążyli i oddali do użytku największą w kopalni komorę naprawczą CWR. Halę wyposażono w 12-tonową suwnicę, zamontowaną bez użycia dźwigów na wysokości siedmiu metrów.

W następnych latach oddział wykonywał wyrobiska pod szynowy przewóz bezzałogowy ASEA. Do niego należało odstrzelenie m.in. trzech szybków załadowczych oraz szybika zspycznego. Dokonano tego nowatorską, wcześniej niestosowaną metodą otworów szerokodemensyjnych, a szybek zspyczny był prawdziwym majstersztykiem sztuki górniczej, którym zainteresowali się naukowcy z Politechniki Wrocławskiej. Urządzenia te wciąż służą kopalni, chociaż szybko przestały jeździć samoczynnie za sprawą srebrnych styczników, które nagminnie ginęły.

■ Nie zawsze fair play

W 1979 roku oddział przeniósł się na Pole Zachodnie ZG Rudna, gdzie prowadził roboty przejęte od PBKRM Lubin, m.in. upadowe kilkaset metrów od szybu R-III oraz komorę CWR. Było tu mnóstwo sprzętu i ludzi, a wyniki więcej niż miernie.

– Już po trzech dniach zorientowałem się że ludzie nie wykonywali cykli, maszyny nagminnie stawały z powodu przeróżnych awarii. Doszedłem do wniosku, że niektórzy stosują różne „sztuczki”. Było za dużo operatorów, nie zawsze rywalizowali ze sobą na zdrowych zasadach. Porażał taki np. przekłuć odstochnik paliwa, przez co



Karczma Pivna, lata 80. Ryszard Wojtoń (z prawej) i Grzegorz Mamczur (z lewej) ubierają K. Maciejewskiego w strój karateki, bo w młodości uprawiał ten sport.

silnik łapał fałszywe powietrze i maszyna stała. Niektórzy z nich mieli przy sobie zapasowe odstojniki. Przychodząc na zmianę, wymieniali uszkodzony odstojnik i wydajnie pracowali, by pokazać, że jest się lepszym fachowcem. Wśród elektryków było tak, że u jednych wszystkie prze-

nośniki chodziły, u innych ciągle stawały. Zebrałem całe towarzystwo i oznajmiłem, że jeżeli nie ustaną te częste awarie, wywalę wszystkich i znajdę nowych ludzi. I problemy się skończyły – opowiada K. Maciejewski.

■ Po pas w wodzie

Na „Rudnej” sprzętu nie brakowało, ale warunki górniczo-geologiczne były nie do pozazdroszczenia. Upady i dopływająca zasolona woda powodowały, że np. przy wierceniu dolnych otworów strzałowych pracowało się po pas w wodzie. Poważnym problemem było załadunek materiału wybuchowego do tych otworów. Do tego maszyny ciężkie nie miały kanałów remontowych i w razie awarii, trzeba było kłaść się w błoto, aby je naprawić.

– Wymogiem na zwierzchnikach, aby w niektórych drążonych przez nas wyrobiskach, wybudować kanały rewizyjne do przeglądu maszyn ciężkich. Jednocześnie zaopatrzyłem oddział w odpowiednią ilość pomp przodkowych. Tym to sposobem zlikwidowałem awaryjność maszyn ciężkich i zalewanie przodków dopływającą wodą. Oddział stał się najlepszym w przedsiębiorstwie – wspomina.

■ W krainie deszczowców

Kiedy w Okręgowym Urzędzie Górniczym zdał egzamin i zdobył zatwierdzenia wyższego dozoru górniczego, wrócił jako nadsztygar na Polkowice Wschodnie.

– Zostałem opiekunem swojego dawnego oddziału, odpowiadałem za obudowę wykonywaną przez brygady przodkowe. Wyniki oddziału były słabe, wręcz złe. Wiele wysiłku wymagało przywrócenie normalnego funkcjonowania, szczególnie na wyrobiskach w tzw. krainie deszczowców, czyli na pochylniach

K-1 i K-2, gdzie prawie z każdej kotwy lała się woda pod ciśnieniem kilku atmosfer. Operatorzy fadrom w strugach wody niewiele widzieli, stwarzając tym samym zagrożenie dla innych. W takich warunkach nie można było pracować. Na próbę, pod każdą przeciekającą kotwą za-



Szampanem uczcili górnicy sukces zbitia chodnika T-132 ZG Rudna z kopalnią Sieroszowice. Na zdjęciu od prawej: Jan Suski, naczelny inż. ZRG, Janusz Lipiński, dyrektor ZRG, Ryszard Ziara, przedstawiciel Zjednoczenia Kopalnictwa Rud, Kazimierz Maciejewski, kierownik oddziału PBKR Częstochow. W tle załogi ZRG i PBKR Częstochowa.

budowaliśmy lejki i węzami odprowadzaliśmy wodę na ociosy wyrobiska. Było trochę lepiej, ale to nie rozwiązywało problemu, gdyż otworów były setki. Wtedy zbudowaliśmy konstrukcję pod stropem, na której mocowaliśmy podgumowane płótno podsadzkowe oraz rozcięte lutnie podsadzkowe. Wreszcie dało się po ludzku pracować.

Na polu tym przepracował kilka miesięcy. Ale kiedy pojawiły się kłopoty przy organizowaniu oddziału na Polkowicach Zachodnich, znów został tam rzucony w charakterze pogotowia ratunkowego.

W maju 1985 r. Kazimierz Maciejewski wrócił na kopalnię Rudna, jako kierownik Oddziału Robót Górniczych Budowy 07. Na granicy z „Sieroszowicami” oddział prowadził uciążliwe roboty spowodowane wysoką temperaturą, znacznym nachyleniem, uskokami do 20 m i dużą odległością od szybu. Specjalnością Budowy 07 stało się drażnienie wyrobisk wraz z zabudową przenośników Legmet. Dziś nie ma przenośnika w Polu Zachodnim „Rudnej”, którego by nie zbudowali montażyści Budowy 07.

■ Przez wszystkie szyby

W lutym 1989 r. otrzymał emeryturę, ale na prośbę dyrektora przedsiębiorstwa pozostał na stanowisku. Jego oddział przebudował główną odstawę taśmową z Rudnej Zachodniej na Rudną Główną. Po siedmiu latach powierzono mu połączenie pochylni „A” z szybem SW-3 kopalni Sieroszowice-Polkowice.

– Po tym przebieciu mogłem powiedzieć, że dołem przeszedłem przez wszystkie szyby kopalni KGHM-u. W sierpniu 1999 r. skończyłem 40 lat pracy w górnictwie polskim, z czego 35 lat przypadło na kopalnię KGHM. Pozostałem w nich trwały ślad w postaci wydrążonych wyrobisk, podstawowych obiektów górniczych i urządzeń. Do dziś służą one załogom kopalń, w tym także mojemu synowi Krzysztofowi, który na „Rudnej” jest sztygarem mianowanym maszyn ciężkich – kończy wspomnienia Kazimierz Maciejewski. ■

Na miejscu dowiedzieliśmy się, że do uwieczonych nie ma dojścia. Próby czołgania się w zawalisku między skałami nic nie dały. Ratownicy zaczęli przebierać zasypane wyrobisko, ale na wybranie tych 300 metrów trzeba było około dwóch tygodni. Ludzie zaczęli wątpić, czy ktokolwiek przeżył, a ja przekonywałem, że nie jest możliwe, by wszyscy zginęli w wyrobiskach na froncie, gdzie zostały odprężone filary. I stał się cud!

Narczy
Michał Kunysz,
główny specjalista ds.
tępań i górotworu
w Zakładzie
Doświadczalnym
KGHM.
Pracował w latach
1965 – 1998



Doktor nauk miedziowych

Mógłbym powiedzieć, że rodziłem się dwa razy. Pierwszy raz fizycznie w 1929 roku, we wsi Kraczkowa koło Łańcuta, jako brat bliźniak starszej o kilkanaście minut Izabeli. Drugi raz wróciłem do żywych po śmierci Stalina i likwidacji Berii. Następnego dnia w gazecie łańcuckiej napisano: „Po sześciu latach ukrywania, ujawnił się Narczy Michał Kunysz”.

■ Zamiast Michała - Narczy

Na chrzcie dano mi imię Michał. Narcyzem zostałem po szóstej klasie szkoły powszechnej. Żeby dostać się do siódmej klasy w Łańcucie, na-

leżało uzyskać pozwolenie od starosty niemieckiego w Jarosławiu. Niestety, starosta odmówił mi prawa do dalszej nauki. W tej sytuacji ojciec zameldował mnie u swojego kolegi w Łańcucie pod imieniem Narczyz (miałem u niego mieszkać i pomagać w sklepie) i jako Narczyz Kunysz ukończyłem w Łańcucie nie tylko siódmą klasę, ale potem jeszcze gimnazjum i liceum.

■ Dorównać Jankowi

Na rok przed maturą (1947 r.) wstąpiłem do podziemnej organizacji młodzieżowej „Orleńta”, nawiązującej do tradycji i dyscypliny wyniesio-

nej z przedwojennego ZHP. Chciałem też choć w części dorównać mojemu kuzynowi Jasiowi Uchmanowi - studentowi Politechniki Lwowskiej. Jeszcze przed wojną Jan dorabiał sobie na studiach w boryslawieckich kopalniach ropy naftowej koło Drohobycza, w firmie zajmującej się poszukiwaniem roponośnych złóż. To tam poznał francuski sprzęt do badań geofizycznych. (W czasach odkryć polskiej miedzi jego umiejętności przydały się do wyznaczania budowy złoża rudy miedzi na monoklinie przedsudeckiej). Jasiu miał wiele innych umiejętności, m.in. składał mikroskopijne radia. Koledzy z organizacji „Wici” ścignęli go w czasie okupacji niemieckiej do stolicy, gdzie był dowódcą radiostacji utrzymującej łączność z rządem polskim w Londynie. Podczas Powstania Warszawskiego dowodził również radiostacją na budynku Prudencjał - wówczas najwyższym w Warszawie.

■ Chodzą za panem...

Kiedy po maturze wstąpiłem na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie i rozpocząłem studia na Wydziale Geologii, wydawało się, że moje perspektywy życiowe są jasne i nikt ich nie zdoła pokrzyżować. Bardzo się myliłem. Na drugim roku studiów, po nieudanej akcji „orłęckiej”, doszło w organizacji do ogromnej wpadki. Trudno mi powiedzieć, kto synął, wyłapywano w naszym okręgu prawie wszystkich członków organizacji. Właśnie wchodziłem do akademika, gdy portier Franek, chłop spod Krakowa, zawołał: „Niech pan zaczeka!” Wyszedł z portierni i mówi: „Za panem chodzą! Ja ich znam!”

W tamtym czasie te dwa zdania były na wagę życia. Zniknąłem z uczelni i z życia codziennego. Wszystkim wyłapanym „Orłętom” władza ludowa wytaczała procesy. Posypały się wyroki - od kilku do 10 lat więzienia. A ja wciąż nie dawałem się schwytać. Wciąż zmieniałem kryjówki. Pamiętam, któregoś roku znalazłem się na Wszystkich Świętych u cioci Broni w Kłodzku. W ciągu kilku dni ubecy mnie wytropili. Co prawda zdołałem zbiec, ale przez kilka kolejnych lat w okresie świąt nachodzili ciocię i nękali ją pytaniami.

■ Powrót do normalności

Jeszcze po śmierci Stalina i zlikwidowaniu Berii wciąż się ukrywałem. Dopiero po amnestii w 1956 roku zgłosiłem się do UB w Łańcucie. Było to trzeciego maja w nocy. Funkcjonariusz po

sporządzeniu notatki kazał mi przyjąć następnego dnia. Przyszedłem i po spisaniu protokołu pozwolono mi odejść. Do dzisiaj pamiętam uczucie ogromnej ulgi, ogromny przypływ szczęścia, gdy wychodziłem z komendy. Wróciłem do żywych: mogłem bez strachu iść ulicą, mogłem wejść przez furtkę do rodzinnego domu. Był to kres samotności, udręki spowodowanej trudnościami w zdobywaniu jedzenia, brakiem możliwości umyć się, przebrania itp.

Odnalazłem swój indeks z pierwszego roku AGH i w październiku pojechałem na uczelnię. W nieśmiertelnym płaszczu przeciwdeszczowym (jedynym jaki wówczas miałem) stałem przed dziekanatem, gdy wypatrzył mnie dawny kolega z roku. Był w tym czasie już asystentem. Przywitał mnie z otwartymi ramionami i pomógł w załatwieniu formalności związanych z powrotem na studia. Przyjęli mnie na drugi rok. Koleżanka z dawnej grupy (wówczas już asystentka prorektora do spraw studenckich) przedstawiła moją sprawę prorektorowi. Przekazał przez nią, abym się zgłosił do niego. Zachodzę, a prorektor wskazuje na dużą paczkę przygotowaną dla mnie. Były w niej ubrania, płaszcz, buty, bielizna, wszystko to, co normalny człowiek powinien mieć. Nie muszę dodawać, że w tamtym czasie byłem jak ta przysłowiowa mysz kościelna. Nieco później dostałem również stypendium i mieszkanie w akademiku. I tak urodziłem się po raz drugi i zacząłem normalnie żyć.

■ Koniec z łopatami

Tak się szczęśliwiełożyło, że pracę magisterską robiłem na kopalni węglowej „Janina”, jednej z 2 kopalń węgla kamiennego w województwie małopolskim. Praca dotyczyła łupków pęczniących. Ślęczenia było co niemiara, ale się to przydało, bo kiedy po skończeniu studiów przyszedłem do pracy w starym zagłębiu miedziowym, miałem już we krwi żmudne, mozolne zajmowanie się ciekawymi górniczymi sprawami. W tym czasie w kopalni Nowy Kościół dyrektorem był Władysław Maziarz, kolega z mojego rocznika na studiach. Zaproponował mi stanowisko geologa, a potem zostałem głównym geologiem. Zająłem się również pracą naukową na temat hydrogeologii i systemów eksploatacji, bo wówczas wdrażaliśmy w kopalni system zawałowy i żelazne obudowy. Pierwotnie roboty prowadzono według systemu niemieckiego - z ugięciem stropu na

kosztach drewnianych. Właśnie kopalnia Nowy Kościół pierwsza wprowadziła ścianę z obudową stalowo-członową i systemem zawalowym z przenośnikiem pancernym i wręboladowarką, która wyeliminowała łopaty. Te rozwiązania wymagały analiz oraz opracowań, dlatego zająłem się systemami eksploatacji i właściwościami górotworu.

■ Nowe wyzwanie

W latach sześćdziesiątych ściągano najbardziej doświadczoną kadrę ze starego zagłębia, na nową miedź. Miałem już za sobą kilka publikacji naukowych w „Rudach i metalach”, toteż w 1965 główny geolog zjednoczenia zaproponował mi przejście do organizowanego w Lubinie Zakładu Doświadczalnego. Kiedy przeszedłem do Lubina, pierwszym szybem dojeżdżano już do złoža. Ponieważ moją specjalnością była inżynierska geo-

we Wrocławiu. Wykorzystywałem wszelkie możliwości, by badania wykonywać maksymalnie precyzyjnie.

Zajmowałem się badaniem skał złoža i górotworu oraz jego właściwościami wytrzymałościowymi. To było nowe wyzwanie, bo choć w kopalniach węgla prowadzono podobne prace, nasze złoże było zupełnie inne. Trzeba było je „opróbować”, zbadać, zrobić profil właściwości górotworu, by następnie dostosować do niego systemy eksploatacji i obudowę. Pracowaliśmy całymi dniami, coś zresztą można było robić innego w tym maleńkim Lubinie, w którym kury chodziły po rynku.

■ Kawalerka od Zastawnika

Po miesiącach spędzonych w hotelu pracowniczym, wciąż nie przydzielano mi mieszkania. Poszedłem do dyrektora Zastawnika z interwencją. Dyrektor poradził, bym znalazł sobie partnerkę i się ożenił, a wtedy szybciej dostanę mieszkanie. Niestety takiej partnerki wówczas nie znalazłem, na dodatek byłem raczej nieśmiały, więc o szybkim załatwieniu sprawy nie miałem co marzyć. Dyrektor stwierdził więc pewnego razu, że nie będzie mi szukał żony i przyznał kawalerkę.

W tym czasie nękały mnie (jako spadek po konspiracji) problemy żołądkowe, dlatego starałem się jadać bardzo regularnie, i chętnie stołowałem się w „Ratuszowej” w rynku. Niestety w jadłospisie restauracji nie było ani jednego dania gotowanego. Wpisałem w końcu do książki życzeń i zażądałem prośbę o zaserwowanie choć jednej takiej propozycji. Potrak-

towano to zbyt dosłownie i zaczęto mi przygotowywać codziennie połówkę gotowanego koguta. Po sześciu miesiącach, by tę połówkę zjeść, musiałem wcześniej wypić 50 gramów wódki. Do dziś pozostał mi wstręt do gotowanego drobiu. Przeniósłem się więc do innej restauracji, naprzeciw dworca PKS. Tam codziennie podawano mi gotowaną sztukę mięsa. Po pół roku takiej diety pomyślałem sobie - muszę się ożenić.



Jeden z wielu zjazdów. Narcyz Michał Kunysz drugi od prawej.

logia kopalniana i geomechaniczne właściwości skał, powierzono mi zorganizowanie laboratorium badań skał.

Początkowo nie miałem maszyny wytrzymałościowej, dlatego pierwsze badania robiłem u Piotrusia Nowakowskiego w PBKRM, które już ją miało. Potem KGHM kupił nam dwie maszyny wytrzymałościowe, ale jeszcze nowocześniejsze urządzenia tego typu znajdowały się w „Cuprum”

■ Bratnie losy

Donaldę, moją przyszłą małżonkę, poznałem poprzez żonę kolegi z czasów studiów. Pracowała jako nauczycielka zawodu w Zasadniczej Szkole Gastronomicznej przy ul. Wilczej w Złotoryi. Spodobała mi się bardzo, ale ponieważ byłem od niej nieco starszy, obawiałem się rozczarowania. Kiedyś jednak dowiedziałem się, że Donaldka była na Syberii akurat w tym czasie, kiedy ja się ukrywałem. Ośmielony tym podobieństwem losów, odważyłem się oświadczyć. I była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. Ślub cywilny braliśmy 13 października 1968 r., a potem 19 października ślub kościelny.



Połączyło nas uczucie i podobieństwo losów – mówi Narcyz Michał Kunysz.

Zaczęliśmy wspólne życie w kawalerce przy ul. Mickiewicza, po roku urodził się Jarek. Później przenieśliśmy się na Kilińskiego do 3 pokoi. Wówczas przyszła na świat Marzenka. Następnie

przeprowadziliśmy się na ul. Sportową do pięknego czteropokojowego mieszkania, w którym spędziliśmy kilkanaście lat. Nieco później za te cztery pokoje kupiliśmy dwa mieszkania mniejsze - dla siebie i dla córki. Wędrowaliśmy przez życie jak Cyganie (uśmiewa się na to wspomnienie).

Teraz, od 6 lat, mieszkamy w domku dwurodzinnym w Raszówce. My z żoną z jednej strony, a córka z mężem i szóstką dzieci z drugiej.

■ Odprężanie górotworu

Gdy pod koniec lat 60. rozpoczęły się w firmie prace nad wyborem systemu eksploatacji, nikt nie przypuszczał, że w LGOM wystąpi zagrożenie tąpnięciami. Niestety w styczniu 1972 r. zarejestrowano pierwszy silny wstrząs w kopalni Lubin, a rok później tąpnęło w „Polkowicach” na oddziale G-21. Zginęło trzech górników. To było straszne. Nie tylko nie wiedzieliśmy, jak zareagować, ale też jak tym zdarzeniom przeciwdziałać. Wówczas opracowaliśmy z zespołem koncepcję odprężania górotworu robotami strzałowymi. Wierciliśmy otwory strzałowe i strzelaliśmy po 200 otworów jednocześnie, by górotwór odprężyć. Wtedy ta koncepcja sprawdzała się i był to ważny krok do przodu w ograniczaniu zagrożenia tąpnięciami. Później podobny efekt odprężenia osiągnęliśmy poprzez odpowiednie zagęszczenie komór.

■ Jak w radiu Erewań

Z czasem opracowaliśmy koncepcję zabezpieczania ociosów wyrobisk w strefie roboczej frontów eksploatacyjnych, na co mamy nawet patent, a metoda ta jest stosowana w naszych kopalniach do dzisiaj. Pamiętam, pewnego razu przyjechała do KGHM ekipa profesorów z ZSRR. Nazwisko jednego z nich było mi znane z literatury. Dostałem polecenie, by zjechać z nimi na dół. Pojechaliśmy z profesorami i kadrą inżynierską do ZG Rudna. Pokazałem im wyrobiska w obudowie kotłowej, wysokie i szerokie na osiem metrów - niczym sale koncertowe. Byli tym widokiem ogromnie zaskoczeni.

Półtora roku później opracowałem patent z zagadnień dotyczących bezpiecznego utrzymania wyrobisk i wysłałem go przez KGHM do Urzędu Patentowego w Warszawie. W odpowiedzi otrzymałem kopię patentu rosyjskiego (złożonego w Rosji) z zapytaniem, czy mój patent

nie koliduje z patentem naszych przyjaciół? Zobaczyłem, że autorem jest ów znany mi profesor z ekipy, która u nas gościła. Najprawdopodobniej po powrocie do Rosji, opatentował nasz sposób eksploatacji, a w Warszawie myśleli, że to ja ściągałem z rosyjskiego patentu. Miałem wielką ochotę odpowiedzieć im w stylu Radia Erewań: *Sluchacze pytają: Czy to prawda, że na Placu Czerwonym rozdają samochody? Radio Erewań odpowiada: tak, to prawda, ale nie samochody, tylko rowery, nie na Placu Czerwonym, tylko w okolicach dworca warszawskiego i nie rozdają, tylko kradną.* Oczywiście poinformowałem, że mój patent nie koliduje z tym radzieckim. Potem jeszcze raz spotkałem się z tym wysokim gremium w Leningradzie i mogę powiedzieć jedno: To, nie my, ale oni uczyli się od nas nowoczesnego górnictwa.

■ Zdarzył się cud

Zdarzenie, które mocno utknęło mi w pamięci, miało miejsce w ZG Rudna, w 1985 roku. Prowadzono tam eksploatację wąskiego filaru oporowego. Po tapnięciu w rejonie G-14 dwa wyrobiska dojeściowe zostały zasypane skałami na długości prawie 300 metrów. Siedmiu górników znalazło się w potrzasku. Zadzwoił do mnie dyrektor Adam Studniarek, pojechaliśmy natychmiast na „Rudną”. Do uwięzionych nie było dojścia. Próby czołgania się w zawalisku między skałami nic nie dały. Ratownicy zaczęli przebierać zasypane wyrobiska, ale na wybranie tych 300 metrów trzeba było około dwóch tygodni. Ludzie zaczęli wątpić, czy ktokolwiek przeżył, a ja przekonywałem, że nie jest możliwe, by wszyscy zginęli w wyrobiskach na froncie, gdzie zostały odprężone filary. I cud się stał! Okazało się, że w jednym wyrobisku dojeściowym zasypanym skałami jeden z filarów pękł na pół i u samego stropu powstał niewiel-

ki otwór. To właśnie przez ten otwór prawie wszyscy odcięci zdołali się wyczołgać, oprócz górnika, który został ranny. Ratownicy poszli po niego, niestety zmarł w drodze powrotnej do szybu. Ale i tak to ocalenie zasypanych uznaliśmy wszyscy za cud.

■ Wystrzelać zagrożenie

Od pamiętnego wypadku na „Rudnej” stanowczo sprzeciwiałem się temu, by po wyborcie złoża i strzelaniu zawału odcinać wszystkie wyrobiska. Musiało być dojście do oddziału co najmniej z dwóch stron. W tamtym czasie miałem znaczny wpływ na decyzje podejmowane w sprawie rozczinki złoża. Byłem też przez kilkanaście lat członkiem komisji ds. tapani, obudowy i kierowania stropem w kopalniach rud miedzi, której przewodniczył prof. Zdzisław Kleczek. Dopracowaliśmy się metody ograniczania zagrożenia ze strony górotworu poprzez prowadzenie go do odprężenia głównie techniką strzałową - żeby „wystrzelać” to drżące zagrożenie. Gdy ktoś pyta: Jaki jest ten górotwór?

Narcyz Michał Kunysz z prof. Zdzisławem Kleczkiem (od prawej), przewodniczącym zespołu do spraw tapani.



Odpowiadam: Normalny, jest taki, jaki powinien być, ale wymaga odpowiedniego postępowania. Wyniki swoich badań i doświadczeń z górotworem zawarłem w pracy doktorskiej dotyczącej właściwości fizyko mechanicznych

górotworu złoża kopalń LGOM, którą obroniłem na Politechnice Gliwickiej. Potem również do końca mojej pracy zawodowej zajmowałem się tapaniami i górotworem. Wszystkie moje publikacje, a było ich ponad dwadzieścia, dotyczyły tych tematów. Zajmowałem się też badaniem wytrzymałości pozniszczeniowej próbek skał, z których jest zbudowane nasze złożo, jak również zagadnieniem wytrzymałości pozniszczeniowej filarów. Podałem formułę, jak tę wytrzymałość wyliczyć. Wymagało to ogromu pracy i może to zabrzmie nieskomornie, ale w tamtym czasie w Polsce chyba nikt inny poza mną tym zagadnieniem się nie zajmował.

Myslałem też o dalszej karierze naukowej, już nawet napisałem odpowiednią pracę. Chciałem się habilitować na Politechnice Wrocławskiej, bo tu miałem najlepsze kontakty z prof. Zdzisławem Gergowiczem i jego ekipą. Kiedy jednak nieco później powstały jakieś niechęci i zamierzano pracę konsultować w GIG, zrezygnowałem z tego zamiaru. Właściwie mnie habilitacja jest już niepotrzebna. Ale się przy niej napracowałem, bo sama literatura zawiera 114 pozycji z całego świata.

Trudno powiedzieć dokładnie, w którym roku Michał Narcyz Kunysz przeszedł na emeryturę, gdyż do niedawna publikował, jeździł do „Cuprum” i współpracował z różnymi specjalistami, m.in. z Kazimierzem Mrozkiem - byłym dyrektorem wykonawczym departamentu technologii i produkcji górniczej w KGHM.

■ W kręgu Miedzi

- Wspaniale jest robić to, co się kocha - uważa pani Donalda Kunysz. - Mój mąż - typ naukowca, zawsze robił to, co go fascynowało. Z tego powodu życie u jego boku nigdy nie należało do najłatwiejszych. Cały ciężar prowadzenia domu zawsze spadał na mnie, bo on wciąż był pochłonięty pracą, ślęceniem nad książkami, albo zajęciami przy pszczołach. Z synem miał więcej do pogadania, ale z córką już było trudniej - podsumowuje. - Mimo iż zawsze przykładaliśmy ogromną wagę do nauki, nigdy nie wywieraliśmy nacisku, by dzieci szły śladem ojca. Syn skończył politechnikę na kierunku elektrycznym, córka - Zarządzanie Przemysłem Ciężkim - pracuje w ZG Polkowice-Sieroszowice, a zięć Tomasz w ZG Rudna zajmuje się częściami do maszyn górniczych. Tak więc kolejne pokolenie pozostaje w kręgu Polskiej Miedzi.



Oświadczyłem się Donaldzie i to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu - powtarza po 45 latach wspólnego życia Narcyz Michał Kunysz.

W 2008 roku Jerzy Tenerowicz, związany pracą zawodową z KGHM, inżynier elektroniki i młodszy kolega pana Kunysza, wydał tomik poezji „Nasz miedziowy świat”. Spośród 18 wierszy trzy poświęcił Janowi Wyżykowskiemu, Tadeuszowi Zastawnikowi i Narcyzowi Michałowi Kunyszowi, nazywanemu przez przyjaciół Czym.

CYZIU

*Ciepły, serdeczny głos.
Postać człowieka
Zawsze skromnego i zapracowanego.*

*Geolog, nauczyciel pokoleń.
Doradzał wszystkim.*

*Naprężenia, obwały, tapania,
Fronty, komory, filary.
Komisje, posiedzenia, artykuły.
Doktor nauk miedziowych.
Symbol miedziowego patriotyzmu.*

*To o Tobie Michale Kunyszu!
Lekko pochylony do przodu,
Zawsze podążał za swoimi myślami.
Przychodził, wiedział co mówi.
Słuchali Go wszyscy.
Był tam, gdzie było najtrudniej.
Gdy szedł górniczym chodnikiem,
Mimo swojej kruchości był potęgą.
Nie musiałeś obawiać się złego.
On rozmawiał z górotworem,
Tam na oddziale wydobywczym
Przy wyrzucaniu rudy miedzi z calizny skalnej.
Cyziu, jesteśmy dumni z Ciebie! ■*

Któregoś razu zaszedłem do Związku Emerytów i Rencistów, koledzy zaproponowali mi udział w Karczmie Piwnej ratowników. Wpłaciłem 50 zł i po raz pierwszy poszedłem na karczmę. O rety, jaka to była impreza! Wszyscy na galowo, stoły bogato zastawione i śpiew wspaniały odchodził. Zrobiło mi się nawet żal, że przez te wszystkie lata ominęły mnie te przyjemności. Bo życie specjalnie mnie nie rozpieszczało.

*Tadeusz Madej,
przodowy górnik
strzałowy w PBKRM
i ZG Rudna.
Pracował w latach
1965 – 1976*



Miałem być w pracy, a nie jestem!

– Urodziłem się w Nowym Sączu. Gdy miałem zaledwie półtora roku, zmarł mój ojciec, urzędnik pocztowy. Potem mama wyszła za mąż za pana Bronka, czyli pana Olesiaka, bo tak zwracaliśmy się do ojczyma. Niestety, nie sprawdził się w roli opiekuna, choć mamy przyrodniego brata, którego bardzo lubimy – przyznaje Tadeusz Madej. – Szkołę rozpocząłem podczas okupacji. Uczyliśmy się ukradkiem po różnych domach, ogrodach, bo szkoły w tym czasie zostały przeznaczone na niemieckie koszary.

■ Do szkół powinienem iść

Po wyzwoleniu, w 1946 roku, pan Olesiak pojechał na Ziemię Odzyskaną. Po pewnym czasie wrócił i zdecydował o wyjeździe całej

rodziny do wsi Mysłów, w gminie Kaczorów. Tam mieściła się szkoła podstawowa, do której uczęszczał Tadeusz Madej. Potem w 1949 roku rozpoczął naukę w 3-letniej Zasadniczej Szkole Górniczej w Wałbrzychu.

– Dostałem internat i wyżywienie. Nauka odbywała się systemem łączenia teorii z praktyką. W pierwszym roku pracowaliśmy na powierzchni w różnych działach kopalni Bolesław Chrobry. W drugiej i trzeciej klasie praktykowaliśmy już na dole kopalni. Pamiętam pierwsze zjazdy z duszą na ramieniu. Patrzyliśmy na ociosy i strop, i ze strachu trzymaliśmy się za ręce. Na „Chrobrym” były niskie pokłady, ale jeszcze niższe miała kopalnia Thorez, tam fedrunek odbywał się na kolanach. Nauka szła mi nieźle.

Wyróżniałem się natomiast głosem i słuchem muzycznym. Mieczysław Wójcik - kierownik szkolnego internatu i inż. Jan Matusiak mówili mi: „Tadziu, tobą się trzeba zająć! Masz wspaniały głos i słuch, powinieneś iść do szkół we Wrocławiu”. Próbowałem nawet uczyć się gry na gitarze, ale mieszkając na prywatkach, nie miałem możliwości ćwiczenia umiejętności. Z tego okresu pozostała mi do dzisiaj znajomość kilku chwytów. Potem postanowiłem pójść do technikum górniczego. Przyjęli mnie nawet na czwarty semestr, jednak po trzech miesiącach zaniechałem nauki, bo poczułem już życie towarzyskie. Może i nie wykorzystałem tych talentów – ocenia Tadeusz Madej – jednak w tamtych latach, kiedy wchodziło się w dorosłe życie, najważniejsza była samodzielność.



W październiku 1950 roku uczniowie z wałbrzyskiej zawodówki wycopywali nad Bałtykiem. Dwutygodniowe wczasy ufundowało Zjednoczenie Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu. Tadeusz Madej w pierwszym rzędzie od prawej.



Od prawej na koniu starszy brat Antek. Obok Tadeusz Madej z przyrodnim bratem Bronkiem.

■ Z kilofem i łopatą

Po szkole zawodowej został zatrudniony jako młodszy rębacz w kopalni „Chrobry”. Niższe stanowisko w hierarchii zajmował tylko pomocnik dołowy i wozak, który popychał ręcznie puste wózki na rozjazdach. W większości pracował na ścianie, zwykle z kolegą w tandemie, gdzie był prowadzącym.

– Fedrowaliśmy przy użyciu kilofa i łopaty, ale też byli strzałowi, którzy urabiali węgiel za pomocą dynamitu. Stawialiśmy drewniane stojaki i stropnice, a potem wykładaliśmy je jeszcze okorkami, żeby nie spadały drobne odłamy skalne. Węgiel fedrowaliśmy na pierwszej i drugiej zmianie, potem trafiał on na przenośniki zgrzeblowe albo rynny potrząsalne – takie korytka długości około 2 m. Na trzeciej zmianie wyznaczeni ludzie przekładali te rynny z jednego pola

na drugie. Na dużych upadkach stosowaliśmy dodatkowo w rynnach przenośniki „Bajana”, by zapobiegać spadaniu węgla.

■ Widzę w tobie ratownika

Po 12 latach Tadeusz Madej przeniósł się z węgla kamiennego na węgiel brunatny w Węglińcu a dokładniej do kopalni „Kaławsk”.

– Na „Kaławsku” również urabialiśmy węgiel kilofem i siłą mięśni, a następnie ładowaliśmy go na wózki. Warunki pracy były ciężkie: w chodnikach ciągle mokro i nieprzyjemnie, pracowało się w półmroku, bo lampki górnicze rozświetlały jedynie najbliższe otoczenie.

– Kierownik mojego oddziału Stanisław Kuśsek był również szefem stacji ratowniczej na Węglińcu. Przywołał mnie kiedyś do siebie i mówi: „Kolego Tadku, widzę w tobie ratownika. Proponuję ci kurs w Wałbrzychu. Masz sporą wiedzę teoretyczną, doświadczenie i chętnie ludziom pomagasz”. Pomyślałem: czemu nie? Przecież przy okazji odwiedzę mój ukochany Wałbrzych. Kurs i egzamin końcowy odbywał się w Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w dzielnicy Nowe Miasto. Zdałem z wynikiem dobrym, ale mogłem z jeszcze lepszym. Kiedy dyrektor kursu wyczytywał wyniki egzaminów, zatrzymał się przy moim nazwisku i pogroził mi przy wszystkich kursantach z Dolnego Śląska. On wiedział, że się nie przyłożyłem. Ale przecież będąc w moim Wałbrzychu, musiałem odwiedzić znajomych i trochę się zabawić.

Przywołuje z pamięci pierwszą akcję ratowniczą. Zostali wezwani do pożaru w kopalni glinki ceramicznej w Nowogrodźcu koło Bolesławca. Trzy zastępy jechały obudowanym samochodem ciężarowym z poustawianymi w środku ławkami. W tamtych czasach ratownicy jadący do akcji nosili ubrania z drelichu. Natomiast najważniejszym elementem wyposażenia był najbardziej popularny do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku aparat oddechowy Draeger model 160A, który ważył około 16 kg.

– Podejrzewaliśmy, że to tylko ćwiczenia, bo cóż mogłoby się palić w kopalni glinki mineralnej? Niestety kopalnię spowijał gęsty, duszący dym. W jednym z chodników paliły się organy, czyli drewniane stojaki – stawiane gęsto jeden przy drugim. Poinformowano nas, że zostało odciętych 12 ludzi. Niestety, ogień się rozrastał i obejmował coraz większe obszary kopalni. Przez



Talerz z motywem Krzyża Maltańskiego ma swoje stałe miejsce w mieszkaniu przy Jastrzębiej.

kilkanaście godzin budowaliśmy tam wentylacyjną, by zmienić kierunek prądu powietrza i powstrzymać rozprzestrzenianie się ognia – objaśnia Tadeusz Madej. – Wypaliło się wszystko do cna, pozostało tylko zawalisko. Na szczęście, ofiar nie było, bo jak się okazało, w ostatnim momencie udało się wszystkim górnikom wycofać.

■ Przodowi jak selekcjonerzy

Kiedy do kopalni Kaławsk zaczęły docierać wieści o powstaniu nowego zagłębia miedziowego, Tadeusz Madej, ciekawy świata, ruszył do Lubina. Był 1965 rok, trafił do PBKRM. Dyrekcja firmy mieściła się już wtedy na terenie kombinatu.

Według angażu został młodszym górnikiem. Rok później zdobył również uprawnienia strażakowe. Jego pierwszym szefem – kierownikiem oddziału był nomen omen Bolesław Prus.

– Początkowo pracowałem przy drażnieniu szybu P-VI na Polkowicach Zachodnich. Naj-

pierw inne firmy zamrażały górotwór. Po uzyskaniu pełnego zamknięcia płaszcza mroźniowego i odpowiedniego stanu zamrożenia górotworu, PBKRM przystępowało do głębinia szybu – wyjaśnia pan Madej.

Podstawowym narzędziem pracy były młotki pneumatyczne, łącznie z łopatką lub grotem, o wadze 36 kilogramów. Praca przy użyciu takiego młotka była ciężką harówką. Jak wyjaśnia pan Madej, posługujący się młotkiem musi nim odpowiednio kierować, musi wypośrodkować niezbędny do efektywnej pracy docisk oraz przejmować i tłumić szkodliwe dla zdrowia drgania, odrzuty i wstrząsy.

– Proszę sobie wyobrazić dno szybu o średnicy dziewięciu metrów i około dwudziestu górników, którzy zaczynają włom przy użyciu młotków. Najpierw jadą od środka szybu, a potem stopniowo coraz szerzej się rozchodzą. Wołają huk i ogromne zapylenie, które sprawia, że jeden drugiego nie widzi. Pamiętam, ciągle zmienialiśmy wiertła na coraz dłuższe, żeby mniej czasu zabierała nam ich wymiana – objaśnia Tadeusz Madej. – Najciężej było wtedy, gdy dochodziliśmy do ociosów i trzeba było pikować z kolana, czyli podtrzymywać młotek nogą.

Niektórzy z przodowych, szczególnie gorliwi, zachowywali się jak ...selekcjonerzy. Najpierw cały czas obserwowali pracujących, a potem zamawiali kubeł i tych upatrzonych, którym nie szło najlepiej, tręcali w ramię, wskazując bez słowa kubeł. Wywiezionych w kubeł już się w robocie więcej nie widziało. Nie dostawali szans dojścia do wyprawy, choć niejedni z nich gryzłby tę skałę zębami, żeby tylko się utrzymać, bo przecież mieli rodziny. Myślę, że gdyby w tej chwili w górnictwie miedzi panował taki system jak kiedyś, to nowe pokolenie górników nie zdołałoby zrobić tej roboty w takim tempie, w jakim my wykonaliśmy – przekonyuje Tadeusz Madej

■ Proszę czekać!

Nie zagrzał długo miejsca w polkowickim hotelu. Jako ratownik, Tadeusz Madej w krótkim czasie dostał mieszkanie, M-2 przy ul. Mickiewicza w Lubinie.

Na jednej z Barbórek poznał uroczą legnicką Barbarę. Po pół roku chodzenia, w 1972 roku wzięli ślub. Po roku urodził się Marcin, a potem Magdalena.

Życie w kawalerce z dwójką dzieci było bardzo ciężkie, zwłaszcza że córka urodziła się z niepełnosprawnością ruchową.

– Zwróciłem się do firmy o pomoc w pozyskaniu większego mieszkania. Niestety w dziale socjalnym usłyszałem jedynie: „Proszę czekać!”.

– Kiedy więc zgłębiliśmy szyb R II na „Rudnej”, koledzy doradzili, bym przeniósł się do pracy w ZG Rudna, bo tam przyjmują i od razu dają mieszkania. Zgłosiłem się do zawiadowcy i przedstawiłem całą sytuację. A on na to: „Jak strzałowy, to niech pan natychmiast przychodzi, a mieszkanie będzie za 3 miesiące!”. To była prawda. Za kilka miesięcy przenieśliśmy się do trzypokojowego mieszkania przy ul. Jastrzębiej.

■ Biegiem do krzyżówki

W ZG Rudna skierowano mnie na Szyb Zachodni, gdzie pracowałem na G-II.

– Raz ładowaliśmy z kolegą przodek. To było na międzymianie - pierwszej zmiany już nie było, a druga jeszcze nie dotarła. On z drabiny ładował otwory znajdujące się w górnej części wyrobiska, a ja, stojąc na spągu, ładowałem te niższe. Akurat nabijałem wsuwałem materiał. W pewnym momencie podczas ładowania odspoła się łąta skalna. Trudno mi powiedzieć czy ze stropu, czy z czoła przodka. Uderzenie przyszło z góry. Jak mi potem opowiadał kolega: upadłem w sam środek wody, która pozostała po odwierceniu otworów strzałowych. On mnie natychmiast z tej wody wyciągnął, a że był to chłop na schwał, więc wziął mnie na ręce i biegiem około 150 m do krzyżówki, bo liczył, że ocknę się w prądzie świeżego powietrza. Niestety, był to znacznie poważniejszy uraz głowy i przez dobę nie mogłem odzyskać przytomności. Kiedy się obudziłem, nie miałem pojęcia, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Pierwsza myśl jaka przyszła mi do głowy to: „Rany boskie, przecież ja miałem być w pracy i nie jestem!” Za-uważyłem stojących koło łóżka ludzi w białych fartuchach. Opowiedzieli mi, co się stało i gdzie jestem – opowiada o dramatycznych momentach.

Tadeusz Madej dość długo pozostawał w szpitalu. Potem trafił do Lubiąża, na oddziałle piątym był pododdział dla górników. Po powrocie do domu wciąż nie mógł odzyskać pełni zdrowia. Nawracające bóle i zawroty głowy uniemożliwiały mu normalne funkcjonowanie.



Pamiątkowy kufel z „pierwszej” Karczmy Piwnej.

Przyjmował mnóstwo leków. Potem w miarę upływu czasu przyplątywało się coraz więcej chorób.

– Wielokrotnie próbowałem wrócić do pracy, ale za każdym razem dyskwalifikowały mnie wyniki badań lekarskich. Ostatecznie skończyło się moje górnictwo. Zostałem rencistą, a potem emerytem. Jeszcze kiedy byłem młodszy, więcej czasu poświęcałem Madzi, dużo spacerowaliśmy, teraz jednak omdlewają mi ramiona. I dzieci są już dorosłe – mówi pan Madej. – Marcin ma 41 lat, zraził się do górnictwa przez mój wypadek, dlatego wybrał budownictwo.

■ Wciąż lubię śpiew i taniec

Przetrwwały jednak młodzieńcze pasje - zainteresowanie sportem. Oczywiście od zawsze interesował się piłką nożną. Na początku był zagrałym kibicem Górnika Wałbrzych, potem, po przejściu do Lubina, nie opuszczał żadnego meczu Górnika (1960-1966), a następnie Zagłębia Lubin.

– Kiedy wyszło na jaw, że mecze są kupowane, bardzo się zraziłem i piłka nożna przestała dla mnie istnieć. Teraz pasjonuję się siatkówką i tenisem ziemnym. Ostatnie półfinały i fina-

ły w Rzymie były dla mnie sporą dawką emocji. Lubię emocje, wciąż lubię śpiew i taniec – przyznaje Tadeusz Madej. – Ktoregoś razu zaszedłem do Związku Emerytów i Rencistów, koledzy zaproponowali mi udział w Karczmie Piwnej ratowników. Wpłaciłem 50 zł i po raz pierwszy poszedłem na karczmę. O rety, jaka to była impreza! Wszyscy na galowo, stoły bogato zastawione i śpiew wspaniały odchodził. W pewnym momencie zrobiło mi się nawet żal, że przez te wszystkie lata ominęły mnie takie przyjemności. Bo życie mnie specjalnie nie rozpieszczało. ■

Robiłem zdjęcia podczas wizyty w legnickiej hucie I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i premiera Piotra Jaroszewicza. Znałem w zakładzie „tajemne” przejścia i niespodziewanie wyskoczyłem z bocznego pomieszczenia, by sfotografować gości. Błysnąłem władzy lampą po oczach, a ochrona była kompletnie zaskoczona. Dopiero potem dotarło do mnie, że przecież mogłem od „goryli” porządnie oberwać.

*Bogusław Kubicki,
inspektor BHP,
dyspozytor huty,
działacz zakładowego
PTTK. Pracował
w Hucie Miedzi
Legnica w latach
1966 – 2007*



„Ogórkiem” po kraju

Bogusław Kubicki zajął się fotografią niejako z urzędu. Miał w obowiązkach sporządzanie dokumentacji powypadkowej, na którą składały się między innymi zdjęcia. Dodatkowo obsługiwał różne zakładowe uroczystości. Umiejętność fotografowania bardzo się mu też przydała, gdy aktywnie działał w hutniczym oddziale Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, robiąc fotki z wędrowek po Polsce.

■ Krajowy zjazd w hucie

Niemal zaraz po przyjęciu do zakładu w 1966 roku, włączył się w pracę PTTK.

- Mój pierwszy szef Ryszard Chabior już wcześniej działał w towarzystwie. A że siedzieliśmy biurko w biurko i rozmawialiśmy nie tylko o obowiązkach zawodowych, szybko zaraziłem się od niego turystyką – wspomina Bogusław Kubicki.

W hucie początkowo funkcjonowało zakładowe koło towarzystwa, które zarejestrowane było przy oddziale miejskim. Z każdym rokiem zapisywało się do niego coraz więcej pracowników. Szybko utworzono więc przy zakładzie oddział PTTK. Działały w nim sekcje: kajakowa, narciarska, górskich wycieczek pieszych, motorowa, motocyklowa i samochodowa.

Z czasem liczba członków urosła do około 700, i poszczególne wydziały huty utworzyły własne sekcje, a ludzie z Legmetu powołali przy niej oddzielne koło. Członkowie byli tak aktywni, że któregoś roku zorganizowano w hucie krajowy zjazd PTTK.

Towarzystwo kupowało sporo sprzętu, który początkowo przechowywano w magazynie, przy Klubie Hutnik. Potem kajaki i namioty przewieziono do Klubu Posejdon w Kunicach, gdzie do dzisiaj urządza zarząd towarzystwa.



Zakończenie rajdu po Górach Kaczawskich. Na pierwszym planie Franciszek Grzesiek, ówczesny dyrektor huty. Od lewej Waldemar Lanckoroński, przewodniczący zakładowych związków zawodowych OPZZ. W środku sekretarz komitetu zakładowego PZPR przy Hucie Miedzi Marian Kot.

Działalność członków miała zawsze poparcie dyrekcji, niektórzy szefowie sami się w nią włączali i brali udział we wspólnych wyjazdach. Dużym powodzeniem wśród pracowników cieszyło się kajakarstwo. Na spływy letnie, a nawet zimowe „pisali się” nie tylko panowie, ale i panie.

– Z czasem zrobiłem przewodnika turystyki kajakowej i samodzielnie prowadziłem spływy.

Dunajcem płynąłem 5 razy, zaliczając tylko jedną wywrotkę, co było niemalym osiągnięciem. Pływaliśmy też Kaczawą i Odrą, zbierając punkty na odznaki – mówi pan Bogusław.

■ **Hutnicy na sianie**

Powodzeniem cieszyły się też wyjazdy na narty do Szklarskiej Poręby i Zielenicy. Waldemar Weber i Henryk Zelek zapisali się w pamięci Bogusława Kubickiego, jako świetni narciarze.

On sam często organizował rajdy piesze. Ulubionym kierunkiem wypadów pracowników były Góry Kaczawskie.

– Opracowywałem kierunki marszu, załatwiałem noclegi, zdarzało się że spaliliśmy u go-



Przed spływem Dunajcem. Do bazy wypadowej uczestnicy dojechali zakładowym autobusem jelec, który nazywano ogórkim.

spodarzy na sianie, w stodołach. Każda trasa miała swojego kierownika, który przed wyjazdem jako pierwszy musiał ją przejść, dokładnie poznać i ułożyć pytania do konkursów wiedzy o zwiedzanym terenie. Uczestnicy rajdów chętnie brali w nich udział, bo KGHM fundował cenne nagrody. Na wycieczki często woził nas zakładowym autobusem jelec, zwanym ogórkiem, nasz etatowy kierowca Mieciu Nadolny. Czasami wyprawa była bardzo liczna i podstawiano dwa „ogórki”. Nasze rajdy cieszyły się tak wielkim powodzeniem, że „podczepiali się” pod nie pracownicy politechniki, a także żołnierze i uczniowie legnickich szkół wojskowych. Zakładowy oddział PTTK miał nawet swój sztandar, który zawsze nosiliśmy w pochodach pierwszomajowych – wraca pamięcią do dawnych lat Bogusław Kubicki.

Na wycieczki, rajdy, spływy i wczasy namiotowe z zakładowym PTTK jeździły także rodziny pracowników. Najpierw ekipa przygotowywała odpowiednią bazę, zwykle pod Ośnem w Lubuskiem – stawiano namioty, „ekologiczne” toalety, na końcu przyjeżdżały żony hutników z dziećmi, które miały tu całą masę atrakcji.

Bogusław Kubicki przez lata był członkiem zarządu oddziału PTTK przy hucie, a przed przejściem na emeryturę pełnił funkcję skarbnika. Z zakładem rozstał się w 2007 roku, ale do dzisiaj ma kontakt z kolegami, z którymi przepracował ponad 40 lat.

■ Przeształ pchać wózek

Przez kilka lat zatrudniony był w zaopatrzeniu inwestycyjnym. Kiedy przyszedł do huty, liczyła jakieś 3600 osób (bez ludzi z firm świadczących dla niej usługi). Zakładem kierował wówczas Franciszek Grzesiek. Później awansował na dyrektora Zjednoczenia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych w Katowicach, któremu początkowo huta podlegała. Tam Bogusław Kubicki, często jeździł w delegacje.

– Gdy wybierałem się na Górny Śląsk, to co najmniej na tydzień. Dostawałem często od dyrektora zamówienie podpisane in blanco, a jego treść uzupełniałem dopiero na miejscu, po zaglądnięciu do dokumentacji opracowywanej dla nas przez Bipromet – opowiada Bogusław Kubicki.

Był to czas rozbudowy zakładu – unowocześniano wydział elektrolizy, modernizowano piece szybowe, konwertyory, piece anodowe, oczyszczal-

nię, zorganizowano od nowa brykietownię. Kobiety nie musiały już pchać ciężkich wózków. Część z nich przeszła na emeryturę, a część „rozrzucono” po różnych wydziałach huty.

W 1969 roku pan Bogusław został inspektorem BHP. Potem przez 9 lat, do 1989 roku, był kierownikiem zmiany całej huty, następnie krótko kierownikiem działu samochodowego. Na emeryturę przeszedł z działu koordynacji dostaw. Tuż przed nią musiał się nagłówekować, bo wprowadzono wówczas system komputerowy SAP. Za solidną pracę dostał Srebrny Krzyż Zasługi.

■ Nakręcili film

Bogusław Kubicki najdłużej, bo 11 lat, pełnił funkcję inspektora BHP. Wcześniej, hutnicy zaliczali szkolenia, siedząc w niewielkiej salce i słuchając nudnych wykładów odtwarzanych z magnetofonu. Niektórzy po prostu podsypiali. Inspektorzy musieli z tym skończyć, bo rocznie zdarzało się przy pracy nawet 200 wypadków. Dochodziło do urazów mechanicznych, zatruc gazowych, a nawet wypadków śmiertelnych. Ludzie nie uważali, ale i urzędnicy nie byli należytą zabezpieczeni. Od zaraz zaczął więc wprowadzać zmiany w sposobie szkolenia, starając się je uatrakcyjnić.

Tak się złożyło, że w tym czasie przychodnię przyzakładową, w której pracował wówczas tylko jeden lekarz, doktor Jaworowicz, przeprowadzono do nowych pomieszczeń. Usiadł więc i zaczął rysować na kartce plan sali projekcyjnej. Wtem usłyszał nad głową głos dyrektora Motyla: „A co pan tu maluje?”. Wy tłumaczył, jakie zmiany chciałby przeprowadzić. Szef pomysł podchwycił i tak w pomieszczeniach dawnej przychodni w latach 70. zorganizował salę projekcyjną. Wyświetlał w niej filmy o bezpieczeństwie i higienie pracy. Potem na budynku zamontowano neon z hasłem BHP, żeby „dawał ludziom po oczach”.

Razem z inżynierem Józefem Kokoszyńskim, inspektorem do spraw suwnic, zaproponowali nakręcenie filmu dla celów szkoleniowych. KGHM wyłożył na to pieniądze. Z Warszawy, z Wytwórni Filmów Dokumentalnych, przyjechała ekipa i wcieliła pomysł w życie. Kiedy wszystko już było gotowe, urozmaicali wykłady projekcjami. Organizowali też szkolenia z prawa pracy, a lekarz uczył jak udzielać pierwszej pomocy. To przyniosło dobre rezultaty, z czasem liczba wypadków spadła do 20-30 rocznie.

■ Premierowi po oczach

Zatrudnieni w dziale BHP wyposażeni zostali w dobrej jakości sprzęt.

– Dostaliśmy lustrzanki, aparaty służyły między innymi do dokumentowania ważnych dla huty momentów. Któregoś roku, za dyrektora Witolda Grabowskiego, otwieraliśmy wydział ciągłego odlewów miedzi. Na otwarcie przyjechał minister. Robiłem zdjęcia z tej uroczystości. Od ręki trzeba było je wywołać i oprawić, bo po południu wręczano je gościom na spotkaniu w zarządzie. Na drugi dzień wezwał mnie do siebie dyrektor. Myślałem, że dostanę tzw. opr., a usłyszałem: „Proszę zgłosić się do kasy”. Odebrałem wówczas premię specjalną za jedno fantastyczne ujęcie. Niestety nie zachowałem

goryli oberwać. Potem zemścili się na mnie i zablowali mi drzwi.

■ Kabaret z jednym „wariatem”

Pan Bogusław często gościł w Domu Kultury Hutnik. Tu, w czasach kryzysu w zaopatrzeniu, można było wypić całkiem dobre piwo. Ale na nim się nie kończyło.

Swego czasu zmobilizował kolegów i założyli kabaret. Jerzy Wawrzków, pracownik hutniczej ciepłowni, prowadził kapelę, która zajęła się stroną muzyczną.

– Mieliliśmy w zespole zwariowanego kolegę, którego musieliśmy pilnować, żeby z czymś nie wyskoczył. Teksty naszego kabaretu były oczywiście

ściśle cenzurowane. Ale on jakby o tym zapominał i „jechał” ze sceny z politycznymi kawałami. Po uszach nigdy jednak nie dostaliśmy. Rodzynkiem w zespole była koleżanka – Irena Pater – późniejsza radna rady miejskiej w Legnicy. Nie bawiliśmy się jednak długo w kabaret, bo podjąłem studia na wydziale mechanicznym zielonogórskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej i nie miałem już na to czasu – wspomina.

Po skończeniu studiów został kierownikiem zmiany całej huty. W praktyce na drugiej i trzeciej zmianie pełnił funkcję jej dyrektora. Jednak praca o różnych porach stała się dla niego uciążliwa, bo zaangażował się w budowę osiedla, które stało się niejako jego pomnikiem. Mieszka na nim dzisiaj wielu ludzi związanych z KGHM.



Wizyta w Hucie Miedzi Legnica i sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i ówczesnego premiera Piotra Jaroszewicza. Rok 1976 rok.

tej fotografii. Ale zatrzymałem inną z pamiętnej wizyty w hucie i sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i premiera Piotra Jaroszewicza.

Pamiętam, że wówczas przyjechał za władzą tłum fotoreporterów. Miałem nad nimi przewagę, bo znałem „tajemne” przejścia w firmie. W pewnym momencie wyszedłem z bocznego pomieszczenia na wprost gości i zrobiłem zdjęcie, błyskając im lampą po oczach. Ochrona, dzisiaj powiedzielibyśmy vipów, była kompletnie zaskoczona. Dopiero później dotarło do mnie, że przecież mogłem od

■ Osiedle w strefie ochronnej

– Mieszkalem w bloku, w Legnicy, ale zawsze ciągnęło mnie do własnego domu. Dlatego z czasem skrzyknąłem kilkadziesiąt osób i wzięliśmy się za budowę domków jednorodzinnych. W zespole tym znaleźli się ludzie różnych zawodów potrzebnych na budowie, co było dla nas korzystne – wspomina Bogusław Kubicki.

W KGHM panowała wówczas atmosfera sprzyjająca takim przedsięwzięciom. Pracownicy mieli dostęp do hutniczego złomu, który



Kabaret „Wizja” na scenie. Z lewej Bogusław Kubicki, w środku „zwariowany” Wiesiek. Początek lat. 70.

przydawał się na budowie, korzystali odpłatnie z zakładowego transportu i stolarni. W tamtych czasach banki udzielały kredytu na budowę jedynie na jeden procent. Więcej kłopotu mieliśmy z dostaniem dobrego terenu pod budowę.

– Kusił mnie obszar niedaleko huty, na osiedlu Białe Sady, zwłaszcza że w pobliżu miałem już garaż. Znałem więc tę dzielnicę i choć początkowo miasto wskazywało nam inne lokalizacje, udało się załatwić działki tam, gdzie sobie wymarzyliśmy. Skorzystali przy tym również górnicy, którzy też dostali tu grunt pod budowę. Z czasem powstały 33 domki jednorodzinne na terenach leżących w dawnej strefie ochronnej huty, która z biegiem lat znacznie się skurczyła – wspomina lata 80. Bogusław Kubicki.

Legnicę i jej ulice pamięta od czasów powojennych. Krótko po zakończeniu wojny przyjechał tu z rodzicami z Bawarii, gdzie urodził się w 1946 roku. Tam poznali się jego matka i oj-

ciec, wcześniej wywiezieni na roboty do Niemiec. W Legnicy czekali na nich krewni.

– Rodzice opowiadali, że tuż po wojnie legniczanie mieli zwyczaj wychodzić na dworzec Północny, by zobaczyć, czy do miasta nie przyjechał ktoś znajomy – mówi pan Bogusław.

Początkowo Kubiccy mieszkali przy ul. Młynarskiej, w starym centrum Legnicy, potem na Henryka Pobożnego. Kiedy pan Bogusław przyjął się do huty, dostał mieszkanie w bloku przy ul. Pancernej. Teraz od lat mieszka we własnym domu, mając przez płot towarzystwo kolegów z huty. Oddaje się łowiению ryb, prowadzi stronę internetową Polskiego Związku Wędkarskiego i ciągle jest aktywny. ■



Miałam tego dość, wiedziałam, że trzy gotowe heblarki były schowane w kanałach. Powiadomiłam związek zawodowy i zwierzchników. Rozkręciła się afera, były konsekwencje służbowe dla kombinatorów, ale i ja miałam sporo nieprzyjemności z ich strony. Zaczęli podchody, by mnie zwolnić; pisali donosy, że jestem pyskata i niekoleżeńka.

Wanda Michalec, spawacz i operator prasy w warsztatach mechanicznych ZG Lubin. Pracowała w latach 1967 – 1994



Nr 8780/22

Imię i nazwisko Wanda Michalec

urodzony dnia 29 września

w Lubin

powiat

wykształcenie

Modłę się za dyrektora Jesionka

Przyjechali ze Zjednoczenia i powiedzieli nam: „Wybudowaliście „Turów”, teraz zabieramy was na budowę Lubina”. Przywieźli ze sobą 400 kartotek personalnych, werbowali wszystkich z produkcji. Mnie również zaproponowano przeniesienie i w 1967 roku zostałam pracownikiem SOWI (Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego). Jechałam do Lubina z nadzieją, że tutaj będzie mi łatwiej zacząć wszystko od nowa, że poukładałam sobie życie i szybciej stanę na nogi. A drugi powód, to coraz bardziej zatrute powietrze nad Turowszowem. Miałam już dziecko i nie chciałam, żeby wychowywało się w takim niezdrowym miejscu.

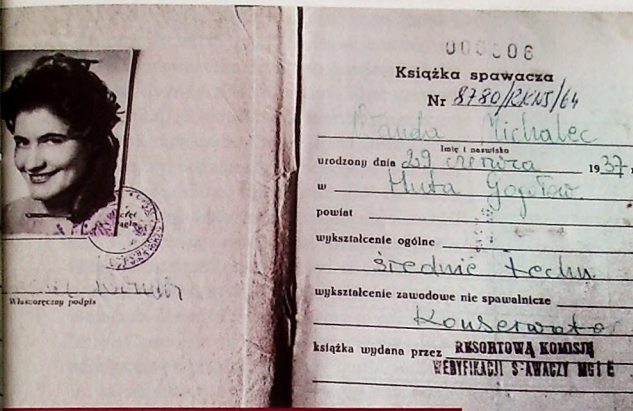
■ Baba spawaczem!

Warsztaty mechaniczne Zakładów Górniczych Lubin, gdzie miałam później pracować, jeszcze nie były wybudowane. Wylewano dopiero płyty fundamentowe, a my pomagaliśmy wyrównując świeżo położony beton. Któregoś dnia natknęłam się na Jana Sadeckiego, który u nas, w Turowszowie, odbywał praktykę studencką. Zapytał: „Wandzia, co ty tutaj robisz?” „Przyjechałam do roboty.” – odpowiedziałam. On już od dwóch lat był kierownikiem w SOWI.

Kiedy ruszyły warsztaty, zgodnie z moim zawodem - zostałam spawaczką. Przychodzili z całej kopalni i jak małpę mnie oglądali: Baba

spawaczem! „Ciekawe czy potrafisz spawać?” - zaczął mnie któryś ze spawaczy. „To chodź, spróbujemy się.” - odparowałam, bo nie bałam się konfrontacji. Sztymar podszedł i patrzył. Zdębiał, jak zobaczył moją robotę. „Teraz się nie dziwię, że przychodzi i oglądają.” - pochwalił. Dobre spawanie poznaje się m.in. po tym, że

z warsztatów chodzą do kadr, by się o to wypytać. Niektórzy zaczęli mnie nawet traktować trochę lekceważąco, tykać. Nie mogłam na to pozwolić: „Będziecie mi mówić: pani Wando!” - postawiłam sprawę jasno. Praca to praca, rozdzielałam sprawy prywatne i zawodowe; nie chciałam, żeby ktoś wtykał nos w moje życie.



■ Pod wodą w kesonach

Spawaczem nie zostałam tak od razu. Najpierw próbowałam zacząć się w Warszawie, pracowałam trochę w szpitalu, potem w Radzyminie, w Zakładach Produkcji Cegły Silikatowej. Ale za 600 zł, które tam zarabiałam, ciężko się było utrzymać. Wtedy bardzo dobrze zarabiali spawacze, więc postanowiłam się przekwalifikować - a decyzję zawsze podejmowałam szybko. Szkołę miałam w Gdańsku, gdzie nawet zrobiłam kurs spawania podwodnego w kesonach.

Uprawnienia spawalnicze zdobyła pracując w kombinacie w Turoszowie.

jak się porządnie zrobi, to szlaka sama odpadnie, a jeśli byle jak, to trzeba młotkiem odbijać i nie zawsze odejdzie. Mam uprawnienia na spawanie elektryczne i gazowe, tzw. autogeniczne. Spawałam różne rzeczy, głównie dla dołu, np. dłużnice. Przez pierwsze lata, jako matka samotnie wychowująca dziecko, pracowałam tylko na jedną zmianę, a gdy syn podrośł, musiałam chodzić na dwie.

Początek pracy na „Lubin” nie był dla mnie zbyt przyjemny: młoda kobieta, sama z dzieckiem - dobry temat do plotek, zwłaszcza że ja nigdy z nikim nie rozmawiałam o swoim osobistym życiu. A wszyscy wokół mnie chcieli wiedzieć, czy jestem rozwódką, czy panną; nawet koleżanki



22 lipca 1959 roku Wanda Michalec (w środku) brała udział w pokazach gimnastycznych na Stadionie Dziesięciolecia.



1962 rok. W elektrowni „Turów” pracowała na stanowisku spawacza.

Poszło mi tam średnio, bo na trójkę zaliczyłam, ale w końcu nie zamierzałam spawać statków pod wodą.

Praktyczne egzaminy spawalnicze zdawałam pracując już w Kombinacie Górniczo-Energetycznym „Turów”. A było tak: Wchodzę według kolejności na salę, a ktoś z komisji egzaminacyjnej woła do mnie: „Co pani tu robi? Pana Michalca proszę zawołać”. „Teraz moja kolej, nazywam się Wanda Michalec” – mówię do nich. „To myśmy babę szkolili?” – zdziwili się. Próbowali mnie oblać, długo mnie trzymali i zadawali najróżniejsze pytania: Ile butla waży? Jakich elektrod się używa? Potem wzięli się za przepisy BHP, maglowali z pierwszej pomocy.

Zrobiłam również uprawnienia na suwnice, w Turowszowie jeździłam na suwnicach ramowych, elektro-magnesowych i samojezdnych. Przez pewien czas byłam również na kontrakcie w NRD. Niemcy dawali nam części do koparek, a my odpracowywaliśmy te zakupy u nich, na warsztatach. Połowę wynagrodzenia płacili w markach, a drugą dostawaliśmy w złotychkach. Przy okazji handlowało się z Niemcami; w tym czasie w cenie były u nich

nasze wędliny. Potem, gdy w kraju nastał kryzys, zaprzyjaźnione Niemki przysyłały mi to, czego u nas nie było, m.in. szampony i proszki do prania.

■ Kopalnia się śmiała

Kiedy pracowałam na „Turowie”, mieszkałam w hotelu Opolno-Zdrój w wieloosobowym pokoju. W 1965 roku na świecie pojawił się Piotruś i wtedy przydzielono mi oddzielny pokój. Gdy werbowano nas do Lubina, obiecano mi przydział mieszkania po trzech miesiącach pracy. Ale najpierw była akcja ze żłobkiem; mieli załatwić mi miejsce od ręki. Okazało się, że nic z tego – nie załatwili, więc w pierwszym dniu pracy na „Lubinie” wzięłam dziecko na ręce i pojechałam na zakład. Weszłam do sekretariatu, posadziłam Piotrusia na fotelu i powiedziałam sekretarce: „Przyjdę po synka, jak skończę pracę. Tu drugie śniadanko, nie będzie z nim kłopotu, bo woła siusiu, woła kupkę.” I poszłam do roboty. Długo nie trzeba było czekać. Kierownik Wyborski z warsztatów wezwał mnie do telefonu. Dzwonił dyrektor Alfred Wołczyński: „Proszę się zgłosić, ma pani przyznany żłobek” – usłyszałam. Dał mi nawet auto z kierowcą, bo musiałam zawieźć jeszcze dziecko do lekarza. Potem cała kopalnia śmiała się z tej historii.

■ Łzami haftowałam

Mieszkanie dostałam, zamiast po trzech miesiącach, dopiero po trzech latach, bo w pierwszej kolejności chłopom dawali. W końcu dość miałam tego czekania. Dyrektorem naczelnym był wtedy Adam Jesionek. Zdziwił się, że tak długo jestem pomijana. Przyrzekł, że jeszcze tego samego dnia dostanę przydział. I tak też się stało. (Ta kawalerka, w której do dziś mieszkam, stała wtedy pusta, bo ktoś inny załatwił ją dla swojego syna.). Trzymałam już w ręku klucze, ale jak się wprowadzać bez mebli? Był to przecież towar deficytowy. Poradziłam sobie w ten sposób, że wypoczyłam z hotelu stół, dwa krzesła i żelazne łóżko. Na początek musiało wystarczyć.

Zawsze, gdy jestem na cmentarzu, podchodzę do grobu Jesionka i mówię: „Chłopie, dopóki żyję, będę się za ciebie modlić, bo dużo ci zawdzięczam.” Często mi pomagał. Gdy jeździłam na Cepeliady, dostawałam z kopalni samochód z kierowcą; całe walizki swoich haftów woziłam. Pisywali o mnie w gazetach, wystąpiłam też w telewizyjnym programie Wandy Ziembickiej.

Dyrektor Jesionek osobiście mi gratulował, bo w wywiadach zawsze wspominałam o ZG Lubin.

Do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury, działającego przy kopalni, zapisałam się w 1970 roku. (Później zmieniło nazwę na Lubin-skie Stowarzyszenie Twórców Kultury). Braliśmy udział w wielu wystawach, także zagranicznych. Niemcy chętnie kupowali moje haftowane krzyżkami konie, we Francji szły papugi, a o Ojca Świętego pytali w Brukseli. Ale tego konia, co wisi na ścianie, nikomu bym nie sprzedała, bo kiedy Jan Paweł II zachorował, to akurat zaczynałam tę robotkę i łzami ją haftowałam. Nawet syna i wnuczkę nauczyłam krzyżkowego haftu; te wiewiórki na poduszce, to robota Piotrusia. Moje poszewki, bieżniki i obrazy sprzedawały się na wystawach jak woda, teraz po wystawie wszystko wraca, ludzie nie kupują, bo nie mają pieniędzy. Wiele swoich prac rozdałam, m.in. jedną podarowałam mojemu ulubionemu posłowi Jerzemu Szmajdzińskiemu, który często bywał w Lubinie.

■ Na zakupy i grzyby

W zakładzie byłam znana również z tego, że organizowałam wycieczki i pikniki. Jeździliśmy głównie na zakupy do NRD, Austrii, na Węgry i do Czechosłowacji. Bardzo lubiłam grzybobranie; za-

czynialiśmy w sierpniu, a kończyliśmy zbiory w październiku. Na zakończenie sezonu zawsze u leśniczego w Świętnie odbywało się przyjęcie z beczką piwa. Ale wycieczkowiczów trzymałam krótko: w autobusie żadnego palenia, ani picia. Uprowadzałam: „Jak ktoś mi się schla, to więcej nie pojedzie.” No i porządek był.



Krótko przed odejściem na emeryturę W. Michalec otrzymała Złoty Krzyż Zasługi. Obok Ryszard Kurek, działacz związkowy.

1978 rok, Międzyzdroje. Każdego roku jeździła z synem nad morze.



Z tamtych czasów najbardziej podobało się mi to, że każdego roku mogłam wyjechać z dzieckiem nad morze. Dzięki temu mój syn nigdy nie chorował, a gdy miał zaledwie osiem miesięcy pływał już jak rybka. Nauczył się jeszcze w Opolnie-Zdroju; był tam piękny poniemiecki zdrojowy basen z podgrzewaną przez elektrociepłownię wodą. W młodości uprawiałam dżudo, skakałam ze spadochronem, ale kiedy urodziłam Piotrusia, nie chciałam ryzykować, bo miał tylko mnie. Teraz zostało mi już tylko pływanie i rower.

■ Wypiekałam uszczelki

Po 10, czy po 12 latach na warsztatach, główny mechanik, inżynier Marcinkowski zaproponował mi przeniesienie na gumownię. Zgodziłam się pod



2012 r. W Nottingham, na zamku „zaprzyjaźniła” się z Robin Hoodem i jego towarzyszami.

warunkiem, że nie będę miała niższej stawki. Kobiety zawsze – przecież i teraz tak jest – były gorzej traktowane pod względem zarobków, choć wykonywały taką samą robotę. Nieraz pisałam podania o podwyżkę, ale w odpowiedzi słyszałam, nie ma pieniędzy; dla mężczyzn jednak były. Kiedyś myślałam nawet o tym, żeby pogadać z dyrektorem o przeniesieniu na dół, bo chciałam więcej zarabiać. Ale się nie odważyłam, raczej nie było to możliwe, żeby kobieta w charakterze spawacza pracowała pod ziemią.

Na gumowni wulkanizowałam dętki do fadrom i robiłam uszczelki do maszyn dołowych. Najpierw trzeba było poprzez walcowanie przygotować surowiec – gumę, żeby była bardziej elastyczna i podatna na wyciskanie; my mówiliśmy – wypiekanie uszczelki, bo odbywało się to na gorąco. Wyciskanie małej prasy pomocy prasy, pod ciśnieniem, trwało około 10 minut, większych dłużej, do 20-30 minut. Praca w tym dziale była o wiele lżejsza niż na warsztatach, jedynie latem dokuczało gorąco. Natomiast przy spawaniu człowiek był ciągle pochylony, na dodatek z przodu grzały elektrody, a po plecach wiało, bo drzwi zwykle były pootwierane i w hali panowały przeciągi.

■ Pyskata i niekoleżeńska

W gumowni przepracowałam 15 lat, na emeryturę przeszedłam od 1 stycznia 1995 roku. Chciałam zostać dłużej, bo w wieku 56 lat czułam się na siłach, zależało mi też na wyższym świadczeniu emerytalnym. Gdyby zakład pozwolił, ciągnęłabym nawet do 67 roku życia. Ale w tym czasie odchudzali załogę; w sumie ok. 2,5 tys. osób wymietli na emeryturę.

Na pewno nie wszyscy z warsztatów dobrze mnie wspominali, bo ja nie tolerowałam cwaniactwa; ci którzy kombinowali, balili się mnie. Na przy-

kład była taka grupa, która na „lewo” robiła heblarki korzystając z kopalnianych materiałów i urządzeń, potem je sprzedawała. Dobry silnik, który miał być użyty na dole kopalni, kwalifikowali jako spalony, by zamontować go w heblarce. Miałam tego dość, wiedziałam, że trzy gotowe heblarki były schowane w kanałach. Powiadomiłam związek zawodowy i zwierzchników. Rozkręciła się afera, były konsekwencje służbowe dla kombinatorów, ale i ja miałam z ich strony sporo nieprzyjemności. Zaczęli podchody, by mnie zwolnić, pisali donosy, że jestem pyskata i niekoleżeńska.

■ Dumna z wnuczek

Nie narzekam na życie, mimo że przeszedłam sześć operacji i ostry zawał. Od dawna jestem sama; syn mieszka i pracuje w Nottingham. Ale rodzinę mam udaną. Wnuczka niedawno wyszła za mąż w Rotterdamie. Jestem z niej bardzo dumna; dziewczyna zna sześć języków, ukończyła cybernetykę i informatykę. I pomyśleć, że jej prababka, a moja matka, całe życie spędziła w podkarpackiej wsi. Była analfabatką; wydano ją za mąż w wieku 15 lat za człowieka znacznie starszego. Urodziła 11 dzieci, z których tylko część przeżyła. Nie chciałam takiego życia, od dziecka marzyłam tylko o tym, by wyrwać się z tej zabitej dechami wsi. I być panią własnego losu. Jestem szczęśliwa, że wnuczce udało się to jeszcze lepiej niż mnie.

Już 20 lat jestem na emeryturze. Od 45 lat śpiewam w kościelnym chórze, w parafii Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie mam swój krąg znajomych. Wciąż należę do LSTK, haftuję i gdy tylko pojawi się możliwość, biorę udział w wystawach i plenerach – w tym roku odbywał się w Dźwirzynie. Po prostu wciąż cieszę się życiem. ■



**Szedłem na dole, koło rząpia
zalanego wodą. Nagle patrzę,
a z tej wody wypływa półnagi
facet. Kryger się nazywał.**

Mówię: „Kryger, co ty?

**Nie wykąpałeś się rano w domu
i tutaj kończysz mycie?”**

**A on: „Panie inżynierze, ja se tu
schowałem koronki, żebym miał
czym robić!”**

*Zbigniew Szabla,
naczelný inż.
ZG Polkowice,
dyrektor naczelný
ZG Sieroszowice.
Pracował w latach
1968 – 1990*



Nie wolno było mówić o tąpaniach

Jestem przedwojenny, z rocznika 1938, najstarszy z dziewięciorga dzieci (sześciu braci i 3 siostry). Z mojej rodzinnej wioski - Zabelcze nad Dunajcem - chyba mnie pierwszemu udało się pójść do liceum ogólnokształcącego. Nasz ojciec był stolarzem. Mama pochodziła z dosyć zamożnego w tamtych okolicach gospodarskiego rodu Fałowskich w Wielopolu i Wielogłowach. Ponieważ wyszła za mąż za rzemieślnika, a nie za rolnika, musiała się z domu wyprowadzić. Na otarcie łez dostała tylko krowę. Później stosunki rodzinne uległy poprawie, a ja wszystkie wakacje, od szkoły podstawowej do ukończenia liceum, spędzałem u dziadka na koszeniu zboża. Pracowałem się od trzeciej rano do zmroku. Do dziś pamiętam smak kwaśnego mleka, jakie każdy kosiarz dostawał podczas roboty. Za to zimą miałem więcej czasu dla siebie. Trenowałem biegi narciarskie. W ósmej klasie zostałem mistrzem powiatu nowosądeckiego w biegu na 9

kilometrów na nartach, które zrobił mi tato. Po tym sukcesie przyjęto mnie do klubu. Dostałem narty biegowe, buty narciarskie i dres do treningu. Szedłem przez Nowy Sącz trzymając narty i buty na ramieniu i myślałem, że całe miasto mnie podziwia.

■ Chciałem budować okręty

Biegi narciarskie nie były moją największą pasją. Mieszkaliśmy w niedalekiej odległości od Jeziora Rożnowskiego, które inspirowało mnie nie tylko do uprawiania sportów wodnych. Marzyłem też o studiach na Wydziale Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej. Zbudowałem sobie nawet kajak, a później żaglówkę, stąd wydawało mi się, że budowa okrętów, to jest to, co najchętniej bym robił. Na Wydziale Budowy Okrętów było 39 miejsc na ponad sześćset kandydatów. Zdałem wszystkie egzaminy, ale się nie dostałem. W domu z pieniędzmi

było krucho, gorączkowo szukałem pracy. Byłem pomocnikiem murarza, później murarzem w Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego w Oświęcimiu. Wciąż marnie zarabiałem, dlatego wspólnie z kolegą postanowiliśmy szukać roboty w pobliskiej Kopalni Węgla Kamiennego „Brzeszcze”. Kiedy nas nie przyjęto, wziąłem się i postanowiłem zostać górnikiem.

■ Spakowałem manatki

Z nauką na Akademii Górniczo-Hutniczej nie miałem kłopotów, raz wziąłem urlop dziekański, by zarobić pieniądze na dalsze studiowanie. Wystartałem się także o stypendium fundowane z Kopalni Węgla Kamiennego Wiktoria w Wałbrzychu, gdzie również odbywałem praktykę. Jednak pracę dyplomową z mechaniki górotworu pisałem na „Lenie” w Złotoryi.

Jako młody absolwent AGH skierowałem pierwsze kroki do „Wiktorii”, by odrobić stypendium. Rzucili mnie na szyb „Barbara” w bardzo trudne warunki: pokłady strome, niskie i urabianie systemem schodowym przy użyciu kilofów, z odstawą za pomocą przenośników talerzowych. Do końca życia będę pamiętał ten pierwszy zjazd do przodka. Pył węglowy zasypał mi okulary i nic nie widziałem. Po wyjeździe poszedłem do dyrektora z prośbą, by z powodu okularów zmienił mi szyb. Kiedy usłyszałem: „No to w takim razie nie damy cię do ruchu, tylko do działu normowania pracy”. Oburzyłem się, spakowałem manatki i ruszyłem do Złotoryi, gdzie wcześniej Władysław Maziarz, dyrektor kopalni Nowy Kościół proponował mi pracę. Przyjął mnie od ręki i zapewnił, że nie będzie problemu z pieniędzmi, które musiałem zwrócić wałbrzyskiej kopalni za pobierane stypendium. Mówił: „Niech się pan o ten dług nie martwi. My zapłacimy, tylko niech pan jutro przychodzi do roboty”. Bo w tamtych czasach, w kopalniach starego zagłębia, inżynierowie byli na wagę złota. Byłem prawie szczęśliwy. Prawie, bo: robotę miałem, miejsce w hotelu pracowniczym dostałem, ale przyjechałem bez grosza przy duszy. Pamiętam sen, który przysnił mi się pierwszej nocy w hotelu: Jestem na wspaniałym bankiecie. Gości mnóstwo. Raz po raz kelnerzy podchodzą z tacami pełnymi kanapek. Niestety, kiedy tylko wyciągam rękę, kelnerzy z kanapkami błyskawicznie się oddalają. Rano udęrczony i potwornie głodny popędziłem na kopalnię po zaliczkę a konto pierwszej pensji.

■ Rysiu jakby wyparował

Z czasem wyprowadziłem się z hotelu do małego mieszkania na poddaszu (pokój, kuchienka, łazienka). Chwaliłem się swojej sympatii - mojej przyszłej żonie, że mam olbrzymią szafę i bardzo dużo dywanów. Faktycznie wieszałem odzież na gwoździach powbijanych do drewnianego sufitu, a na podłodze rozkładałem papier pakunkowy, który jak tylko się wybrudził, wymieniałem na nowy.

W owych czasach w Złotoryi młodzi inżynierowie stanowili barwną i wyróżniającą się elitę. Bogdan Bebel, kolega ze studiów, Rysiu Samborski i ja trzymaliśmy się jakiś czas razem. Muszę powiedzieć, że był to okres trochę bezproduktywnego funkcjonowania. Po pracy i obiedzie poddawaliśmy się beztroście kawalerskiego życia. Szczególnie Rysiu Samborski wyczyniał różne hece i cuda. On też, jako pierwszy z nas, kupił sobie używany samochód P70. Pamiętam, czekaliśmy na niego pod kawiarnią Kalipso. Już widzieliśmy go jadącego autem, ale na huku drogi z niego jakby wyparował. Okazało się, że oddał tapicerkę do remontu, chcąc jednak zaprezentować auto, podstawił sobie w miejsce fotela zydelek, który na zakręcie się przewrócił i Rysiu wpadł pod kierownicę.

■ Wprowadziliśmy wrębiarkę

Byliśmy w tym czasie pełni entuzjazmu, otwarci na nowatorskie działania zakończone sukcesami. Mieliśmy w „Nowym Kościele” oddział doświadczalny, w którym pracowaliśmy nad metodami robót strzałowych i odstawą urobku w warunkach kopalń starego zagłębia. O laboratorium nie mogliśmy marzyć, ale dostaliśmy jedną ścianę - wyrobisko o długości 80 metrów - w którym prowadziliśmy różne doświadczenia. Jako pierwsi w „Nowym Kościele” wprowadziliśmy do odstawy urobku ze ściany przenośnik zgrzeblowy. Wcześniej wszędzie używano się przenośników tzw. wstrząsanych rynnowych. Pierwsi wprowadziliśmy do ładowania urobku wrębiarkę, która była ciągniona liną po przenośniku zgrzeblowym. Pracowaliśmy tak do momentu, aż nastąpiła awaria stawu osadowego w lwinach. Niestety nasza kopalnia, która odstawiała rudę do zakładu przerobczego w ZG Konrad, wskutek tego wielkiego nieszczęścia straciła możliwość odstawy rudy i w 1968 roku „Nowy Kościół” zamknięto. Byłem już wtedy żonaty, na świat przyszedł najstarszy syn, szukałem intensywnie nowych możliwości pracy.

■ Nie wierzyli w tąpania

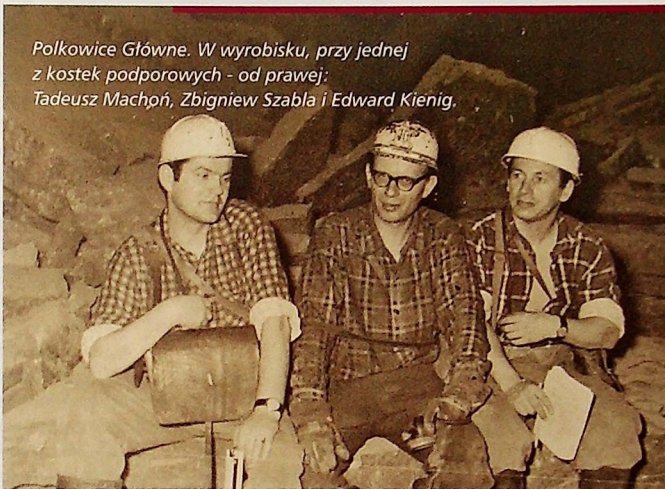
Pamiętam, dojechałem do Lubina, wysiadłem z autobusu na tym niby dworcu wprost do błota. Żeby gdziekolwiek dotrzeć, łącznie z kombinatem, trzeba było grzęznąć w tej wszechogarniającej bryi. To mnie strasznie irytowało i zupełnie zniechęcało, dlatego między innymi wybrałem pracę w Samodzielnym Oddziale Wykonawstwa Inwestycyjnego w kopalni Polkowice. W pierwszej wersji miałem objąć stanowisko kierownika robót, okazało się jednak, że przyjechali repatrianci z Francji i kierownikiem robót został „francuz” pan Teodor Mus, a ja objąłem stanowisko nadsztygara na Polkowicach Głównych. Po pierwszym zjeździe na dół dziękowałem Bogu za takie zrządzenie losu. Nowe kopalnie miedzi zupełnie różniły się od tych w starym zagłębiu. W „Nowym Kościele” schodziliśmy na dół schodkami, potem upadowymi, wyrobiska były małe, w obudowie podporowej. A tutaj klatki zjazdowe, wyrobiska wielkie jak hale, w których zamiast obudowy podporowej jest obudowa kotwiowa, dotychczas mało stosowana w polskim górnictwie.

Jednym z głównych problemów był brak ludzi do dozoru. Dopiero z początkiem lat 70. doszła spora grupa młodych inżynierów z AGH, m.in.: Sobala Edward, Parnecki Przemysław, Zajączkowski Mieczysław i Jasiński Jan. Byli to naprawdę chłopcy do roboty.

Od 1 stycznia 1969 roku ZG Polkowice stały się samodzielną kopalnią. Wtedy automatycznie przeniesiono nas z SOWI do „Polkowic” W tym czasie jako nadsztygar opiekowałem się I oddziałem eksploatacyjnym. Jako osoba wyższego dozoru, pewnej niedzieli miałem dołowy dyżur. Zjechałem z jednym górnikiem na poziom 810. Między poziomem 810 i 850 miało być połączenie dwoma upadowymi, jedna z nich była nieprzebita i powstało rząpie. Poleciałem górnikom odpompować z rząpia wodę, a sam skierowałem się do oddziału. Wtem rozległ się potężny huk,

a po nim powstał gęsty kurz, pojawił się ogień. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Gdy opadł pył, zobaczyłem w stropie sterczące, powyrywane kotwy. Jakaś siła podrzuciła stojącą na gąsienicach ładowarkę PNB-3K i złamała jej wysięgnik Po oszacowaniu strat czym prędzej zawróciłem po górnik przy rząpiu i wyjechaliśmy na powierzchnię. O wszystkim co widziałem i czego doświadczyłem, napisałem w raporcie z objazdu. Następnego dnia, zaraz po przyjeździe do pracy, kierownik robót zaczął mnie beszczać: „Byłeś na dyżurze? Kto uszkodził ładowarkę? Ktoś musiał jeździć i nią uderzyć?” Odpowiedziałem: „Przecież napisałem w raporcie,

Polkowice Główne. W wyrobisku, przy jednej z kostek podporowych - od prawej: Tadeusz Machoń, Zbigniew Szabla i Edward Kienig.



co się stało”. Ale on mi nie wierzył. W tamtym czasie nikt nie wierzył, że będą tąpnięcia.

■ Natura po mojej stronie

Od tego zdarzenia zacząłem baczniej obserwować górotwór. Interesowało mnie to, co się z nim dzieje, zwłaszcza że tkwiłem w temacie, bo pisałem pracę z mechaniki górotworu. Wtedy również poprosiłem kolegę Tadeusza Machonia i Edwarda Kieniga z wrocławskiego Cuprum, żeby przyjechali i przyjrzeni się temu zjawisku i je udokumentowali. Jak tylko miałem drugie zmiany, zwoziłem ich na dół bez wiedzy szefostwa, by robili rysunki, szkice i pomiary naprężeń dokumentujące zachowanie się kostek, które wycinaliśmy zamiast obudowy i pod-

pór. Pod wpływem nacisku górotworu kostki te rozsypywały się w sposób charakterystyczny dla tego górotworu i dla sposobu powstawania tąpnięć. Minął prawie rok od zdarzenia. Koledzy w tym czasie, po wykonaniu dokumentacji zjawiska, opisali problem w którymś z Zeszytów Naukowych Politechniki Gliwickiej. Nie wiem jakim cudem, ale po roku od całego zdarzenia

łem świadkiem na dole, jest nieprawdą. Oczywiście nie zamierzałem się ugiąć, bo to były fakty.

Po trzech tygodniach dyrektor znowu mnie wezwał i mówi: „Słuchaj, Kobra pytał, czy cię wy... z roboty?”

Byłem przekonany, że tutaj w ruchu, już nie miałem co robić. Wziąłem urlop i naprawdę zacząłem szukać pracy w Cuprum we Wrocławiu i w Instytucie Górnictwa w Katowicach. Na moje szczęście, a nie-szczęście kopalni, znowu tąpnęło. Tym razem na oddziale 21 na Polkowicach Wschodnich, gdzie zasypało 2 wozy typu JOY. Wtedy już zebrało się większe gremium. Analizowano zdarzenie nie nazywając go jednak tąpnięciem tylko nagłym odprężeniem górotworu. Dwa dni później jeszcze raz tąpnęło... I można rzec: natura stanęła po mojej stronie. Wtedy powstał w KGHM Zespół do spraw tąpnięć, któremu przewodniczył prof. Zdzisław Kłeczek z AGH. A ja nie zostałem zwolniony, a nawet awansowałem na kierownika robót PG.

■ Koż se tam otworzyć!

(w tym czasie awansowałem na kierownika robót) ktoś doniósł o sprawie ministrowi przemysłu ciężkiego Włodzimierzowi Lejczakowi. Minister zatelefonował do dyrektora Tadeusza Babisza, a ten wezwał mnie i mówi: „Słuchaj! Dzwonił do mnie Kobra (tak nazywano ministra ze względu na charakterystyczne okulary), pytał, czy ja mam tutaj takiego głupiego inżyniera, któremu we łbie tąpnie?”. Błyskawicznie zorientowałem się, w czym rzecz, a dyrektor dalej mówi: „Musisz to wszystko sprostować! Musisz natychmiast napisać, że to jest nieprawda, co widziałeś!”. A ja na to: „Dyrektorze, po to jesteśmy inżynierami, żeby dobrać odpowiednie systemy eksploatacji i przeciwdziałać tąpnięciom”. A dyrektor: „Słuchaj, nie wolno mówić o tąpnięciach!” Dlaczego - pytam? - „Dlatego, że wszyscy wiedzą, że mamy tu bardzo duże zagrożenie wodnie. Jeśli jeszcze się dowiedzą, że mamy tu zagrożenie tąpnięciami, to nikt nie przyjdzie do roboty!”. Na sprostowanie dostałem trzy tygodnie. Miałem napisać, że to wszystko czego by-

Muszę powiedzieć, że w początkowych latach dyrektorzy kopalń, najczęściej „węglarze”, liczyli przede wszystkim tony (bo ich z tego rozliczała góra) i w żaden sposób nie można było ich przekonać, że nie tony są najważniejsze, ale okruszczowanie i zawartość miedzi w rudzie. Dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczęto mówić o okruszczowaniu. Ja w tym czasie niespodziewanie awansowałem na głównego inżyniera górniczego ZG Polkowice. Przychodzę do pracy i jak zawsze zaglądam do zawiadowcy Jurka Kolaśńskiego, a tu drzwi zamknięte. Wchodzę do siebie, a tu, jak codziennie o godzinie szóstej, telefon od dyrektora Babisza: „Acha, jesteś?” Jestem! „To przejdź tam do tego drugiego gabinetu!” Byłem, ale tam zamknięte odpowiadam. „No to koż se tam otworzyć kierownikowi powierzchni!”, mówił z odrobiną zaolziańskiej gwary. Zawolałem kierownika, otworzył pokój zawiadowcy, nacisnąłem klawisz centrali i mówię: Jestem. A dyrektor na to: „Acha, no to od dzisiaj tam

Opisywanie skutków ciśnienia górotworu.



będziesz siedział!”. Zdąbiałem, nie miałem pojęcia dlaczego mam siedzieć u Kolaśńskiego, a mój pokój ma stać wolny? Na korytarzu dowiedziałem kierownika oddziału powierzchni: Czy wiesz coś o tym, co się dzieje z Kolaśńskim? Odpowiedział: „W niedzielę, o 12 w nocy, była egzekutywa partyjna i zdjęli Kolaśńskiego z zaawidowcy. Ponoć opuszczali materiał wybuchowy szybem P-3 i zginęła jedna paczka”. I w taki oto sposób powiadomiono, że zostałem głównym inżynierem górniczym. Oczywiście nie wierzyłem w wersję z dynamitem, wiedziałem natomiast, że Kolaśński od dawna miał z sekretarzami zakładowymi na pieńku. Szczęściem już od dawna organizował stację ratownictwa górniczego w Sobinie. Po zdjęciu z funkcji zaawidowcy przeszedł do Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Sobinie i tam dotrwał do emerytury w randze dyrektora.

■ Krygier w rzapiu

Nie zagrzałem długo miejsca na stanowisku głównego inżyniera górniczego. W 1974 roku powierzono to stanowisko Mirkowi Pawlakowi z kopalni Lena, a ja znowu zostałem kierownikiem robót. Nie rozpaczałem, pieniądze zostały prawie te same, a odpowiedzialności trochę mniej. Z Pawlakiem pracowało mi się bardzo dobrze. Miałem też wspaniałe poukładaną załogę. Ci ludzie chcieli pracować, choć brakowało maszyn, raczków do wiercenia, żerdzi itp. Kiedyś, jeszcze jako nadsztygar, zjechałem na dół i szedłem koło rzapia zalanego wodą. Nagle patrzę, a stamtąd wypływa facet, Krygier. Mówię: Co ty, Krygier, nie wykopałeś się w domu rano i tutaj się myjesz? A on do mnie: „Panie inżynierze, ja se tu schowałem koronki, żeby mieć czym robić”.

■ Nagle huk, trzask

Po dwóch latach dyrektor Pawlak przeszedł do KGHM i jego stanowisko zajął Zenon Słowiński. Kiedyś odbyłem ze Słowińskim pierwszy zjazd na Polkowicach Głównych. Szliśmy już pod szyb i pierwsze, co usłyszałem to: „Kolego, ma pan bardzo dobry rejon. Jak pan nie będzie dobrze fedrował, to pana wy....”. A ja tylko powiedziałem: „No dobrze, będziemy fedrowali!”.

Szczególnym priorytetem było drażnienie nowych wyrobisk. W pewnym momencie zaczęło dosyć mocno cisnąć. Zatrzymałem robo-

ty. Wyjechałem i zgłosiłem o tym dyrektorowi Słowińskiemu, objaśniając że jest niebezpiecznie, górotwór zaczyna pracować i coś może się wydarzyć. A dyrektor do mnie: „Pieprzysz pan! Jedziemy na dół!” Zjechaliśmy w tym samym dniu na międzymzianie. Na oddziale panowała cisza. Nagle huk, trzask i dyrektorowi odpadł daszek od hełmu. Stało się to za sprawą śruby przy kotwie, która odstrzeliła daszek, jak pocisk karabinowy. Dyrektor nie dał specjalnie znać po sobie, co czuje, ale powiedział: „Dobrze idziemy stąd”. Od tego momentu miałem święty spokój z dyrektorem Słowińskim - co powiedziałem, to było dobrze.



Kopalnia Polkowice (1969 r.).
Zbigniew Szabla otrzymuje z rąk
dyrektora Tadeusza Babisza
pierwsze odznaczenie - Brązowy
Krzyż Zasługi.

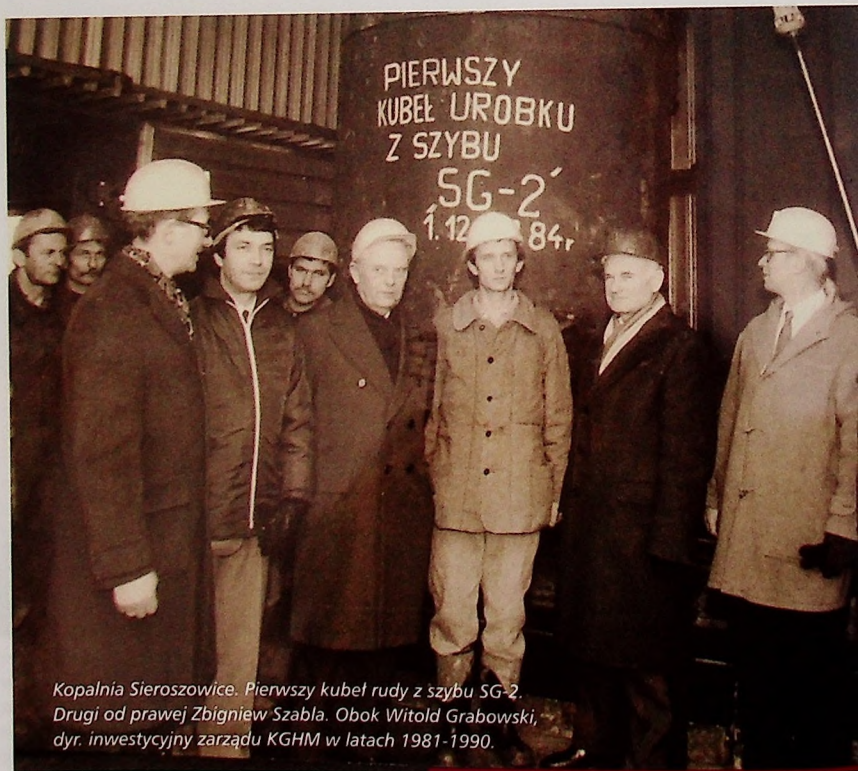
Później, przy dyrektorze Ziomku, zostałem naczelnym inżynierem ZG Polkowice. Dyrektor miał ciągłe zatargi z sekretarzem organizacji zakładowej o najróżniejsze drobiazgi. W lipcu 1977 roku jechał z rodziną na wycieczkę. Już wsiadał

do autokaru, gdy dyrektor Babisz z KGHM wywołał go z autobusu posłańcem, a następnie w dyrekcji wręczył mu odwołanie ze stanowiska dyrektora „Polkowice”. Były to takie czasy, gdy się nie znało dnia ani godziny. Potem jeszcze dałem dyrektorowi Ziomkowi samochód do Niemiec, żeby dogonił autokar i mimo wszystko pojechał z rodziną na wycieczkę.

■ Towarzysz z KC

Po trzech miesiącach przyszedł na naczelnego dyrektora Bogusław Kostka. Pracowało mi się z nim bardzo dobrze, tylko przez zatarg z tow. Członkiem Komitetu Centralnego, musiałem w 1978 roku odejść z kopalni Polkowice. Towarzysz ten był u nas operatorem ładowarki. Przez to, że przez okres 3 miesięcy, przed przyjściem dyrektora byłem sam (jako pierwszy zastępca dyrektora), nie miałem czasu, by zjeżdżać re-

gularnie na wszystkie oddziały. Na jednym było szczególnie niebezpiecznie z powodu obwałów. Któregoś razu zjechałem tam po południu z kierownikiem oddziału, by pouzgadniać, co dalej robimy. Gdy weszliśmy, w oddziale panowała cisza, spokój, a była to przecież połowa drugiej zmiany. Podeszliśmy dalej i widzimy: ładowarka PNB3K – ciężka, potężna tkwi w wodzie po silnik, a jej gaśnice stoją na kablu. Wchodzimy do drugiego przodka i sytuacja jest podobna. Kazałem natychmiast przywołać operatora, no i przyszedł właśnie ten członek KC. Gdyby on się jeszcze nic nie odzywał, to może ta rozmowa jakoś inaczej by przebiegała. A on: „Towarzyszu dyrektorze, co za burdel tutaj, prądu nima!”. Wtedy puściły mi nerwy. Chwyciłem go za kołnierz, docisnąłem i mówię: Patrz dziadu, co zrobiłeś! Najechałeś na kabel, spowodowałeś doziemienie i cały oddział przez ciebie stoi!”.



Kopalnia Sieroszowice. Pierwszy kubeł rudy z szybu SG-2. Drugi od prawej Zbigniew Szabla. Obok Witold Grabowski, dyr. inwestycyjny zarządu KGHM w latach 1981-1990.

A on do mnie: „Towarzyszu dyrektorze, nie w taki sposób do człowieka pracy!”. A ja: „Ty jesteś sabotażysta, a nie człowiek pracy!” – podsumowałem. Obeszliśmy cały oddział i kiedy wracaliśmy pod szyb, on podszedł do mnie i spytał, czy może ze mną wyjechać. Zakląłem sobie pod nosem i powiedziałem: „Idź tam i usuwaj awarie! Nigdzie ze mną nie pojedziesz!”.

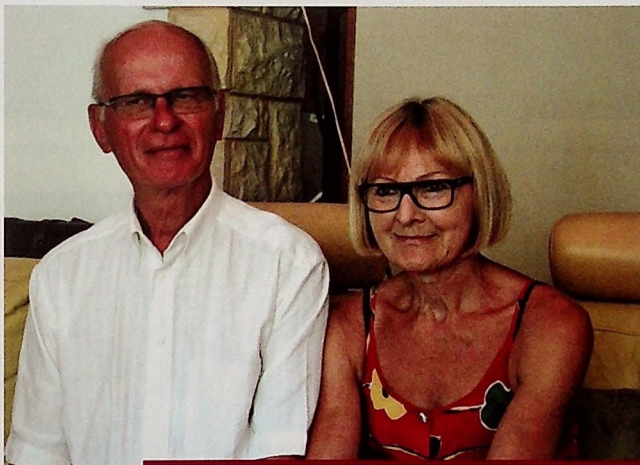
■ Wstawił się Pawlak

Jak się potem okazało, on również zaraz wyjechał i niezwłocznie udał się do Stanisława Cieślika, I Sekretarza KW PZPR w Legnicy, co w moim życiorysie zawodowym oznaczało kolejną zmianę. Uzasadnienie odwołania było takie, że dwóch szefów z takim spokojnym charakterem (chodziło o mnie i dyrektora Kostkę) nie może pracować w kierownictwie kopalni. Miałem nie dostać pracy na terenie woj. legnickiego. Jednak kiedy zaczęto organizować Sieroszowice, Pawlak przekonał towarzyszy oraz dyr. Woźniczkę, żebym został przeniesiony na naczelnego dyrektora inwestycji. Pracowałem tam od sierpnia 1978 roku do lutego 1984 roku, a później do 1990 r. na stanowisku dyrektora naczelnego. Zmagaliśmy się z problemami typowymi dla nowo powstającej kopalni. Znowu brakowało dozoru i ludzi, których trzeba było szkolić. Okazało się też, że nasze złoża sieroszowickie, wbrew wcześniejszym przewidywaniom, jest złożem cienkim. Należało zmieniać system eksploatacji, stąd pojawiło się kilka patentów czy wzorów użytkowych, dotyczących eksploatacji cienkiego złoża.

Aby w jakiś sposób rozwiązać te kadrowe problemy, wspólnie z prezydentem miasta Głogowa i ze swoimi związkami zawodowymi uzgodniliśmy, że rozpoczniemy budowę starówki w Głogowie. Ustaliliśmy, że kopalnia Sieroszowice sfinansuje I kwartał starówki, pod warunkiem, że te mieszkania, a było ich 94, otrzymają tylko osoby dozoru. Nie wiem, jakim cudem mi się to udało, ale wszystkie związki zawodowe się zgodziły. Kiedy w 1989 roku miesz-

kania te zostały oddane, wybuchła awantura, ruszyły różne doniesienia i skargi, że Szabla sobie rządzi mieszkaniami, jak chce. Jednak związki zawodowe stanęły na wysokości zadania. Mieszkania zostały przeznaczone dla dozoru i wtedy przyszło faktycznie do „Sieroszowic” kilku bardzo wartościowych inżynierów, m.in. Cypko, Walczak, Markowski - w taki sposób zapewniliśmy sobie zaplecze inżynierskie.

Po przejściu na emeryturę Zbigniew Szabla przez pierwsze z lata oddawał się stolarskim pasjom. Precyzyjne i pięknie kształty drewna zamknięte w funkcjonalne formy: szafy, stoły, pułki, są ozdobą domowego salonu. Potem, wspólnie z kolegą założył firmę wiertniczą Borinit, która zajmowała się wierceniem otworów geologicznych, hydrogeologicznych i badawczych, a na powierzchni mikropalami i wzmacnianiem gruntów.



Latem państwo Szablowie najchętniej spędzają wolny czas na swojej działce.

– Przed czterema laty wycofałem się z działalności. Wreszcie robię to, co chcę – mówię uśmiechając się. – Kupiliśmy działkę, postawiłem altankę i latem, przez większość słonecznych dni, pielęgnujemy to, co rośnie w ziemi. Kiedyś zamierzałem stąd wyjechać, wrócić w moje strony, w góry, ale żona nie chciała i zostaliśmy w Głogowie. Tutaj, gdzie spędziliśmy najaktywniejszą część życia, jest nasze miejsce. ■

Budowaliśmy metro w stolicy Algierii. Dążyliśmy tunel pod 10-piętrowym budynkiem, bo tuż za nim stanąć miała stacja. Praca wymagała niezwyklej precyzji, bo wysadzaliśmy skały zaledwie trzy metry pod gmachem. Ładowaliśmy tylko tyle dynamitu, by odrywać najwyżej 60-centymetrowe kawałki.

*Leon Gumiński,
główny inżynier
ds. techniki
strzałowej
w ZG Polkowice.
Pracował w latach
1968 – 1984*



Siedziałem na dynamicie

Leon Gumiński o materiałach wybuchowych jeszcze dzisiaj, po 30 latach od przejścia na emeryturę, może mówić godzinami. Dawniej w KGHM prowadził kursy dla górników i instruktorów strzałowych. Podczas wykładów mówił z głowy. Przez wszystkie lata pracy przeszkolił około 1500 osób.

Podczas naszej rozmowy pokazuje zdjęcie sprzed 40 lat. Zostało zrobione na spotkaniu absolwentów Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, w 1953 roku. Na fotografii jest co najmniej 10 osób, które po otrzymaniu dyplomu, zatrudniły się w KGHM. Wśród nich są między innymi: były dyrektor ZG Lubin i późniejszy minister górnictwa Janusz Bojakowski, były kierownik inwestycji ZG

Polkowice Bronisław Pasternak, były dyrektor tej kopalni, późniejszy – generalny KGHM, Mirosław Pawlak, główny geolog, również z Polkowic Eligiusz Wawrzyniak. To oni nadawali pierwsze kształty kombinatowi.

– Wśród nich jestem i ja, byłem wówczas, w drugiej połowie lat 70., inspektorem nadzoru w kopalni Polkowice – wspomina Leon Gumiński.

■ Zadarł z Wehrmachtem

Zanim trafił do zagłębia miedziowego, był ładowaczem w kopalni w Nowej Rudzie. Potem skończył Liceum Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu. Jeszcze jako technik projektował ha-

dę w Kopalni Nowa Ruda, potem został w niej sztygarem zmianowym. A był to czas, w którym techników było niewielu, nie mówiąc o inżynierach. Z zakładem swoim nie rozstał się nawet, gdy podjął studia w Krakowie. Podczas wakacji, jak to określa, szuflował pod ziemią. Tu też odbywał praktyki studenckie.

W Nowej Rudzie pracowała również jego żona. Była pielęgniarką i nie jeden raz ratowała górników. Lekarz zatrudniony w kopalni, bał się zjeżdżać pod ziemię. Kiedy więc zachodziła taka konieczność, dzwonił i mówił: „Panno Marysienko, doszło do wypadku, proszę przyjechać”.

– Bywało, że z lampą na szyi musiałam się czołgać, żeby dać górnikowi zastrzyk nasercowy, czy zatamować krwotok – wspomina pani Maria.

Za jakiś czas wyszła za mąż za Leona Gumińskiego.

– Kiedy pracowałem już w KGHM, przez lata wstawiała razem ze mną tuż po czwartej nad ranem i przygotowywała śniadanie. Dzisiaj już bym takiej dobrej żony nie znalazł – śmieje się pan Leon.

W 1952 roku został nadgórnikiem w „Rokitnicy” i robił jednocześnie dyplom inżyniera. Po-



Leon Gumiński – pracownik kopalni w Nowej Rudzie. Zdjęcie z lat 50.



Zjazd absolwentów Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie z 1953 roku. Zdjęcie z lat 70.

tem pracował jako sztygar zmianowy, technik strzałowy, a następnie jako naczelny inżynier w kopalni Słupiec – Nowa Ruda.

– Zakładem tym kierował były oficer Wehrmachtu. Kazał mi stawać na baczność i zdawać raport. Zadarłem z nim, bo nie zgadzałem się z takim rygorem. Uważałem, że jest to hitlerowskie podejście do człowieka. Pamiętam, a działo się to w 1954 roku, że z Wrocławia przyjeżdżał gościć nas sekretarz komitetu partyjnego. To się jednak nie udało i potem od dyrektora zjednoczenia usłyszałem: „Ty jesteś jeszcze młody, idź gdzie indziej pracować, a jego zostawmy” – wspomina Leon Gumiński.

Poszedł więc do „Chrobrego”, do Wałbrzycha, na nadsztygara objazdowego. Z czasem został kierownikiem wentylacji. Po pożarze w kopalni złapał zapalenie płuc. Leczył się przez rok. Po tych przeżyciach lekarz zabronił mu jeździć pod ziemię.

■ Na jednej przycy

Zatrudnił się więc w Wojcieszowskich Zakładach Wapienniczych jako dyrektor techniczny. Niestety pensję miał marną, wynosiła około 2 tys. zł, podczas gdy w Wałbrzychu zarabiał ponad 5 tys. W Wojcieszowie dociągnął do 1959 roku, po czym ustalił wraz z żoną, że musi szukać innego zatrudnienia.

– Pojechałem do Stasia Golemy, który pracował już wtedy w zagłębiu miedziowym. Był moim kolegą z roku, spaliśmy w akademiku na jednej przycy – on na górze, ja na dole. Kiedy siedziałem u niego w gabinecie, zadzwonił dyrektor z „Turowa” i prosił go: „Przysyłaj mi tu jakiegos inżyniera, bo sam zginę”. Wtedy Golemo powiedział do mnie: „Jedź tam, a jakby coś poszło nie tak, zawsze cię do pracy przyjmę.”

Zamieszkałem w Zgorzelcu, a potem w Bogatyni, bo dyrektor chciał mieć wyższy dozór pod ręką. Zostałem nadsztygarem na robotach ziemnych. Budowałem tam pierwsze hałdy. Do dzisiaj pamiętam, jak sprzęt ciężki topił się w błocie. Potem przez jakiś czas byłem głównym dyspozytorem taśm kierujących węgiel do elektrowni. Któregoś dnia dostałem propozycję wyjazdu do NRD, by budować tam kopalnię soli, ale wtedy moja małżonka się zbuntowała: „Ty wyjedziesz na 5-6 lat, a ja tu będę sama z dziećmi” – żaliła się.

■ Z meblami do Głogowa

Wtedy Leon Gumiński zdecydował się na zagłębie miedziowe. Znowu zadzwonił do

Stanisława Golemy, który był w tym czasie dyrektorem ZG Polkowice. Usłyszał: „Dobra, przyjeżdżaj. Gdzie chcesz mieszkać: w Lubinie, Polkowicach czy Głogowie?” Przysłał po Gumińskich samochód osobowy i ciężarówkę, która zabrała ich meble. Pan Leon objechał z żoną trzy miasta i wybrał Głogów. Do dzisiaj żyje w mieszkaniu, do którego wprowadził się pod koniec 1968 roku, czyli 46 lat temu.

W 1969 roku został inspektorem do spraw robót inwestycyjnych i podwładnym Bronisława Pasternaka – kolegi ze studiów. W tym czasie dyrektorem do spraw inwestycji na „Polkowicach” był Leszek Jaglarz. Leon Gumiński nadzorował budowę szybu skipowego na Polu Głównym, chodników na Wschodnim, potem budował szyby na Zachodnim. Kiedy dyrektorem został Tadeusz Babisz, przeszedł do ruchu, bo tam brakowało ludzi. Krótko był nadsztygarem na Polkowicach Wschodnich.

■ Strzelał codziennie

Potem został głównym specjalistą do spraw techniki strzałowej na wszystkich polkowickich szybach. Zdobył niemałe doświadczenie, bo w kopalni strzelało się aż 500 kg dynamitu dziennie. W związku z zagrożeniem tąpnięciami nieraz był w opałach. Trzeba było więc myśleć, jak poprawić bezpieczeństwo górników.

– Po jakimś czasie doszliśmy do wniosku, że trzeba zwiększyć siłę eksplozji materiałów wybuchowych, by rozładować ciśnienie napierające na skały boczne. Zwielokrotniliśmy więc siłę wybuchu 3 - 4 razy i dopiero wówczas fale, które powodowała eksplozja, na jakiś czas rozganiały ciśnienie w przodkach. Jeżeli pokład miał 3 m wysokości, robiliśmy zawał na co najmniej 10 m. Rozkruszone skały zwiększały objętość i były podporą dla warstw, które naciskały z góry. Wtedy górnicy pracujący na przodkach byli bardziej bezpieczni. Gdy zastosowaliśmy takie rozwiązanie, a było to w pierwszej połowie lat 70., przyjechał do KGHM dyrektor Wyższego Urzędu Górniczego, żeby zapoznać się z tą metodą – tłumaczy Leon Gumiński.

Materiał wybuchowy sprowadzali z Krupskiego Młyna koło Tarnowskich Gór. Mieli do dyspozycji 6 ciężarówek – lodówek 5-tonowych, które trzy razy w tygodniu przywoziły materiał dla samej tylko kopalni Polkowice. Transport był dość kłopotliwy, bo kierowcy mogli jechać

wyłącznie wyznaczoną trasą i zatrzymywać się w niektórych tylko miejscach. Zdarzało się, że samochód się zepsuł, wtedy wysyłano drugi i przeładowywano materiał wybuchowy.

Z czasem funkcja głównego inżyniera strzałowego stała się dla Leona Gumińskiego zbyt ciężka, bo przeszedł dwa zawały serca. Wówczas dyrektor Zbigniew Szabla z „Sieroszowic” zaproponował mu pracę sztygara objazdowego robot strzałowych i z tego stanowiska w 1984 roku przeszedł na emeryturę. Pobiera ją nie tylko z ZUS, ale każdego miesiąca otrzymuje jeszcze przekaz z Francji. Od lat dostaje z tego kraju 38 euro miesięcznie za 17 miesięcy pracy we francuskiej kopalni węgla.

■ Eksplozje pod wieżowcem

Urodził się we Francji w 1929 roku. Tam osiedlił się jego ojciec po wyjeździe z kraju i pobycie w Niemczech.

– Ojciec przed 1918 rokiem mieszkał na pograniczu – dom miał po stronie warszawskiej, a pola po pruskiej. W tym czasie Niemcy wcielali pograniczników do wojska. Wydostał się jednak z armii i zamieszkał w Berghofen, gdzie urodził się mój najstarszy brat. Rodzice wyjechali jednak z Niemiec, bo tam wyzywali ich od polskich świń. Osiedlili się we Francji, gdzie ojciec podjął pracę w górnictwie. Tam też urodzili się moi trzej bracia, potem ja jako 5. i najmłodszy syn w rodzinie. Wszyscy pracowaliśmy w kopalni węgla. Miała ona słabą wentylację i na domiar złego duże zapylenie pyłem kamiennym i krzemionką. Wielu górników chorowało na pylicę. Nabawił się jej też mój ojciec i dwóch spośród czterech moich braci. Ojciec długo jeszcze po wojnie dostawał pieniądze z Francji, ale emeryturę państwo polskie wypłacało mu w złotych, co się w kraju działo. W Polsce ojciec i brat pana Leona umarli na pylicę.

We Francji mieszkali na osiedlu górniczym zasiedlonym prawie przez samych Polaków. Kiedy wrócili do Polski, ludzie pytali ich: „Po co tu przyjechaliście?” A oni zwyczajnie nie wiedzieli, co się w kraju działo. W Polsce ojciec i brat pana Leona umarli na pylicę.

Po kilkunastoletnim pobycie za granicą pan Leon biegle mówił po francusku. Służył więc za tłumacza, kiedy kombinat importował z tego kraju młoty pneumatyczne i wiertnice. Francuzi uczyli Polaków, jak używać i konserwować

sprzęt. Znajomość tego języka bardzo się mu też przydała, gdy jako pracownik KGHM, wyjechał do Algierii budować metro w stolicy tego kraju.

– Drażyliśmy tam tunel pod 10-piętrowym budynkiem, bo tuż za nim miała stanąć stacja metra. Praca wymagała niezwyklej precyzji, ponieważ zaledwie trzy metry pod wieżowcem wysadzaliśmy skały. Ładowaliśmy tylko tyle dynamitu, by odrywać najwyżej 60-centymetrowe kawałki. Wszystko poszło dobrze – Leon Gumiński wspomina emocjonujące chwile.

■ 24 godziny za makulaturę

– Kiedy pracowałem jeszcze na „Polkowicach”, w drugiej połowie lat 70. miałem na oddziale podwładnego, który był ubowcem. Człowiek ten szukał sposobu, by zająć mi za skórę. W tym czasie sprzedawaliśmy w skupie makulaturę pozostałą po materiałach wybuchowych. Mieliśmy na to pozwolenie dyrektora. Ubowca z tego powodu trafiał szlag. Ustawił więc cały komitet wojewódzki PZPR przeciw mnie. Któregoś dnia zapukali do mojego domu funkcjonariusze milicji z Legnicy, zabrali mnie i przetrzymali 24 godziny. Przewrócili też do góry nogami całą chałupę, myśląc, że mam w mieszkaniu materiał wybuchowy. A cały problem wziął się z tego, że ubowiec był obibokiem, a ja tego nie tolerowałem – wspomina Leon Gumiński.

– Drugi, z którym przyszło mi pracować, cholernie dużo pił. Każdego ranka musiał „grzmotnąć” sobie setkę. A na jego biurku zawsze stała szklana z herbatą na spirytusie. Chciałem dobrać się do niego, zadzwoniłem więc do dyrektora Pawłaka i mówię: „Weźcie go sobie albo go wyrzucę”. Ubowiec ten narobił szumu w komitecie. Potem, żeby mnie załatwić, deptał mi po piętach. Gdy tylko pojechałem na inspekcję, zaraz wysyłał za mną samochód i sprawdzał, czy nie wychyliłem choć kieliszka. Takie było wówczas życie, partia miała dużo do powiedzenia – opowiada Leon Gumiński. – Komitet partyjny wyznaczał na przykład pracowników, którzy w nagrodę jechali pociągami przjaźni do Leningradu. Któregoś dnia przyszedł do mnie kierownik oddziału z „Polkowic” i mówi: „Panie Gumiński, jest pan mojego wzrostu, pożycz mi pan swój mundur górniczy, bo jadę do ZSRR”. A ja na to: „Pan mnie będziesz pierdził w mój mundur, a ja go potem będę nosił?” Zrobiła się z tego sprawa polityczna – chłop pobiegł do se-



Leon Gumiński z żoną Marią.

kretarza partii. Munduru mu jednak nie dałem – śmieje się dzisiaj Leon Gumiński.

Wspomina też, jak jemu samemu dawano „szansę” zostania ubowcem. Tuż przed obroną dyplomu wezwali go do komitetu uczelnianego i powiedzieli: „Potrzebujemy do UB pracowników, będziesz dobrze zarabiał, dostaniesz mieszkanie, gdzie chcesz”. Odmówił. Ale nie była to ich ostatnia propozycja. Ponowiono ją później, kiedy pracował w Nowej Rudzie. Znowu się nie zgodził. – Takie rzeczy nie dla mnie, tak samo jak udział w strajkach, w latach 80. Po prostu starałam się o dystans do wszystkiego. Byłem członkiem PZPR, ale nie traktowałem tego zbyt serio. Gdy się upominali o składki, mówiłem: „A ja nie chcę należeć do partii”. Wte-

dy odpowiadali: „Dobra, my ci ten dług skreślamy, możesz dalej należeć”. Dostałem nawet przydział na samochód. Potem samochodami zjeździliśmy z żoną kawałek Europy i całą Polskę. Ale teraz najbardziej lubię siedzieć w domu – kończy pan Leon. ■

Jeżeli trzeba było, brał „lampę w zęby” i pokazywał, co i jak należy robić. Gdy miał obawy, że sztygar nie podoła zadaniu, zjeżdżał na nocną zmianę i pomagał w pracy.

*Lucjan Struski,
kierownik oddziału
w ZG Lubin.
Pracował w latach
1969 – 1986*



Fachowiec bez „papierów”

Miał trzynaście lat, gdy zobaczył w „Przyjaciółce” górnika w mundurze i już wiedział, że również nim zostanie. Właśnie skończył szkołę podstawową, w gazecie znalazł informację, że na dworcu w Katowicach zorganizowano punkty przyjęć do pracy w kopalniach i do szkół górniczych. „Przyjaciółka” była jednocześnie biletem umożliwiającym bezpłatną podróż na Górną Śląsk.

■ Ruszył w świat

W rodzinnej miejscowości nic go nie zatrzymywało, tym bardziej, że w wieku 5 lat został sierotą i wychowywał się kątem u dalszej rodziny.

– Próbowałem namówić jeszcze któregoś z kolegów na wyjazd, ale żaden się nie zgodził. Wyszedłem z domu w nocy, chciałem dostać się do Chełma. Nawet nie byłem pewny, w którą stronę mam iść, wybrałem na chybił trafił. Szedłem pieszo, nad ranem zobaczyłem tory kolejowe i pomyślałem: „Skoro są tory, to musi być i stacja”. Po pewnym czasie trafiłem na budkę

dróżnika, a potem na dworzec w Chełmie. Przeszedłem około 25 kilometrów, byłem zmęczony i głodny. Na szczęście szybko przyjechał pociąg i dojechałem do Lublina. Chodziłem po peronie w oczekiwaniu na pociąg. Zobaczył mnie kolejarz, dał kanapkę i zaprowadził do składu wagonów, który stał na bocznicy mówiąc, że właśnie ten jedzie do Katowic. Wszedłem do przedziału, położyłem się na siedzeniu i zasnąłem. Gdy się obudziłem, w przedziale siedziało kilka osób, a moje nogi leżały na kolanach zakonnych. Speszony i wystraszony chciałem usiąść, ale przytrzymała mi stopy, zapytała czy jadę do Katowic i powiedziała, abym spał spokojnie. Zasnąłem, w Katowicach siostra mnie obudziła – tak Lucjan Struski zapamiętał swoją pierwszą wyprawę w świat.

■ Spec od podsadzki

Na dworcu zgłosił się do punktu, w którym werbowano ludzi do pracy w kopalni, natomiast młodzieńców w wieku Struskiego do szkół górniczych. Na wszystkich czekały autobusy.

Wsiadł do jednego z nich i razem z 50 innymi kandydatami pojechał do Zasadniczej Szkoły Górniczej w Dąbrowie Górniczej. Został zakwaterowany w internacie szkolnym i już na drugi dzień rozpoczął naukę.

– Po dwóch latach ukończyłem szkołę i jak każdemu z absolwentów zaproponowano mi pracę. Trafiłem do Kopalni Węgla Kamiennego Mortimer w Zagórz. Zameldowałem się w hotelu robotniczym i zaczęło się zawodowe życie.

Lucjan Struski wkrótce stał się jednym z lepszych fachowców w ciesielce i podsadzaniu drewnem stropów. Po odbyciu dwuletniej służby wojskowej w jednostce we Wrocławiu, wrócił do pracy. W Zagórz ożenił się z Janiną, mają dwójkę dzieci.

Po kilku latach Antoni Nowak, kierownik pana Lucjana, zachęcił go do kontynuowania nauki w szkole średniej. Szybko, po zdobyciu tytułu technika, został sztygarem. Potem A. Nowak, który darzył sympatią młodego i pracowitego górnika, namówił go na wyjazd do Lubina, gdzie powstawało nowe zagłębie miedziowe. Jak się okazało, kilka dni wcześniej w Mortimerze był Janusz Bojakowski, dyrektor ZG Lubin i poszukiwał specjalistów od podsadzki do pracy w zagłębiu miedziowym. Pani Janinie propozycja też się spodobała, tym bardziej, że miała rodzinę w Świdnicy, dokąd z Lubina było znacznie bliżej. Łącznie w Mortimerze przepracował 16 lat.

■ Miedź mu zaszkodziła

Wziął urlop i w październiku 1969 r. pojechał najpierw do... Legnicy, dokąd po wojnie trafił jego brat, bo nie bardzo wiedział, jak dojechać do Lubina. Następnego dnia zgłosił się do działu kadr lubińskiej kopalni.

– Kierownik kadr zaprowadził mnie do dyrektora Bojakowskiego, który popatrzył na mnie, a byłem wtedy bardzo szczupły, i zapytał: „Poradziś sobie?”, jednocześnie dodał: – „Tyś taki fachowiec, że uruchomisz mi podsadzkę, dyrektor z Mortimera mówił mi, że potrafisz”. Zapytał jeszcze, od kiedy chcę zacząć pracę. Bez namysłu odpowiedziałem, że po nowym roku, 2 stycznia. Dostałem wniosek o przeniesienie i poleciono mi załatwić w Mortimerze formalności związane z przekazaniem za porozumieniem stron. Wróciłem do Zagórz i w kopalni węgla pracowałem do końca roku.

2 stycznia 1970 r. L. Struski przyjechał do Lubina, żona z dziećmi została w Zagórz. Jako specjalista od podsadzki został skierowany na Oddział II, gdzie kierownikiem był Bronisław Wrona. Nowy szef oprowadził go po oddziale, pokazał gdzie, co i jak. Został przyjęty na etat zwykłego górnika, gdyż okazało się, że nie ma zatwierdzonych przez urząd górniczy uprawnień na sztygara. Z tego powodu, jako chyba jeden z nielicznych w tamtych czasach, stracił w zagłębiu miedziowym na zarobkach. Gdy koledzy dowiedzieli się, że na węglu był sztygarem, żartowali, że miedź mu zaszkodziła...

■ Oblał i poprawił egzamin

Blisko 7 miesięcy pracował jako górnika, uczył się zawodu, bo jednak kopalnia miedziowa różniła się od kopalni węglowej. Był dobrym cieślą, został więc włączony do grupy przygotowującej podsadzkę. Uczył ludzi, jak robić słupki, drabiny i inne elementy konstrukcji tam podsadzkowych.

Pewnego dnia Bronisław Wrona wezwał go do siebie, wręczył stos książek i polecił przygotować się do egzaminu przed komisją Urzędu Górniczego.

– Nie przeczytałem ani jednej i pojechałem do Wrocławia. W komisji zasiadali dwaj panowie i kobieta. Zadawali mi pytania, odpowiadałem zgodnie z posiadaną wiedzą i doświadczeniem nabytym w kopalni węgla. Gdy skończyłem, kobieta powiedziała do mnie: „Panie Struski, pan nie pracuje zgodnie ze sztuką górniczą”. Zdenerwowałem się i odpowiedziałem: „Piękna pani, oprócz pani, żadnej sztuki tu nie widzę” i wyszedłem. Właśnie ta pani oświadczyła mi, że nie zdałem, a o uprawnienia na sztygara mogę ubiegać się najszybciej za dwa lata. Na drugi dzień mój szef, pan Zębaty (imienia niestety nie pamiętam), wypytał mnie o wszystko. Opowiedziałem mu ze szczegółami co się stało, a on to skwitował ze śmiechem: „No cóż Lucek, nie będziesz chodził w białym hełmie”.

Po tygodniu szef wezwał Lucjana Struskiego do siebie oświadczając, że w dyrekcji zdecydowali, że jeszcze raz musi jechać na egzamin do Wrocławia. Nie powiedziano mu dlaczego, ale domyślał się, że chodziło o to, by mógł jak najszybciej zastąpić sztygara, który był bardzo opryskliwym i nie lubianym człowiekiem, w ciągłym konflikcie z górnikami, przez co spadały

jakość i tempo pracy. Szef Zębaty zapytał go, czy ma pieniądze na wyjazd i dodał, że przed UG we Wrocławiu będzie czekał na niego pewien człowiek.

– Akurat dostałem jakąś premię, więc nie było problemu – wspomina Struski. – Przejrzałem pobieżnie otrzymane wcześniej książki, aby zapoznać się z terminologią obowiązującą w górnictwie miedziowym. Wreszcie wsiadłem w autobus i pojechałem do Urzędu Górniczego, który mieścił się na ulicy Świdnickiej. Na miejscu okazało się, że oczekującym przed Urzędem był kolega, z którym wcześniej pracowałem. Po krótkiej rozmowie oznajmił mi, że mam iść na egzamin, a on zajmie się resztą.

Lubina, bo pracuję na nocnej zmianie, a za chwilę odchodzi ostatni autobus. Koledze natomiast dałem pieniądze i powiedziałem: „Gdyby czegoś zabrakło, zamawiaj, ja za wszystko płacę”.

■ W szeregach dozoru

Tym razem komisja nie miała zastrzeżeń i Lucjan Struski zyskał uprawnienia. Został zastępcą sztygara, potem sztygarem, następnie kierownikiem oddziału, którym był przez 12 lat. Jak wspomina, początki pracy nie były łatwe. Ludzie nadal byli wrogo nastawieni do dozoru. Dużo czasu poświęcał naprawie stosunków międzyludzkich, rozmawiał z górnikami, tłumaczył. Jeżeli trzeba było, brał – jak mówi –



Chętnie uczestniczy w Karczmach Piwnych Koła Emerytów i Rencistów przy ZG Lubin. Pierwszy z lewej L. Struski.

– Gdy zobaczyłem, że w komisji zasiada ta sama kobieta, trochę się przestraszyłem i usprawiedliwiając tak szybki powrót na egzamin dodałem, że skierował mnie tutaj dyrektor kopalni. Znowu odpowiadałem na pytania, ale tym razem nie było żadnych komentarzy. Po egzaminie zaprosiłem członków komisji do kawiarni. Złożyłem zamówienie i wymówiłem się od dalszego uczestnictwa. Stwierdziłem, że muszę wracać do

„lampę w zęby” i pokazywał, co i jak należy robić. Gdy miał obawy, że sztygar nie podoła zadaniu, zjeżdżał na nocną zmianę i pomagał w pracy. Z biegiem czasu było coraz lepiej, ludzie przekonali się, że jest dobrym fachowcem, a przy tym wyrozumiałym człowiekiem. Zyskał sympatię i szacunek nie tylko wśród załogi, ale także w kierownictwie kopalni, bo gdy trzeba było, potrafił być stanowczy.



Wciąż chętnie zakłada galowy strój na spotkania z kolegami.

– PBK Częstochowa doprowadzała rurociągi do wyrobisk. To była duża robota – mówi Struski. – Szyb Zachodni od Głównego dzieliły 4 km. Pracowali według własnej „rozpiski”, ale gdy uznałem, że można coś zrobić lepiej i taniej, kazałem robić po mojemu. Czasami zdarzało się, że mimo tych zmian wystawiali faktury po zawyżonych cenach. Wymuszałem w takich przypadkach zmiany kwot na fakturach, chociaż kłócili się ze mną i protestowali, ale z reguły stawało na moim – dodaje.

■ Brakuje solidarności

Z perspektywy lat stwierdza, że miał szczęście trafiając do Lubina. Szybko otrzymał mieszkanie przy ulicy Cedyńskiej w Lubinie, które nadal zajmuje. Od 1986 roku przebywa na emeryturze. Jest członkiem Koła Emerytów i Rencistów ZG Lubin, które nie za-

pomina o starych górnikach i często organizuje różne imprezy oraz spotkania. Bardzo chętnie w nich uczestniczy, bo to nie tylko okazja do spotkania z kolegami, ale i wspomnień o starych czasach. Dobrze płatna praca umożliwiła mu wykształcenie dzieci. Syn jest doktorem nauk, mieszka i pracuje w Szwecji, córka – także pani doktor – jest wrocławianką.

– Było ciężko, wszystko musieliśmy robić ręcznie, podstawowym materiałem do budowy tam było drewno. Potem pojawiły się nowe maszyny, tamy drewniane powoli zniknęły z krajobrazu kopalni, zastępowały je tamy metalowe, które można było wielokrotnie używać. Nie zmieniła się tylko technologia. Nadal rurami doprowadza się wodę, która jest nośnikiem piasku, a po ustabilizowaniu podsadzki, pompy odprowadzają wodę na powierzchnię. Szkoda tylko, że obecnie nie ma już takiej solidarności wśród górników. Teraz często młodzi sztygarzy potrafią arogancko odnosić się do starszych doświadczonych górników. Dawniej to było nie do pomyślenia – dodaje Lucjan Struski.

Dziś ma wiele problemów zdrowotnych, ale nie poddaje się i ze spokojem podchodzi do życia. Dwa lata temu on i żona Jasia otrzymali z okazji 50 rocznicy ślubu listy gratulacyjne i medale za długoletnie pożycie małżeńskie od prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. ■



Janina i Lucjan Struscy przeżyli ze sobą ponad 52 lata.

Praca w biurze przepustek nie była taka zła, ale nadal za swoje zarobki Kromplewscy z trudem utrzymywali pięcioosobową rodzinę. Dlatego poszła do Edwarda Krzyżanowskiego, dyrektora ds. pracowniczych ZG Lubin, z prośbą o przeniesienie. Trafiła do Działu Kontroli Jakości.

Izabela Kromplewska,
próbobiorca w Dziale
Kontroli Jakości
ZG Lubin.
Pracowała w latach
1969 – 1991



Podejmowałam dobre decyzje

Urodziła się w Chocimierzu, położonym nie- daleko Kołomyi, w dawnym województwie sta- niławowskim. Rodzice, Włodzimierz i Broni- sława Zubrzyccy, posiadali duże gospodarstwo i do wybuchu wojny nieźle im się powodziło. Potem wszystko się zmieniło.

■ Udawały Ukraińki

Gdy zbliżał się front, rodzina Zubrzyckich wyjechała do miasta Thumacz, a potem do wio- ski o nazwie Gruszka. Kiedy po wojnie wrócili do Chocimierza, zastali dom całkowicie zburzo- ny.

– Materialne straty nie były najgorsze, najbar- dziej bolało to, że całkowicie zmienił się stosunek dawnych ukraińskich sąsiadów do miejscowych Polaków. Musieliśmy ukrywać swoją narodowość, co z naszym nazwiskiem nie było łatwe. Po woj- nie brakowało wszystkiego. Ojciec z trudem od- budowywał dom. Mama z koleżanką chodziły do sąsiednich wiosek, prosząc o pomoc. Aby nikt nie

zorientował się, że są Polkami, wymyślały dla sie- bie fikcyjne, ukraińskie imiona. Dzięki tej mistyfi- kacji zdobywały nie tylko jedzenie, ale też drobny sprzęt gospodarstwa domowego: łyżki, widelce, garnki, krzesła, stołki i wszystko, co mogło się przydać w domu oraz do jego odbudowy.

W większości nasz majątek włączono do koł- chozu, zostawiono nam tylko dom i niewielki ogród, z którego trzeba było się utrzymywać. Czę- sto głodowaliśmy a zimą marzliśmy, bo nie było drewna i w piecu paliło się słomą – dodaje.

Większość Polaków ze wsi, w tym część rodzi- ny Zubrzyckich, zdecydowała się na wyjazd do Polski. Pani Iza do dziś nie wie, dlaczego jej rodzi- ce zostały.

– Starszy brat Kazimierz ożenił się, mieszkał z rodziną w sąsiedniej wiosce i to rozumiałe, że nie chciał wyjeżdżać w nieznane, ale - my? Może zdecydował o tym fakt, że w domu nie mówiło się po polsku i nie znaliśmy ojczystego języka – zasta- nawia się.

■ Zboże za pracę

W 1955 r. zmarli rodzice pani Izabeli, więc zamieszkała u wujka. Gdy chodziła do 9. klasy ukraińskiej szkoły, musiała przerwać naukę i iść do pracy w kołchozie. Zazwyczaj dorosłym przydzielano do obrabiania po pół hektara uprawy, np. buraków lub ziemniaków.

– Ja miałam 17 lat i otrzymałam połowę takiej działki. Pracowałam jak wszyscy - bez wynagrodzenia. Gdy skończyłam 18 lat, wiośną wyjechaliśmy w piątkę (dwie koleżanki i siostra koleżanki z mężem) na wschód Ukrainy, bo – jak nam powiedziano – tam w kołchozie za pracę płacili zbożem. Wioska leżała aż za Doniekiem i łatwiej się tam żyło niż u nas. W miejscowym kołchozie uprawiano pszenicę, ziemniaki, kukurydzę i arbuzy.

■ Uczyłam się języka polskiego

Na Wschodzie przepracowała pół roku, do czasu, gdy otrzymała list od wujka, w którym poinformował ją, że siostra mamy, Helena, chce ją ściągnąć do siebie. Wróciła do rodziców i w grudniu 1956 r. wyjechała do Polski.

– Jechałam pełna obaw, bo nie tylko niko go nie znałam, ale nie umiałam też mówić po polsku. W Przemysłu wydano mi kartę repatriacyjną, był to jedyny polski dokument, jaki przy sobie posiadałam.

Ciocia Helena mieszkała w Chwaśtnicy, w powiecie gryfińskim. Pomagałam jej w prowadzeniu gospodarstwa, uczyłam się języka. Był to trudny okres, dlatego m. in. pamiętam, jak bardzo się cieszyłam, gdy po pół roku dostałam z Ukrainy list od wujka, w którym pisał, że przysłali mu zboże za moją pracę. Wiedziałam, że przynajmniej przez jakiś czas będzie im łatwiej żyć.

■ Dojeżdżał na motorze

Po roku Izabela Kromplewska pojechała do wujka w Osetnie, koło Góry Śląskiej i została u niego na dłużej. Tutaj poznała przyszłego małżonka, podobnie jak ona - sierotę, który po wojnie przyjechał do Polski z Wileńszczyzny. Pobrali się i przenieśli do pobliskich Irlądź. Stanisław Kromplewski jako repatriant otrzymał 5-hektarowe gospodarstwo, położone blisko Odry. Zajęli opuszczone mieszkanie w wielorodzinnym bloku. Przez pewien czas uprawiali ziemię, ale sąsiedztwo rzeki powodowało częste podtopienia lub zalania upraw. W końcu zrezygnowani oddali ziemię do Skarbu Państwa, bo nikt nie chciał jej kupić. Pan Stanisław zatrudnił się w straży przemysłowej kopalni Lubin, do pracy dojeżdżał motorem. Pani Izabela została w Irlądźach i zajmowała się wychowywaniem dwójki synów. W 1965 r. otrzymali mieszkanie w Lubinie, przy ulicy Mickiewicza, w którym pani Izabela mieszka do dziś.

Dnia 14.IV.59r.

Kpp. 1/59

P O K W I T O W A N I E

Niniejszym kwituję odbiór Karty Repatriacyjnej Nr 33580 z dnia 15.XII.1956r. wydanej przez punkt repatriacyjny w Przemysłu na nazwisko Zubrzycka Izabela c.Włodzimierza, do sprawy prowadzonej przez Prokuraturę Powiatową w Gryfinie Nr Ds.775/58/S.-



Prokurator Powiatowy
Ryszard Jabłoński
w Górze Śląskiej

Po Karcie Repatriacyjnej pozostało tylko pokwitowanie z Prokuratury Powiatowej w Górze Śląskiej.

■ Z kiosku do kopalni

Po roku w Lubinie urodził się trzeci syn i z pensji męża trudno było wyżyć.

– Gdy Andrzej skończył 15 miesięcy, oddałam go do żłobka, zaczęłam pracować w kiosku z gazetami i słodyczami w szpitalu przy ulicy Łokietka. Niestety zarobki były tu marne i po 8 miesiącach przeniosłam się do ZG Lubin. Podobnie jak mąż, zaczęłam w straży przemysłowej, a dokładanie w biurze przepustek. Pamiętam, że komendantem straży był wtedy pan Małek, jego zastępcą pan Dąbrowski. Razem ze mną pracowały m. in. pani Pawlikowa i Marysia, której nazwiska niestety już nie mogę sobie przypomnieć, podobnie jak i imion wcześniej wymienionych.

W straży przemysłowej Izabela Kromplewska przepracowała osiem lat. Jeździła tylko na pierwsze zmiany, gdyż opiekowała się trójką dzieci. Poznała wszystkie szyby: Lubin Wschodni, Zachodni i Główny. Pracy nie brakowało, ruch był ogromny. Widziała jak kopalnia zmienia się, powstają nowe obiekty. W końcu w 1968 roku zakończono I etap budowy kopalni, która osiągnęła 25 proc. docelowej zdolności produkcyjnej oraz oddano do użytku zakład wzbogacania rud. Rozbudowa ZG Lubin trwała jeszcze wiele lat. W tym czasie, w zakładzie organizowano różnego rodzaju kursy. Pani Izabela postanowiła jeden z nich ukończyć, aby w przyszłości pracować na flotacji.

■ Dobrana załoga

Praca w biurze przepustek nie była taka zła, ale nadal za swoje zarobki Kromplewscy z trudem utrzymywali pięcioosobową rodzinę. Dlatego poszła do Edwarda Krzyżanowskiego, dyrektora ds. pracowniczych ZG Lubin, z prośbą o przeniesienie. Trafiła do Działu Kontroli Jakości.

– Na początku nie mogłam przyzwyczaić się do nowych warunków. Pracowałam teraz na trzy zmiany. Co pół godziny w wyznaczonych punktach musiałam pobierać czerpakiem koncentrat – wyjaśnia pani Izabela.

Próbki trafiały do wiaderka, a na koniec do DKJ, gdzie były mieszane dla uzyskania średniej wartości z całej zmiany. Potem je mielono i przesiewano przez sita. Po zapakowaniu do torebek trafiały do laboratorium, w którym oznaczano wilgotność i zawartość miedzi w koncentracie.



Rok 1960. Pani Iza z mężem Stanisławem i synem Wiesiem.

– Gdy wysyłaliśmy koncentrat do huty, próbki należało pobierać z każdego wagonu i wszystko dokładnie opisywać. Nie narzekałam na pracę, chociaż nie była łatwa, zwłaszcza te nocki. Człowiek był wtedy jednak młody i inaczej na to wszystko patrzył – dodaje.

Gdy pani Iza przeszła do DKJ, szefem laboratorium był pan Rzepnicki, kierownikami Andrzej Godyk, sztygarami zmianowymi panowie Witek i Peda, a brygadzystką Barbara Janura. Razem z nią pracowały m.in. Maria Kawa i Irena Koszlak. Tworzyli zgrany i solidarny zespół, nie było między nimi żadnych zatargów. Zawsze starała się pracować jak najlepiej, nigdy nie spóźniła się do pracy. Szczęśliwie też, w trakcie

15 lat pracy w DKJ, nie przytrafił się jej żaden wypadek. Zyskała sympatię u koleżanek i szacunek przełożonych. W lipcu 1978 r. została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi.

■ Zdrowie nie dopisało

Pod koniec lat 80. i 90. zaczęło jej szwankować zdrowie. Chorowała pół roku, potem przeszła na rentę. W 1991 r. zyskała prawo do emerytury i w ten sposób zakończyła pracę zawodową. W 2000 roku okazało się, że mąż zachorował na raka. Został zoperowany, początkowo wydawało się, że z dobrym skutkiem. Niestety, w 2004 r. Stanisław Kromplewski zmarł.

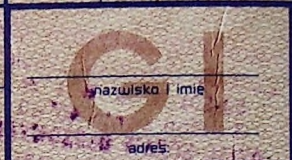
Pani Iza żałuje, że żaden z synów nie poszedł w ślady rodziców i nie pracuje w KGHM.

Najmłodszy Roman, mieszka z mamą i jest kierowcą w prywatnej firmie. Najstarszy Wiesław jeszcze „za komuny” pojechał na wycieczkę do Austrii i nie wrócił do kraju. Ściągnął żonę i dwójkę dzieci, za granicą urodziła im się jeszcze dwójka. W Austrii mieszka też prawnuczka Kasia. Trzeci z synów, Józef, mieszka w Gluchowicach pod Legnicą, pracuje w firmie budowlanej. Ich syn, a wnuk pani Izy, Andrzej jest żołnierzem zawodowym we Wrocławiu.

– Co roku z utęsknieniem czekam na rodzinne zjazdy z okazji świąt czy innych uroczystości. Ich przyjazdy sprawiają mi ogromną radość. W Lubinie spotykam się jeszcze

z koleżankami Basią Janur i Marią Kawą. Razem chodzimy też na spotkania Koła Kombatantów, bo nasi mężowie walczyli na wojnie. Bywamy też na imprezach organizowanych przez Koło Emerytów i Rencistów ZG Lubin.

Poza tym mam działkę, którą lubię uprawiać i spędzam na niej dużo czasu. Patrząc na minione lata, myślę o tym, jak dobrze zrobiłam przy-

Rezerwa G-1	Mięso 600 g 1989-8	Mięso 500 g 1989-8	Mięso 500 g 1989-8	Mięs 300 g 1989-8
Wol. Ciel. z kością 700 g 1989-8				
Wol. Ciel. z kością 800 g 1989-8				
Rezerwa II	Mięso 100 g 1989-8	Mięso 100 g 1989-8	Mięso 100 g 1989-8	Mięs 200 g 1989-8

Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi
Zakłady Górnicze „Lubin”
59-301 L U B I Ń
Telefon centr. 407-11
BIŁO SPRAW OSOBOWYCH
(15)

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA LEGITYMACJA Nr 1828-78-40 WARSZAWA dn. 18 lipca 1978 r.	UCHWAŁA RADY PAŃSTWA z dnia 18 lipca 1978 r. odznaczony/a został/a Ob. KROMPLEWSKA Izabela c. Władysława BRĄZOWYM KRZYŻEM ZASŁUGI PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA <i>[Signature]</i>
--	--

Pamiętki z okresu pracy w ZG Lubin: legitymacja odznaczenia oraz kartka żywnościowa na mięso (Kartki wprowadzono w Polskę w 1981 r. i wycofano w lipcu 1989 r.).

jeżdżając do Polski i o tym, jakie miałam szczęście, że trafiłam do ZG Lubin. Dzięki temu już nigdy więcej nie zaznałam niedostatku, a moje życie potoczyło się o wiele lepiej, niż gdybym została na Wschodzie. Myślę, że podejmowałam w życiu dobre decyzje – podsumowuje. ■

Działaliśmy w trudnych warunkach, górotwór pracował, cisnął. Gdzieś z ociosu posypywało i stojak zaczął pękać. Niestety, bloku skalnego przyciskającego Zbyszka nie dało się poruszyć. Pracowaliśmy z użyciem łomów. Po dwóch godzinach udało się skałę odsunąć na tyle, by ratownik zdołał ранnego wyciągnąć i przełożyć na nosze...

Jerzy Stąporek,
nadsztygar górniczy
w ZG Lubin.
Pracował w latach
1973 – 2006



Najlepsi w Zakładach Górniczych „L” działu wydobywczego G-4 kierowana przez Stąporka. Wielkie to wyróżnienie cych w kopalni siłnacej z doskonałymi najlepszymi wśród najlepszych – to Brygada Jerzego Stąporka pracuje ładnie 120 procent wykonanego planu i wierzony sprzęt nie zwalnia brygady wszystkich W zespole panuje doskonały klimat. Członkowie brygady ob-

Nie ma miejsca na kiepską prowizorkę

– W rodzinie naszej zawód górnika był czymś naturalnym. Dwaj bracia mojej mamy: Jan i Stanisław Kołodziejowie, pracowali po wojnie na kopalni uranu w Kowarach. Wuj Jan zapadł na choroby zawodowe, wuj Stanisław przeniósł się do PBK Lubin, gdzie doczekał emerytury. Miedziową sagę Stąporków rozpoczął mój ojciec – Stanisław Stąporek, który w 1955 roku podjął pracę w kopalni Nowy Kościół – nawiązuje do rodzinnej historii Jerzy Stąporek – dziś emerytowany nadsztygar z ZG Lubin.

Moi rodzice przyjechali na Dolny Śląsk z woj. kieleckiego. Zakotwiczyli w Świerzawie, ale w miasteczku było ciężko żyć, więc przenieśli się z powrotem na wieś. Mieszkaliśmy w Rzęśniku, 12 km od kopalni, w połowie drogi między Złotoryją a Jelenią

Górą. Na wiosnę wcale nie było lżej. Mama zajmowała się organizowaniem życia rodzinnego dla sześciorga dzieci, a ojciec pracował na kopalni przy opuszczaniu drewna, żelaza i innych materiałów potrzebnych do zabudowy chodników. Pieniądzy z tej pracy nie miał zbyt dużo, więc w domu było biednie. Żeby utrzymać 8-osobową rodzinę, rodzice chwyтали się dodatkowych prac: hodowali trzodę, przydomowe ptactwo, sadzili ziemniaki, siali zboże, które przerabiali na mąkę. Do dzisiaj pamiętam smak chleba z otrębami, wypiekany przez mamę – wspomina Jerzy Stąporek.

■ Siemiężna robota

Nie miał nigdy problemów z nauką. W zimo-

we wieczory zaczytywał się w książkach, gniezdząc się na kaflowym piecu w kuchni. Było tam również miejsce dla dwóch młodszych braci, którym chętnie czytał różne bajki.

– Technikum Górnicze w Bolesławcu wybrałem z kilku powodów. Mąż naszej nauczycielki od języka polskiego był przodowym na „Konradzie” i jeździł do kopalni motorem „junakiem” który donośnie dudnił, że słysząc go było nawet na końcu wsi. Też tak chciałem. Po drugie, jako łepiek byłem kiedyś na Barbórcie w Złotoryi i pierwszy raz widziałem pochód Lis Majora. Oczarował mnie ten ceremoniał, galowe mundury z połyskującymi medalami, pióropusze, pochodnie i gra orkiestry.

Po ósmej klasie zdałem egzamin do Technikum Górniczego w Bolesławcu. Przyznano mi internat, a potem stypendium. Byłem szczęśliwy, że dostałem się do szkoły, która ma piękne tradycje górnicze. Angażowałem się w jej życie jako wiceprzewodniczący samorządu szkolnego oraz przewodniczący Związku Młodzieży Socjalistycznej.

rzędzi prostych, niekiedy fedrunek na kolanach. Po odwierceniu, załadowaniu i ostrzeleniu przodków wybierało się urobioną rudę ręcznie, a potem w ten sam sposób zabudowywało wyrobisko. Chwilami myślałem: Boże, co ja tu robię?! Jednak, mimo rozczarowań, w przeciwieństwie do niektórych kolegów, nie zrezygnowałem.

■ Porwała ich miedź

Po kilkunastu latach ojciec pana Jerzego – Stanisław Stąporek, wraz ze swoją brygadą, przeszedł na kopalnię Konrad a nieco później, w 1969 roku, do ZG Lubin. Przez dwa lata dojeżdżał z Rzęśnika na Lubin Wschodni. Pracował tylko na nocne zmiany, ciągle dosypiał w autobusie. Wyjeżdżał z domu o dziewiętnastej, wracał po ósmej rano. W końcu dostał mieszkanie w Lubinie przy ul. Kościuszki i skończyła się gehenna z dojazdami.

– Byłem wówczas w trzeciej klasie Technikum Górniczego w Bolesławcu, a mój młodszy brat Andrzej rozpoczynał naukę w Zasadniczej Szkole Górniczej, również w Bolesławcu. W 1973 roku obaj ukończyliśmy szkoły. Myślałem o studiach,

zdawałem na AWF, niestety jeden egzamin mi nie poszedł i obydwa równocześnie rozpoczęliśmy pracę na nowej miedzi – nawiązuje do początków pracy.

Andrzej początkowo dostał się do Centralnych Warsztatów Remontowych, potem trafił do PBK Lubin, a w 1990 roku do ZG Lubin, gdzie pracował jako operator „torówki”. Antoni, najmłodszy podjął trop starszych braci i po Zasadniczej Szkole Górniczej w Lubinie znalazł zatrudnienie w ZG Polkowice-Sieroszowice jako operator maszyn ciężkich. Jerzy Stąporek wybrał ZG Lubin. Wszystkich braci „porwała” miedź, bo w tamtych latach była synonimem własnego kąta, wyższych zarobków, jutra z perspektywami.

■ Nauka na własnych błędach

– Kiedy zaczynałem pracę, działały już 3 rejonu „Lubina”. To co zobaczyłem tutaj, po do-



Praktyka na Upadowej Grodziec (1972 r.). Pierwszy od prawej Zbigniew Uzdownski, w środku Jerzy Stąporek, obok Stefan Rosik.

Pierwszy kontakt z kopalnią, w ramach praktyk szkolnych, miał na Upadowej Grodziec i było to ogromne rozczarowanie.

– Do stanowiska pracy schodziło się upadową o długości 900 metrów – wspomina Jerzy Stąporek. – Robota siemieżna, przy użyciu na-

świadczeniach na Upadowej Grodziec i „Konradzie”, napędzało mnie zdumieniem i fascynacją: duże chodniki, oświetlone przekopy. Tu nie miałem klaustrofobicznych odczuć jak na upadowej Grodziec, gdzie fedrowało się na kolanach – wspomina początki w ZG Lubin. – Zostałem przyjęty do oddziału G-4, o którym mówiono, że jest najlepszy. Zaczynałem jak wszyscy od „ślepera”, czyli chłopaka do wszystkiego. Chyba do dzisiaj przetrwał zwyczaj płatania nowym różnych figli. Mnie wydano polecenia: „Weź no worek i skocz po kompresję (sprężone powietrze)”, albo: „Przynieś, chłoptysiu, Felę (kawałek deski). Niejeden szukał tej Feli bezskutecznie. Faktycznie pierwsze miesiące a nawet lata były trudne. Początkowo, jako pomocnik górnika, zajmowałem się prostymi robotami, np. smarowaniem maszyn, mocowaniem wiertarek na stanowisku. Z czasem załadowywałem dynamit, łączyłem przodka. Pewnego dnia przywołał mnie Zbigniew Wodecki, kierownik oddziału i oświadczył: „Od jutra jako nadgórnik będziesz chodził ze sztygarem Zenonem Zaskórkim”. Nie byłem nastawiony na taki szybki awans. W pierwszym dniu sztygar Zaskórski potraktował mnie dość luźno, ale już następnego dnia mówi: „No to dziel robotę. Od tej chwili ty tutaj jesteś sztygarem, a ja tylko patrzę”. Z małymi poprawkami, ale jakoś rozdzieliłem wszystkim robotę, a wtedy na zmianie było 40 chłopów. Potem były kolejne trudne dni. Jak ja się wtedy starałem, biegałem, ustawiałem i organizowałem... Bywały momenty, że chciałem wrócić do roboty w przodku, jednak w miarę upływu czasu wdrażałem się do tej pracy, zwłaszcza że mój przełożony nie szczędził mi obowiązków.

Pewnego razu chciałem przyspieszyć robotę i jak na złość wybiło napięcie, a były wtedy ładowarki łapowe. Przełaczyliśmy tę ładowarkę na drugą rozdzielkę na krótko (bez odpowiednich zabezpieczeń), bo nam nie pasowała. Na to wszystko weszli Piotr Maćków, szef pionu energetycznego i Zbigniew Marcinkowski, jego zastępca. Nie wiem, co myślał, gdy zobaczył to prowizoryczne przełączenie, ale potem powiedział: „Przyjdź pan do biura!”. To były niepokojące słowa. Po zmianie poszedłem jak na skazanie. Besztali mnie straszliwie. Dzisiaj pewnie zwykły górnik po czymś takim by się zwolnił. Szczęściem na to wszystko przyszedł nadsztygar Dudek i próbował sprawę załagodzić: „Przecież

on chciał fedrunek zrobić!”. Rzeczywiście tę prowizorkę zrobiłem w pierwszym odruchu, bo wydobyć w tych czasach było rzeczą najważniejszą. Bywały wtedy takie sytuacje, że trzeba było po zmianie zjechać i dofedrować tony, bo różni byli kierownicy robót. Z czasem jednak wszystko się cywilizowało, a ja, nauczony na własnych błędach, instruowałem innych, że na dole, na kiepską prowizorkę nie wolno sobie pozwolić.

W tym czasie Jerzy Stąporek został mężem Alicji, absolwentki Liceum Pedagogicznego w Bolestawcu. Po roku urodził się Dawid, a potem przysłała na świat - Kasia.

Pani Alicja każdej kobiecie życzy takiego męża: – Zawsze miałam w nim oparcie. Po najtrudniejszej szychcie w kopalni był do dyspozycji rodziny. On pierwszy kąpał dzieci, czytał im bajki do snu, ale również egzekwował dyscyplinę. Pomagał mi we wszystkim. Wiele moich pomocy szkolnych, to jego dzieło. Wiem, że marzył o studiach. Kiedy w końcu znalazły się pieniądze i mógł spełnić swoje marzenie, przeznaczył je na moje studia, abym mogła wzmocnić swoją pozycję zawodową – dodaje ze wzruszeniem pani Alicja, która przez wiele lat pełniła funkcję dyrektora lubińskiej SP nr 12.

■ Potrzebowali przywódcy

– Od sztygara Zaskórkiego przeszedłem do brygady Bronka Grzyba, z którym pracowało się bardzo dobrze. Zadawałem mnóstwo pytań, na które Bronek zawsze odpowiadał, tłumacząc precyzyjnie różne zawiłości. Zawsze był wcześniej w miejscu, do którego i ja miałem obowiązek zejść. Był nie tylko wspaniałym fachowcem, ale również nietuzinkowym człowiekiem, który z ochotą dzielił się swoją wiedzą. To przede wszystkim on nauczył mnie roboty sztygarskiej – przyznaje pan Jerzy.

Po 2 latach otrzymałem zatwierdzenia na sztygara zmianowego oddziału G-4. Przejął brygadę po Zenonie Zaskórkim, który w tym czasie miał kłopoty zdrowotne. Taki awans zawsze wiąże się z jeszcze większą odpowiedzialnością za załogę i wynik ekonomiczny.

– Brygadę w większości tworzyli ludzie z Łęczycy – wspomina. – Myślę, że potrzebowali bardziej duchowego przywódcy, niż ekonoma stojącego nad nimi z „batem”. Starałem się budować atmosferę zaufania, ale też wymagałem fachowości, umiejętności skupiania się na pracy oraz docieklivosti



O sukcesie brygady drugiej z oddziału G-4 rozpisywano się w „Nowej Miedzi”.

i przewidywania skutków swoich decyzji. Kiedyś nawet zdobyliśmy tytuł najlepszej brygady w ZG Lubin. To był nasz pierwszy tak spektakularny

dwie 60 procent normy.

Pierwszego stycznia 1978 roku zostałem razem z Zbyszkciem Jaraczewskim, Tadeuszem

sukces. W Nowej Miedzi pisali, że moja brygada fedruje najlepiej z całej kopalni, bo wyrabia 120 procent normy i z właściwą troską dba o powierzony sprzęt. Do stałiśmy za ten sukces pieniądze. Pamiętam, zaprosiłem kolegów do „Ratuszowej” na poczęstunek. Były wtedy wspólne zdjęcia i długie rozmowy, na które nie ma czasu w pracy.

■ Superkierownik Stefan

Stefan Nowacki przyszedł do ZG Lubin z „Konrada”, by wzmocnić kadrę dozoru. Był bardzo ceniony przez dyrekcję kopalni i miał ksywę - superkierownik.

- Pamiętam, jeździł po kopalni, zaglądał w różne kąty i zastanawiał się, który oddział przejąć. Wybrał G-5 - jeden z gorszych oddziałów, o którym mówiono, że wypracowuje zale-



Najlepsza brygada ZG Lubin na pamiętym spotkaniu w „Ratuszowej”.

Węglickim i Leszkiem Stężowskim przeniesiony na G-5. Właśnie wchodziliśmy w czterybrygadowkę, a to oznaczało, że o normalnym rytmie codziennego życia można będzie tylko pomarzyć. I było tak: wigilia, a ja do pracy na drugą zmianę, sylwester, a ja na trzecią zmianę, imieniny, a ja muszę do roboty itd. Był to bardzo intensywny, ale i owocny czas. To u Stefana zobaczyłem i zrozumiałem, że ludziom podoba się dyscyplina, a jednocześnie odpowiednie traktowanie - dalekie od typowego zamordyzmu i poniżania. Owszem, nygusy buntowali się pod nosem, ale zdecydowana większość, czyli ci co przyszli do kopalni by pracować i zarabiać godziwe pieniądze, chcieli mieć robotę zorganizowaną. Stefan im to wszystko zapewniał. Od niego nauczyłem się budowania dyscypliny na zdrowych zasadach.

■ Po tragedii chciałem odejść

Po roku okazało się, że na G-4 znowu wprowadzana jest podszadzka. Jerzy Stąporek, który wcześniej pracował na tym oddziale na podszadce, z powrotem został przerzucony na G-4, tym razem już w randze sztygara zmianowego.

- Początkowo pracowało się całkiem nieźle, ale potem, w 1980 roku, wydarzył się wypadek. Trzech strzałowych z mojego oddziału jechało wozem SWT i na krzyżówce runęły skały. Odkopywaliśmy ich 3 zmiany. Ci, którzy siedzieli na platformie, zginęli na miejscu, a Zbysiu Głogowski siedzący w kabinie miał więcej szczęścia. Po leczeniu szpitalnym i rehabilitacji wrócił z powrotem na dół. We mnie po tej tragedii coś się złamało. Nie widziałem sensu mojej pracy. Chciałem odejść z górnictwa - wspomina kryzys. - Dopiero jeden z dyrektorów przekonał mnie, że nie było w tym żadnej mojej winy i wytrzymałem.

W 1986 roku zawezwał mnie ówczesny zawiadowca - Tadeusz Szelaż i oznajmił: „Pojedziesz na

Wschód”. Z takiego obrotu sprawy byłem bardzo niezadowolony. Przez kilka lat na G-4 udało mi się wypracować w oddziale twarde zasady, a nawet niektórych „wyleczyć” z bumelowania i picia. Kiedy więc kolejny raz „rzucano” mnie w rejon, gdzie trzeba było zaczynać jakby od początku, byłem rozgoryczony. Ale w kopalni jak w wojsku - jest polecenie i trzeba je wykonać!

■ Ziaja pochwalili

- Oddział G-3 był dosyć trudny, jeśli chodzi o załogę a także warunki geologiczne. Właśnie kończył wybieranie pola. Po kolei próbowali nim kierować trzej młodzi inżynierowie, ale im nie szło. Było tam dwóch dobrych sztygarów: Jasiu Sadłowski i Tadeusz Skowroński, oni jednak też nie chcieli zostać kierownikami. Na dodatek szefem robót w tym rejonie był Tomicki Bronuś, z którym wcześniej trochę zadarłem. Kiedyś, jako nadsztygar, przyłapał mnie na dole, jak z długopisem w ręku kimnałem się nad biurkiem. Usiadł przede mną i powiedział: „Pan nie jest dobrym sztygarem!” A ja na to: „Ma pan rację. Ci dobrzy już dawno poszli w nadsztygary!”



Podszybie, przekop od Lubina Głównego do Lubina Wschodniego. Od lewej zawiadowca górniczy Darosław Kubiak, za nim nadsztygar górniczy Jerzy Stąporek.

Później nasze drogi się rozeszły, bo przeniesli go na Wschód, na stanowisko kierownika robót. Kiedy więc teraz nasze drogi znów się skrzyżowały, powiedziałem do Szelaży: „Zawiadowco,

dzwonił pan do Tomickiego, czy będzie mnie chciał?" Zadzwoił, zapytał, a Tomicki odrzekł: „Niech przyjeżdża i niech się o nic nie martwi". Rzeczywiście moje obawy były zupełnie niepotrzebne. Przez pięć lat u niego byłem i bardzo dobrze mi się z nim pracowało. Zupełnie zmieniłem zdanie o tym człowieku. Pamiętam, jak któregoś razu przyjechał do nas dyr. Ziaja: „Kolego, co wy tutaj macie?" Był bardzo skrupulatny, zaglądał we wszystkie kąty. Po zakończeniu kontroli napisał: „Wizytowaliśmy oddział wydobywczy G-3. To bardzo trudny oddział, dlatego muszę tam częściej zaglądać. Stwierdzam, że oddział jest bardzo dobrze i sprawnie prowadzony przez kierownika Jerzego Stąporka". Była to dla mnie i moich ludzi bardzo ważna i cenna opinia, bo przecież wystawiona przez jednego z najwyższej cenionych specjalistów górnictwa fachu.

Po 5 latach, kiedy kierownik oddziału G-4 (uznawanego za najlepszy) awansował na nadztygara, Jerzy Stąporek znów został przeniesiony na nowe miejsce i jako kierownik oddziału spędził na G-4 kolejne pięć lat.

■ (Nie)szczęścia chodzą parami

– Czy mija się z prawdą ten, kto twierdzi, że się nie boi dołu? Myślę, że kłamie i jest bez wyobraźni. Przy mocnym wstrząsie nie ma na dole człowieka, który nie chowałby głowy w ramio-

na. Ważne, by ten strach nie paraliżował, ale by mobilizował do działania – nawiązuje pan Jerzy do kolejnego pytania. – Na co dzień jestem spokojny, może nawet flegmatyczny, jednak gdy się coś zaczyna dziać, wstępują we mnie animusz i wola działania. Taka jest rola sztygara. Oprócz organizacji pracy i dbałości o bezpieczeństwo musi umieć, jako pierwszy w razie wypadku, nieść pomoc i organizować akcję ratowniczą. W ciągu 33 lat pracy uczestniczyłem w wielu takich akcjach. Za tę na G-5 otrzymałem medal „Za ratowanie zdrowia i życia" (Medal Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego), który wręczał mi sam Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Byłem wtedy nadztygarem na rejonie Lubin Główny. Jak co dzień zrobiłem obchód i wszystko grało jak należy. Wyjechałem do góry o 18.30, nie zdążyłem się jeszcze przebrać, kiedy zadzwonił sztygar Rysiu Chojnecki: „Mamy wypadek, podczas kotwienia odpadły ze stropu skały i Zbyszek Motyka - pomocnik kotwiarza - został przyciśnięty do maszyny". Oczywiście powiadomiłem dyrektora, uruchomiłem ratowników. Zanim dojechali, już zorganizowałem transport szynowy i kołowy. Zjechaliśmy szybem na dół, potem pociągami, a dalej SWT. Kierownik akcji wyznaczył bazę możliwie najbliższej miejsca zdarzenia. Działaliśmy w trudnych warunkach, górotwór pracował, cisnął, gdzieś z ociosu się posypywało i stojak zaczął pękać.



Jeden z medali „Za ratowanie zdrowia i życia" - otrzymał z rąk Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego.



Państwo Stąporkowie przed swoim domem.

Niestety, bloku skalnego przyciskającego Zbyszka od pasa w dół nie udało się poruszyć. Pracowaliśmy z użyciem łomów. Po dwóch godzinach udało się na tyle, by ratownik zdołał rannego wyciągnąć i przełożyć na nosze. Chłopak miał zmasakrowaną miednicę, ale przeżył. Miesiąc później na G-4 nieszczęście dotknęło jego ojca - strzałowego. Podczas ładowania przodka odebrała się na niego od stropu łąta skalna... Obaj przeżyli, niestety do pracy już nie wrócili.

■ W lidze... do dzisiaj

Jerzy Stąporek przeszedł na emeryturę w 2006 roku, w ciągu 33 lat pracy nie miał ani jednego wypadku. Pod koniec pracy zawodowej „uszykował” sobie coś, co kontynuuje na emeryturze. Zbudował dom na dużej działce, oddalonej 2 km od Lubina, tym samym spełnił marzenia o powrocie na wieś, by uprawiać rośliny, sadzić drzewa, krzewy i je formować.

– Dziś moim sztygarem na posesji jest moja żona. Mamy blisko swoje dzieci. Jestem szczę-

śliwym mężem, ojcem i dziadkiem czwórki wnucząt – podsumowuje. – Pozostają również w kontakcie z macierzystym zakładem. W okresie kiedy jeszcze pracowałem, zawiązała się tzw. liga kierownicza siatkarska, w której mogli grać ludzie powyżej 35 roku życia piastujący kierownicze funkcje. Grywam w tej lidze do dzisiaj. Nie łapię się już oczywiście do pierwszej drużyny, bo przyszli młodzi, sprawniejsi, ale dbam o swoją kondycję i tężyznę fizyczną, i wciąż chętnie służę za sparingpartnera. ■

Za pracą na „Rudnej” stałem w blisko 50-osobowej kolejce, tak wielu było chętnych. Spotkałem wtedy kolegę, który tak jak ja, pochodził spod Koźmina, w Poznaniu. Po badaniach lekarskich wyszedł z gabinetu i rozczarowany powiedział: „Doktor nie zezwolił mi na pracę pod ziemią. Wracam do domu”. Mnie do kopalni przyjęli.

*Andrzej Gryszka,
ślusarz-mechanik
w Zakładach
Górnich Rudna.
Pracował w latach
1974 – 1996*



Słyszał, jak trzeszczy strop

Po latach spotkaliśmy się w rodzinnych stronach. „To ty jeszcze żyjesz?! Nie zadusiło cię na dole?” – zapytał. – Byłem już wówczas na emeryturze, chodziłem z wnuczką na plac zabaw, uczyłem ją jeździć na rowerze. Teraz jest dorosła, pozostałe wnuki też podchowane, chodzę więc na spacer z psem – śmieje się Andrzej Gryszka, były pracownik ZG Rudna.

■ W powietrzu i pod ziemią

Kiedy przechodził na emeryturę, zorganizował, jak górnicy mają w zwyczaju, pożegnanie. Gdy koledzy wypili trochę wódki, ośmielili się i wypomnieli mu co nieco.

– Jeden z nich powiedział: „Dobrze, że ten stary idzie już na emeryturę, bo zajęłaby nas robotą” – wspomina Andrzej Gryszka.

– Bo mój mąż był służbistą – włączyła się do rozmowy jego żona, Urszula.

– Nie chciałem, żeby ktoś przeze mnie ucierpiał. Jeśli coś było do zrobienia, to nie odkładałem tego na później. To prawda, że trochę goniłem młodych do roboty i czasem byli na mnie za to zli. Ale kiedy na przykład zepsuła się kotwiaraka, to przecież trzeba było ją szybko naprawić, żeby ludzie nie wchodzili na niezakotwiony teren i żeby nie spadło im coś na głowę. Miałbym wtedy wyrzuty sumienia – broni się pan Andrzej.

Zanim poznał swoją przyszłą żonę, służył w 6. Powietrznej Dywizji Desantowej. Skoki spadochronowe były niemal codziennością. Pani Urszula postawiła mu ultimatum: „Jeśli zostaniesz w wojsku, to z nami koniec”. Dla niej rzucił mundur.

– Martwiłam się, że któregoś dnia coś się mu stanie, dlatego tak się zachowałam – wyjaśnia. – Potem jednak, kiedy mąż przeszedł do kopalni, zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam. Sama już nie wiedziałam, gdzie bardziej niebezpiecznie, w powietrzu czy pod ziemią? Kiedy pracował już na „Rudnej”, wiele razy nie spałam w nocy, stałam przy oknie i patrzyłam, czy wraca od strony przystanku cały i zdrowy. Gdy zepsuła się jakaś maszyna i musiał zostać dłużej w kopalni, wtedy różne myśli chodziły mi po głowie. Długo nie mogłam się przyzwyczaić do obaw o życie męża – wspomina Urszula Gryszka.

– Zawsze jej tłumaczyłem: „Jeśli się coś stanie, to przyjdą i cię powiadomią, a jeśli nikt nie przychodzi, to znaczy, że zostałem dłużej w pracy” – dodaje pan Andrzej.

■ Za dwa tygodnie wrócisz

Państwo Gryszkowie mają jeszcze w pamięci czas, kiedy ściągnęli do zagłębia miedziowego całą rodziną. Wcześniej pan Andrzej mieszkał pod Koźminem, dojeżdżał do pracy pociągiem, a kiedy nie miał połączenia, rowerem. Pewnej soboty, gdy czekał na dworcu, spotkał kolegów ze szkoły zawodowej. Rozmawiali o pracy w zagłębiu miedziowym i wtedy mu zaświtało, że przecież i on mógłby tego spróbować.

– Za jakiś czas pojechałem do Lubina zobaczyć, jak tam jest naprawdę. Kolega, który w Zakładzie Transportu jeździł wywrotkami, obwiał mnie, pokazał kopalnię i poradził: „Do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń się nie przyjmuj, bo dłużej będziesz czekał na mieszkanie. Pamiętaj – ciebie interesuje tylko praca w kopalni. Najlepiej idź na „Rudną”, bo tam wszystko dopiero powstaje i przyjmują ludzi”.

I tak pan Andrzej zdecydował się na pracę pod ziemią. Musiał tylko zwolnić się ze swojej firmy – Poznańskich Zakładów Mechanicznych. Męczyły go dojazdy do pracy, zwłaszcza zimą. Poza tym dzieci rosły i chciał, żeby miały

blisko do szkoły. Poszedł do kierownika i powiedział, że odchodzi. Ten radził się mu zastanowić i przekonywał: „Za dwa tygodnie wrócisz”. Wiele znajomych też mu to powtarzało, ale pan Andrzej już zdecydował się na przeprowadzkę. Jeszcze tego samego dnia, w którym rozliczył się z firmą, pojechał do Głogowa. Zatrzymał się u kolegi pochodzącego z tej samej wsi.

– Nazajutrz stanąłem w blisko 50-osobowej kolejce do przyjęcia na „Rudną”, tak wielu było chętnych. Spotkałem tam przypadkowo kolegę z sąsiedniej miejscowości. Po wyjściu z gabinetu lekarskiego powiedział rozczarowany: „Doktor nie zezwolił mi na pracę pod ziemią. Wracam do domu”. Mnie do kopalni przyjęli.

■ Z pompą na kiju

Andrzej Gryszka zatrudnił się jako ślusarz – mechanik na oddziale wydobywczym ZG Rudna. Przeszedł szkolenie bhp i 6 sierpnia 1974 roku pierwszy raz zjechał pod ziemię.

– Było gorąco, ciężko się oddychało, a wówczas wentylacja nie działała tak jak dzisiaj. Szkolenie, szkoleniem, ale kiedy przyszło zdjąć oponę z koła maszyny, to początkowo w czterech czy pięciu chłopów tańcowałem koło niej i nie wiedzieliśmy, jak się do tego zabrać.

Nasza praca w tamtym czasie, w porównaniu z tym co jest dzisiaj, przypominała po prostu partyzantkę. Na przykład zanim zjechaliśmy na



Pracownicy KGHM na szkoleniu z zakresu hydrauliki siłowej. Rok 1975.

dół, należało z magazynu zabrać ze sobą części do maszyn, które się zepsuły. Jeśli była to ciężka pompa, zawieszaliśmy ją na kiju. Potem z kolegą zakładaliśmy go na ramiona i pchaliśmy się z tym do autobusu, który wioził nas pod sam szyb.

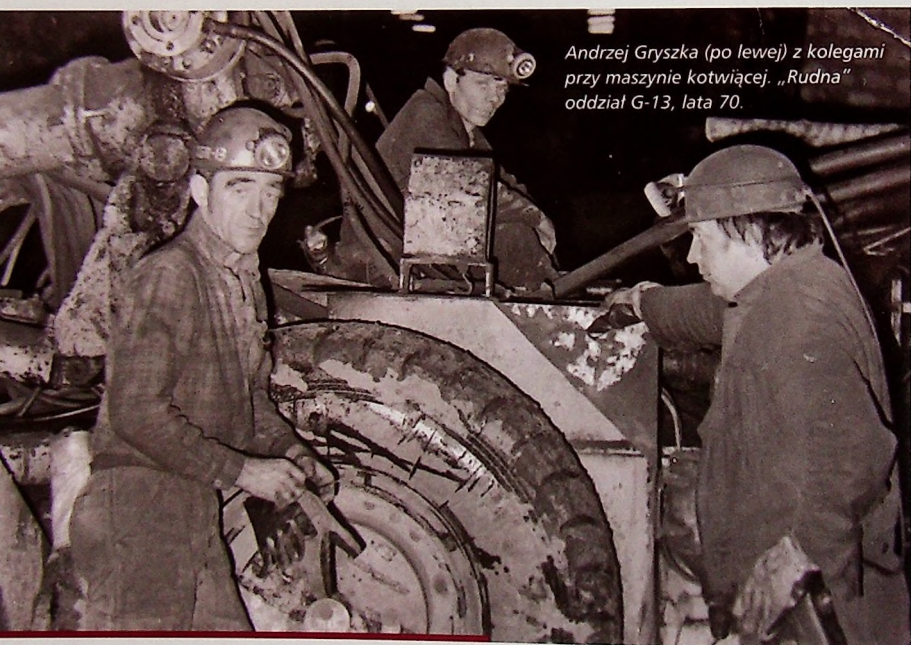
■ W skałę, jak w masło

– Zapasowych maszyn wówczas nie było. Dzisiaj są na przykład są na stanie cztery wiertnice, a pracują dwie. Kiedy jedna ma awarię, to bierze się druga. No i teraz działają specjalne służby, które zaopatrują oddziały, górnik nie musi się o nic martwić. Dawniej operatorzy sami potrafili naprawić maszynę, dzisiaj dzwonią po mechanika z najmniejszą usterką, choć

wodowało awarie pomp. Teraz praca i tankowanie są łatwiejsze – paliwo i olej leje się do maszyny jak na CPN-nie. A współczesne wiertarki wchodzą w skałę, jak to określają górnicy, jak w masło.

– Warunki pracy zmieniły się jak dzień do nocy. Czasem myślę, że gdyby dzisiaj przyszło młodemu pracować tak jak my dawniej, to chyba nie daliby rady. Dlatego były dyrektor ZG Rudna Jerzy Jarmużek mawiał: „Stara gwardia, to stara gwardia. Teraz to już nie to samo” – wyjaśnia.

Ale bywało, że i na starą gwardię padał strach. Czasem pan Andrzej zadzierał głowę do góry i z niepokojem słuchał, jak trzeszczy strop. Włosy stawały dęba i gdy tąpnęło, nie wiedział, gdzie „się obrócić”. Nie raz śnił, że coś złego się



Andrzej Gryszka (po lewej) z kolegami przy maszynie kotwiącej. „Rudna” oddział G-13, lata 70.

muszę powiedzieć, że i przed laty takich nie brakowało. Wtedy z torbą pełną narzędzi, lampą i aparatem ucieczkowym trzeba było iść kilometr na przodek – mówi pan Andrzej.

Przed laty olej przywożono w beczkach. Górnicy przelewali go do wiader, a dopiero z nich do maszyny. Zawsze ubrudzili przy tym siebie i urządzenia. Zanieczyszczał się też olej, co po-

zdarzyło, choć przez wiele lat pracy nic się mu nie stało. Niektórzy koledzy nie mieli jednak takiego szczęścia. Jeden z nich, na oczach którego zginął górnik, powiedział, że do kopalni więcej nie zjedzie.

– Gdyby mój mąż czegoś takiego doświadczył, tobym go więcej pod ziemię nie puściła, wołałabym, żeby ulice zamiatał – wtrąca pani Urszula.

■ Kusiły pieniądze i mieszkania

W Poznańskich Zakładach Mechanicznych Andrzej Gryszka zarabiał nieźle jak na tamte czasy. Ale w ZG Rudna już pierwsza jego wypłata była dwukrotnie wyższa. Dobre zarobki przyciągały ludzi różnych zawodów i z różnych stron. Któregoś dnia zginął górnik, który pochodził z Lubelszczyzny. Koledzy pojechali na pogrzeb i dopiero na nim dowiedzieli się, że był muzykiem ze średnim wykształceniem. Ukrył to i przyjął się do kopalni jako człowiek bez zawodu, byle tylko więcej zarobić.

Pan Andrzej jakiś czas po przyjeździe do Lubina mieszkał na sublokatorce, w Małomicach. Potem sprowadził tu rodzinę. Już w styczniu 1977 roku dostał klucze do mieszkania na „Polnym” i żyje tu do dzisiaj.

Pamięta, że przydział otrzymał w listopadzie 1976 roku i chociaż budynek nie był wykończony, spółdzielnia mieszkaniowa chciała naliczyć czynsz. Górnicy zaprotestowali i administracja od tego pomysłu odstąpiła. Gryszakowie dostali mieszkanie na parterze, w wieżowcu. Za budynkiem były tylko pola obsadzone ziemniakami i kukurydzą. Dzisiaj biegnie tędy ulica Hutnicza.

■ Z wałówką na „Rudną”

Na górnicze imprezy nie chodził, bo jak dla niego, za dużo łało się tam alkoholu. Na wycieczki z kolegami też nie jeździł. Urlopy spędzał, pracując u siostry na gospodarce. Pomagał jej przy maszynach. To się opłacało całej rodzinie, bo kiedy wszystko było na kartki, Gryszakowie mieli pełną zamrażarkę.

Poza tym pan Andrzej z kopalni przynosił a to radzieckie konserwy rybne, a to podsuszaną kielbasę, pasztety, mielonki, a to żółty ser. Na miejscu miał soki pomidorowe i aroinowe.

– Mąż zarobił u siostry świnia, przywiózł kury, jajka. Jednego tygodnia było świnobicie, a drugiego już ogłoszono strajki w kopalni, to miałam co mu wozić. Zebrałyśmy się wtedy we cztery – żony górników – i pojechałyśmy z wałówką na „Rudną” – wspomina pani

Urszula, a pan Andrzej potwierdza, że podczas strajków nikt nie był głodny. Zaraz rozpytano bowiem górników, i kto w wojsku kucharzy, poszedł pracować do kuchni. Gotowali wtedy wojskowe krupniki. Chleba, kawy, mleka i herbaty było pod dostatkiem. Ktoś nawet skombinował papierosy carmeny i rozdzielał po dwa na głowę.

– Brali je wówczas nawet niepalący – śmieje się pan Andrzej.

W końcu ZOMO i wojsko rozpendziło strajkujących pracowników.

– W pamięci została mi taka scena: górnicy szli w szeregu pod rękę, a naprzeciw stali żołnierze. Jeden z dowódców krzyknął do sztygara: „Heniek! Ty też tu!” A on odpowiedział: „Tak i się tego nie wstydzę”. Po tej akcji wróciłem do domu zarośnięty i zmęczony. Zaraz zadzwonił sąsiad, z którym razem strajkowaliśmy i zapytał: „Andrzej, masz coś do wypicia?” Za chwilę przyszedł z żoną i trochę się przy butelce odstresowaliśmy. To się nam przydało, bo w napięciu żyliśmy od niedzielnej mszy, na której dowiedzieliśmy się, że wprowadzono stan wojenny – opowiada Andrzej Gryszka.

Strajkujący górnicy zostali zwolnieni, a potem przyjęci na nowych warunkach. Do końca pracy w kopalni, to jest do 1996 roku, pan Andrzej był zatrudniony na oddziale 13. i zapewnia, że nie był to oddział pechowy, bo do emerytury szczęśliwie dotrwał bez wypadku. ■



Andrzej Gryszka z żoną Urszulą nadal zajmują mieszkanie, które zasiedlili w latach 70. ubiegłego wieku, kiedy to pan Gryszka zatrudnił się na „Rudnej”.

Zebrało się szerokie konsylium z pionu elektrycznego i gorątkowo głowiło się nad możliwą przyczyną dotąd niespotykanej anomalii w pracy silnika tej maszyny. Przez 16 godzin nie mogliśmy niczego ustalić, zwłaszcza że te objawy pojawiały się nieregularnie, w różnych odstępach czasu. Nawet dyrektor techniczny, który początkowo bardzo się niecierpliwił, przestał nas poganiać. Rano do naszego zespołu dołączył wypoczęty nadsztygar Andrzej Żymalski, podumał, po kombinował i po kilku godzinach...znalazł!

*Jerzy Formago,
inżynier elektryk,
nadsztygar w ZG Rudna.
Pracował w latach
1976 – 2003*



Wciąż lubi nowe wyzwania

Kiedy 1 września 1976 roku, po studiach na Politechnice Wrocławskiej, jako stypendysta zgłosił się do pracy w KGHM, dostał skierowanie do Zanamu. Był rozczarowany, gdyż bardzo chciał pracować w kopalni a najbardziej w oddziale szybowym, który poznał w ramach szkolnych praktyk. Był dociekliwym, ważnym uczniem. Z wyróżnieniem ukończył Technikum Górnictwa Rud w Lubinie na kierunku elektrycznym; w nagrodę za wzorowe świadectwo maturalne dyrektor Mieczysław Guzdro wysłał Jerzego Formago na wczasy nad morze.

Potem, będąc studentem wydziału elektrycznego, załatwił sobie miesięczną praktykę w kopalni Polkowice, bo tylko dół go interesował. Zetknął się tam - jak powiada - z elektryczną śmietanką Polkowic i bardzo dużo się nauczył.

■ O mało nie „wyleciał”

– Do Zanamu nie chciałem, więc wysłano mnie do głównego inżyniera energomaszynowego w ZG Rudna pana Zbigniewa Krzyżaniaka, którego bardzo ceniłem za życiową mądrość i zawodową pa-

się – rozpoczyna wspomnienia pan Jerzy. – To on, wraz ze swoją doborową kadrą inżynierską, wdrażał i uruchamiał w „Rudnej” wszystkie maszyny wyciągowe ASEA. Kiedy powiedziałem mu, że chcę pracować w oddziale szybowym, przekonał mnie, że przedtem muszę dobrze poznać urządzenia dołowe pod kątem elektrycznym. Tak wyszło, że to poznanie przeciągnęło się do ...pięciu lat.

Ale najpierw, po miesiącu czy dwóch, pan Jerzy o mało nie wyleciał karnie z roboty dołowej na powierzchnię. Bardzo szybko zaznajomił się z urządzeniami, ale nie wyczuwał jeszcze znaczenia hierarchii zawodowej w kopalni i tego nieoficjalnego podskórnego życia kopalni. Pracował wtedy na oddziale taśmowym jako sztygar zmianowy u kierownika Jana Czachora – później był jego zastępcą. Któregoś razu, pod koniec zmiany, dyspozytor górniczy powiadomił go o elektrycznej awarii na przenośniku B-31. Pięć kilometrów, aż pod „Polkowice”, musiał iść na piechotę, bo wtedy jeszcze wozów transportowych dla ludzi nie było. Na miejscu okazało się, iż żadnej awarii nie ma, tylko mechanicy naprawiali taśmę, co powinni robić na międzymianie. Chcieli szybciej pojechać do domu, a zgłaszając rzekome uszkodzenie, mogli wyłączyć taśmociąg i zająć się swoją robotą. Był wściekły, zadzwonił do dyspozytora i nie przebierając w słowach nawrzucał mu, co myśli o jego kompetencjach. Nie zdawał sobie sprawy, że dyspozytor górniczy, to w kopalni „szycha” – prawa ręka dyrektora technicznego, wówczas Jana Sadeckiego. Rozpętała się afera.

– Całe szczęście, pan Krzyżaniak wstawił się za mną; „że młody, że zdolny, niedoświadczony i że szkoda by było, gdybym odszedł” i jakoś mnie wybronił – mówi o tamtej wpadce. – A z dyspozytorem później polubiliśmy się i już całkiem dobrze i zgodnie współpracowaliśmy. Ten incydent nauczył mnie pokory wobec górniczej hierarchii i panowania nad emocjami. Z czasem praca w ruchu, gdzie obowiązują twarde reguły gry, tak mnie uodporniła, że nie dawałem się wyprowadzić z równowagi. Bo w kopalni, sama wiedza techniczna, to za mało, aby awansować, ważne są także inne predyspozycje.

Przyjmując Jerzego Formago do pracy, inż. Krzyżaniak zapytał, jak sobie radzi z projektowaniem. Radził sobie całkiem dobrze, więc od razu zlecił zaprojektowanie (do spółki z mechanikiem, inż. Wojciechowskim) powierzchniowego urzą-



Z rewizytą w Zagłębiu Ruhry. Od prawej: Jerzy Formago, piąty - główny inżynier inwestycji - Janusz Glinka, obok - główny inżynier energomaszynowy Piotr Bieniecki. Pozostali to przedstawiciele firmy AEG.

żenia do wulkanizacji dętek i opon, które setkami wywożono z dołu i wysyłano do naprawy poza zakład. Krzyżaniak chciał, żeby je regenerowano na miejscu. W oparciu o dane, takie jak np. temperatura i optymalny czas wulkanizacji, pan Jerzy miał zaprojektować półautomatyczny układ sterowniczy. Obaj inżynierowie z łatwością wywiązywaliśmy się ze swoich zadań. Urządzenia działały bez zarzutu a nazwali je symbolem WF-1 i WF-2 od pierwszych liter swoich nazwisk. Oczywiście dostali za nie nagrody. Był to pierwszy wniosek racjonalizatorski inżyniera Formago, potwierdzony oficjalnym świadectwem.

■ „Koguty” na taśmach

Kolejne wnioski stały się niemal jego rutynowym zajęciem. Na oddziale taśmowym - elektrycznym, gdzie był zatrudniony jako sztygar zmianowy i jednocześnie zastępca kierownika Jana Czachora, miał szerokie pole do popisu. Rudna była pierwszą kopalnią, w której urobek transportowano przenośnikami taśmowymi, a oddział pana Jerzego Formago obsługiwał całość tego transportu.

- Początkowo był to horror - wspomina. - Przenośniki ustawione w szeregu, jeden za drugim, nie miały blokad. Gdy np. jeden się zatrzymał, poprzedzające nadal pozostawały w ruchu, sygnalizując na ten awaryjnie wyłączony. Zanim operator taśmociągu zareagował, zawały taśmę rudą aż po strop, tworząc tzw. koguty. Było oczywiste, że przenośniki należy wyposażać w automatyczne czujniki spiętrzenia i czujniki kontroli biegu taśmy, by w ra-

zie awarii zatrzymywały pozostałe. Porobiiliśmy blokady na wszystkich przenośnikach. Przy okazji tych prac wyszło na jaw, że szafy sterownicze, które montowały firmy zewnętrzne, nie są zgodne z projektem „Cuprum”. Te rozbieżności poważnie utrudniały lokalizowanie i usuwanie awarii, wydłużały czas przestoju taśmociągów. W rezultacie zaczęliśmy wymieniać te szafy, zwłaszcza typu Gwarek, na nowe, które sam zaprojektowałem. Wymienialiśmy je między zmianami, kiedy taśmociągi nie pracowały. Za tę modernizację, oprócz satysfakcji, wpadła również dodatkowa kasa. Ale efekty ekonomiczne były spore, bo od tego czasu, tj. od 1979, roku taśmociągi pracowały znacznie płynniej.

■ Wreszcie w szybowym

Po pięciu latach Jerzy Formago doczekał się w końcu przeniesienia na oddział szybowy - elektryczny E-1, od razu na stanowisko zastępcy kierownika inż. Mariana Dzioba; później, po jego awansie, sam został szefem. Mówi, że miał szczęście

trafić, i było tak przez cały okres pracy zawodowej, na wyjątkowych ludzi - doskonałych i ambitnych fachowców, od których mógł się wiele nauczyć.

- Rozpierała mnie duma, że znalazłem się w gronie tak świetnych inżynierów - mówi z uznaniem



Karczma w ZG Rudna. Od prawej: sztygar zmianowy E-2 Bagien, nadsztygar Formago, nadsztygar Kaczor, sztygar zmianowy Pluta.

o kolegach z pracy. - Marian Dziob, kierownik szybowego i nadsztygar Andrzej Żymalski szkolili się w Szwecji, ponieważ stamtąd pochodziły nasze maszyny wyciągowe. Dzielać się wiedzą potrafili zachęcić do pracy i do nauki, a uczyć się trzeba było cały czas, żeby nadążyć za nowoczesnymi technologiami. Dużo czasu poświęcał mi Leszek Barnat, sztygar zmianowy w oddziale E-1, wprowadzając w tajniki maszyn wyciągowych, które były dla mnie całkowitą nowością. Po to, by jak najszybciej być użytecznym w oddziale, zabierałem do domu schematy i je analizowałem. Przede mną kilku inżynierów odeszło z szybowego, zniechęceni koniecznością żmudnego wnikania w budowę i działanie tych maszyn. Przy okazji znalazłem kilka szwedzkich rozwiązań sterowania, niebezpiecznych dla załogi i samej maszyny wyciągowej. (Przypuszczalnie Szwedzi przy ich projektowaniu nie uwzględnili różnic w podejściu do obsługi naszych i ich pracowników.). Aby je poprawić, składałem wnioski racjonalizatorskie. Zresztą, nie ja jedyny, bardziej doświadczeni kole-

dzy też je wylapywali. Niektóre z nich trzeba było szybko skorygować. Np. na R-II podczas próby hamulców istniało niebezpieczeństwo przypadkowego odhamowania maszyny, co mogło być bardzo groźne w skutkach, bo naczynia wyciągowe i liny mogły ulec zniszczeniu. W 1985 roku zgłosiliśmy w tej sprawie zbiorowy projekt wynalazczy: „Ograniczenie możliwości odhamowania maszyny wyciągowej szybu R-II podczas wykonywania próby hamulców.”. Współautorami, obok mnie, byli: Andrzej Żymalski, Marian Dziob, a wykonawcami świetni elektrycy: Przemysław Rybacki, Górecki Krzysztof i Roman Szela. Duże oszczędności przyniósł pomysł (z 1986 roku) regeneracji presduktorów do wag kieszeni obmiarowych - sprowadzano je z tzw. drugiego obszaru płatniczego. Regeneracja wydłużyła techniczny żywot reduktorów i dzięki temu ograniczono ich import.

■ Głowili się nad przyczyną

W pierwszych latach po uruchomieniu „Rudnej”, awarie maszyn wyciągowych nie należały do rzadkości, a ich usuwaniem zajmowało się szerokie gremium fachowców z pionu inż. Krzyżanika. Z czasem, w miarę nabierania doświadczenia w obsłudze tych nowoczesnych i wcześniej w kraju nieznanych urządzeń, odbywało się to coraz sprawniej; często sam sztygar zmianowy umiał poradzić sobie z problemem. Jedną z awarii, która unieruchomiła szyb R-I na prawie 30 godzin, szczególnie utkwiała mu w pamięci.

– Sztygar z popołudniowej zmiany zgłosił, że co pewien czas maszyna wyciągowa klatkowa szybu R-I wpada w wibracje – opowiada pan Jerzy. – Sam poszukiwał przyczyn, ale nic nie znalazł. W końcu, żeby nie doprowadzić do zniszczenia urządzenia, trzeba było je wyłączyć a ludzi, którzy utknęli w klatce - ewakuować. Zebrało się szerokie konsylium z pionu elektrycznego i gorączkowo głowiono się nad możliwą przyczyną tak nietypowej i dotąd niespotykanej anomalii w pracy silnika tej maszyny. Po 16 godzinach analiz i pomiarów elektrycznych, następnego dnia na I zmianie do pomocy dołączyli inżynierowie Dziob i Żymalski. Ponownie sprawdzono układy elektryczne i elektroniczne układu sterowania maszyną. Wszystko działało bez zarzutu. Na kolejnej już, II zmianie, zaczęło brakować koncepcji, co dalej robić. Nawet dyrektor techniczny, który początkowo bardzo się niecierpliwił, przestał nas poganiać. Późnym popołudniem Andrzej Żymalski doszedł do wniosku, że zakłócenia biorą

się z powodu okresowego braku uziemienia. Pod koniec II zmiany znaleziono wreszcie luźny styk jednego z tysięcy przewodów sterowniczych.

Wszyscy byli potwornie zmęczeni, ale szczęśliwi, że wreszcie udało się awarię usunąć. Wielu z nas dopiero po ponad trzech zmianach wróciło do domu. W czasie lokalizowania usterki szyb R-I był nieczynny, a załoga musiała zjeżdżać szybem R-III na Rudnej Zachodniej.

Jubilaci uhonorowani szpadami po 25 latach pracy w górnictwie. Jerzy Formago (po lewej), obok Roman Otręba.



■ Płoneży wykładzin

Jak wspomina, jednym z poważniejszych w skutkach zdarzeń, w trakcie jego pracy w kopalni, był pożar na Rudnej Zachodniej. Spaliła się cała centrala sterownicza linii technologicznej transportu rudy z nadszymbia do wagonów. Jako że wcześniej miał już doświadczenie z przenośnikami taśmowymi, inż. Marian Dziob wysłał go tam, żeby doprowadził ten ciąg do porządku. Było to niemałe wyzwanie zawodowe. Najpierw zrobił sterowanie lokalne, żeby w ogóle można było uruchomić taśmociąg. Potem zabrał się za projektowanie nowego układu technologicznego. Z pomocą elektryków i dozoru zmianowego z oddziału E-I zbudował całkowicie inne sterowanie, które umożliwiło pracę automatyczną tej linii. W rezultacie każdy elektryk, który potrafił czytać schemat, szybko mógł usunąć

usterkę, bo schemat idealnie zgadzał się z rzeczywistością. Wcześniej niestety tak nie było.

Miał szczęście pracować w czasach, gdy inżynierowie z kopalni mogli wyżywać się w projektowaniu. Pod koniec lat 90. Urząd Górniczy zakazał

pod ocios, bo przy wadze ok. 3 kg, utrudniały im pracę. Były przypadki, że w czasie pożaru człowiek nie zdążył wrócić po odłożony pochłaniacz, a przy toksycznym dymie wystarczyło kilka oddechów i ginął albo ulegał ciężkiemu zatruciu. Pamiętam co najmniej kilka pożarów. Raz paliły się przenośniki w nadszymbiu R-1, innym razem zaolejone szmaty w komorze maszyn ciężkich. Niestety ogień pojawiał się najczęściej z powodu lekceważenia przepisów prowadzenia prac spawalniczych.

W dziale inwestycji. Od lewej: Jerzy Formago, Krystyna Reucka, pracownica działu inwestycji powierzchniowych, Dorota Włoch, przyszła wiceprezes KGHM.



tych prac w kopalniach - projektowaniem mogły się zajmować tylko odpowiednie biura projektowe.

Również pamiętnym - chociaż z innego powodu - przeżyciem był dla Jerzego Formago pożar w szybie R-II, w okresie, gdy pracował w oddziale taśmowym.

- Dym pojawił się nagle, widoczność spadła na odległość wyciągniętej ręki. Sytuacja stała się krytyczna - wspomina tamto zdarzenie. - Szybko ewakuowałem swoich ludzi pod szyb R-V, bo tam było jeszcze świeże powietrze. Na miejscu jeden z elektryków poskarżył się, że nie ma aparatu ucieczkowego, bo ktoś mu go ukradł. Szybko wydało się, kto to zrobił: Jego kolega zjechał na zmianę bez aparatu, a gdy pojawiło się zagrożenie, chcąc się ratować, chwycił ten, który był pod ręką. Najpierw zamierzałem go surowo ukarać, odsyłając do dyspozycji kierownika i pewnie bym tak zrobił, gdyby doszło do jakiegos nieszczęścia. Ale w końcu żal mi się go zrobiło. Od tego czasu byłem niezwykle rygorystyczny; jeśli ktoś zjechał bez pochłaniacza, to od razu wysyłałem go z powrotem na powierzchnię, co w konsekwencji mogło się skończyć utratą dniówki. Niestety, górnicy często, zwłaszcza z obcych firm, bagatelizując niebezpieczeństwo albo nie zabierali pochłaniaczy na dół, albo odkładali gdzieś

■ Nie taka znowu spokojna

W ZG Rudna przez cały czas istniała możliwość podnoszenia kwalifikacji - podkreśla pan Jerzy. Korzystał z każdej nadającej się okazji zdobycia nowych umiejętności, które później pomagały mu w pracy. Najbardziej cenił sobie studia podyplomowe na Politechnice Wrocławskiej w zakresie energoelektroniki w napędzie elektrycznym. Poznał wówczas najnowocześniejsze metody sterowania silnikami prądu przemiennego. Na Akademii Ekonomicznej kończył także roczne studium zarządzania i informatyki oraz kurs negocjacyjny. W Krakowie zgłębiał nowoczesne metody komputerowego projektowania układów elektrycznych. Zdał państwowy egzamin na uprawnienia budowlane w branży elektrycznej, które były niezbędne przy nadzorowaniu budowy szybu R-IX, a także później, po przejściu na emeryturę dla celów prywatnych, gdy stawiał domek jednorodzinny w Raszówce. Pomocne okazały się również umiejętności negocjatora, kiedy wybierał firmę do jego budowy.

Pięć lat przed emeryturą, na własną prośbę, przeniosł się do działu inwestycyjnego, którym kierowali: Janusz Glinka, były dyrektor Urzędu Górniczego we Wrocławiu i inż. Mariusz Szczepański. Chciał odpocząć od ruchu, wykonując spokojniejszą pracę, ale okazała się ona wcale nie taka spokojna. Musiał się nauczyć wielu nowych zagadnień, no i niestety w tym czasie - jak przynajmniej błędy się zdarzały. Przeszedł tam ostrą szkołę. Jednak nie żałuje tej zmiany i nie narzeka, bo lubi nowe wyzwania. Codziennie zjazd do kopalni i odbiory różnych obiektów. Po wyjeździe robota papierkowa - sprawdzanie zgodności inwestycji z dokumentacją. Wkrótce doszły rozliczenia księgowe. Musiał

szybko opanować wdrażany w tym czasie w KGHM księgowy system SAP. W przyswojeniu tej wiedzy bardzo pomogła mu pani Dorota Włoch, przyszła wiceprezes zarządu KGHM.

W dziale inwestycji po raz pierwszy zetknął się z negocjacjami, brał w nich udział jako doradca techniczny. Bywał członkiem wielu komisji przetargowych, którym zwykle przewodniczył dyrektor ds. inwestycji. Wiązało się to również z wyjazdami zagranicznymi, np. gdy wybierano maszynę wyciągową do szybu R-IX. Aby czuć się pewnie podczas rozmów biznesowych, szlifował na kursach i w domu język angielski i niemiecki. Musiał także w miarę swobodnie poruszać się w zagadnieniach prawnych z takich dziedzin jak: geologia, górnictwo, energetyka itd.

Oczywiście uzyskał również uprawnienia górnicze - był nadsztygarem w swoim dziale, a trzy lata przed emeryturą zdobył zatwierdzenia w Okręgowym Urzędzie Górnictwem na stanowisko głównego inżyniera energomaszynowego. Pod koniec pracy w kopalni zrobił państwowe uprawnienia budowlane w branży elektrycznej, co było niezbędne przy nadzorowaniu budowy i odbiorze szybu R-IX. Zajmował się tą budową od początku, dlatego dyrektor Wiktor Błądek zgodził się, by mimo nabytych praw do emerytury, mógł pracować do czasu sfinalizowania tej inwestycji. 1 lipca 2003 roku przeszedł na emeryturę.

■ Nadal się uczy

Przechodząc na emeryturę wcale nie czuł się wyrzucony poza nawias aktywnego życia, chociaż mówi, że gdyby wcześniej była taka możliwość, to pracowałby dłużej. Jeszcze przed odejściem z kopalni zaczął przymierzać się do budowy domu, w którym mieszkają we dwójkę z żoną, bo dzieci są już na swoim. Pani Danuta pracuje obecnie w szkole w Raszkówce jako pedagog-logopeda, wcześniej, przez 28 lat, w oświacie lubińskiej.

Pan Jerzy pasjonuje się informatyką i zgłębia tę dziedzinę na kursach internetowych i czytając odpowiednią literaturę. Wciąż się uczy, także języków. Są bardzo przydatne podczas zagranicznych podróży i wizyt u krewniaków rozsianych po całym świecie. Wkrótce, ich grono ma się powiększyć o meksykańską rodzinę z Acapulko i Mexico City



Lipiec 2014. Na spotkaniu zaręczynowym córki. Od prawej: żona Danuta, przyszły zięć Franco, teściowa Józefa, matka Franca Lorna, teść Augustyn i córka Joanna.

narzeczonego córki Joanny. Obecnie mieszka ona i pracuje w Oslo w międzynarodowej korporacji jako asystentka prezydenta tej firmy. Wcześniej, po ukończeniu studiów w Szwecji, pracowała w na terenie Skandynawii w polskich placówkach dyplomatycznych, m.in. jako wicekonsul.

W pewnym okresie większość najbliższej rodziny pana Jerzego związana była z KGHM. Teściowa Józefa Bartosz od 1961 roku pracowała w służbach finansowych, teść Augustyn w oddziale szybowym. Szwagier Andrzej Kohut był pracownikiem dołowym, a jego żona Barbara ekonomistką - oboje na „Rudnej”. Maciej, syn pana Jerzego, przed ukończeniem studiów informatycznych, był przeróbkarkiem w ZG Lubin. Obecnie jest cenionym informatykiem w IBM we Wrocławiu. Przeniósł się tam na stałe, gdyż w KGHM nie mógł znaleźć zatrudnienia w swojej specjalności. Obsługuje systemy informatyczne wielu dużych firm w zachodniej Europie.

Bilansując swój życiowy i zawodowy dorobek, mówi, że nie żałuje wyborów sprzed laty. Bo spełniał się w swoim zawodzie elektryka, a firma dała mu szansę na ciekawą pracę, rozwój i finansową stabilizację. Za najważniejszy dzień uważa ten z 1999 roku, kiedy dyrektor kopalni Rudna wręczał mu honorową spadę po 25 latach pracy. A spośród odznaczeń najbardziej ceni sobie Medal Zasłużonego dla ZG Rudna, i wcale nie z tego powodu, że ponoć każdemu, kto je posiada, orkiestra zagra na pogrzebie. Ale dlatego, że jego 33-letnia praca w kopalni została doceniona. ■

Odruchowo schyliłem się po hełm leżący z boku i założyłem go na głowę. Niestety, nie mogłem się już wyprostować, ponieważ daszek ochronny maszyny dramatycznie się obniżył. Po chwili wszystko ucichło. Nastąpiła głucha cisza i ciemność. Zdałem sobie sprawę, że zostałem zasypany skałami ze stropu i siedzę w kabinie, której gabaryty nagle się ogromnie zmniejszyły.

Ryszard Halczak,
operator maszyn
przodkowych
w ZG Lubin.
Pracował w latach
1983–2013



Polubiłem duże „białe damy”

Kiedy w dzieciństwie poznawałem obowiązki gospodarskie, do pracy na roli wykorzystywano konie a nawet byki. Jako kilkuletni chłopiec wielokrotnie powoziłem takim zaprzęgiem. W połowie lat siedemdziesiątych po polach rolników naszej wsi (Wysokie w gminie Rudna) zaczęły jeździć ciągniki, snopowiażki, rozrzutniki do obornika, aż wreszcie nastąpiła epoka wszelkiego rodzaju kombajnów, ale ja miałem w głowie inne „konie”... Wybrałem naukę w elitarnym wówczas lubińskim Technikum Górnictwa Rud im. prof. Bolesława Krupińskiego z dyr. Tatarką, profesorami: Czają, Gadzikim, Łagunem, Łubińskim, Maczugą i wieloma innymi.

Chociaż zawsze obawiałem się spraw technicznych, wkrótce okazało się, że w mojej klasie jedynie dwóch kolegów miało ode mnie lepsze pojęcie

o tych tematach, a było nas blisko trzydziestu. Nie miałem problemów z nauką, bardzo lubiłem język polski. Jeden polonista pytał mnie wręcz, czy po maturze nie zamierzam iść na prawo lub polonistykę? O żadnych studiach nie myślałem, sytuacja życiowa sprawiła, że musiałem jak najszybciej zarabiać pieniądze.

■ Nie goń, do emerytury dużo czasu

Po maturze w 1983 roku zatrudniłem się w ZG Lubin na Szybie Głównym. Przez pierwsze miesiące pracowałem na komorze remontowej, szybko jednak upomniało się o mnie wojsko. Po dwóch latach, w grudniu 1985 roku, znów zameldowałem się u kierownika oddziału MD-1. Kierownik, ze swoją swoistą dołową łaciną (karwał), robił wraże-

nie człowieka pewnego siebie i groźnego dla podwładnych. Początkowo pomagałem przy naprawach wozów odstawczych, rzadziej ładowarek lub tzw. rogaczny, czyli kotwiarę SWK i wiertnicę SWW. Po woli zaczynałem wgryzać się w tę dołową rzeczywistość. Poznawałem też starszych pracowników. Uczyli mnie „właściwego” podejścia do górniczej roboty. Siedzimy np. z panem Tadeuszem (mechanikiem) w kabinie wozu odstawczego i coś tam naprawiamy. Nagle na spąg upadł mi klucz, więc odruchowo zrywam się i chcę zeskoczyć na dół, by go podnieść. Wtedy pan Tadeusz zatrzymuje mnie i mówi: „Poczekaj, ktoś będzie przechodził, to nam poda ten klucz. Nie spiesz się, do emerytury masz dużo czasu”.

Jeden poznaniak z zawodu tokarz i stary partyniak, który obsługiwał także komorę paliw i narzędziownię, powtarzał mi ciągle swoje mądrości: „Oszczyndzaj i ucz się oszczyndzać”. Pamintoj, nigdy w życiu nie bądź pin...ą”. A czasem dodawał: „Jeden telefon (w domyśle do partii) i cie nima”. Gdy chciałem pobrać rękawice z narzędziowni, zawsze mawiał: „Co dziń rękawice? Co, os...ne masz te kierownice?”.

Józef, bardzo dobry mechanik wozów odstawczych, stale szukał świeżego powietrza. Gdy tylko w rejonie jego stanowiska pracy pojawiał się jakiś dymek, zaraz zniknął na długi czas, by ustalić przyczynę tego zjawiska. Nikogo wtedy nie interesowało, że przepadał na godzinę albo dłużej. On też bardzo lubił robić kawały związane z maszynami, które remontował. Nawet sztygarzy nie wiedzieli, czy żartuje, czy mówi prawdę i woleli omijać go szerokim łukiem.

Uczyłem się nie tylko na komorze remontowej czy oddziale wydobywczym, ale też podczas spotkań integracyjnych po pracy. Z sentymentem wspominam „Beczki piwa” - spotkania organizowane najczęściej obok lubińskiego lotniska, ale też i w innych miejscach, połączone z grą w piłkę nożną. Już po kilku piwach rozpoczynały się rozmowy o fedrunku, wychodziły wzajemne żale, jedni druhim przygadywali kto lepiej, a kto gorzej fedruje.



Ryszard Halczak w środku, w niebieskim kasku.

■ On się „powiesił”, a ja nie

Po sześciu miesiącach pracy wysłano mnie na kurs operatorów wozów odstawczych. Po jego zakończeniu wróciłem na swój oddział macierzysty jako operator, nie zdając sobie do końca sprawy z tego, że oto zaczyna się dla mnie nowa epoka, zupełnie innej pracy, która wypełni mi całe życie zawodowe aż do emerytury.

Pierwszego dnia po kursie pojechałem na oddział G-3 wraz ze starszym kolegą - operatorem panem Stanisławem. Siedziałem w kabinie wozu obok niego i starałem się, co nie jest dla nowicjusza takie łatwe, zapamiętać drogę z komory na oddział, a później już na oddziale z wysypu do przodków, w których ładowarka nabierała urobek i wyspywała na skrzynię wozu. Następnie on przeszedł na wysyp, a ja zacząłem fedrować samodzielnie. Prowadzić tak dużą maszynę po kopalnianych chodnikach, które bynajmniej nie przypominają asfaltowych dróg na powierzchni, nie jest łatwo, a już podjechać prawidłowo pod ładowarkę, aby mogła bez problemów wyspać urobek, to już wyższa szkoła jazdy. Jeździłem pod okiem opiekuna chyba dwa dni, a potem przyszła pora na samodzielną pracę.

Stałem się operatorem pełną gębą. Oczywiście nie obyło się bez frycowego. Starsi koledzy czekali tylko na spotkanie nuworysza, a opowiadania o tych potknięciach stawały się później okazją do śmiechu na koniec zmiany lub podczas piwnych imprez. Wóz odstawczy ma jedynie napędzany przedni most, dlatego często można się nim „po-

wiesi" na kopalnianych nierównościach. To „wieszanie się” wozami jest tak stare, jak historia tych maszyn w KGHM a operator, który tego dokonał, był zawsze traktowany z góry według zasady: Jest gorszym operatorem, bo się „powiesił”, a ja nie.

■ Skończyć szybciej niż koledzy

Współpracowałem w tym czasie z różnymi operatorami dużych łyżek. Pamiętam Bronka, ze względu na rozmiar buta zwanego „Wielką Stopą”. Często, gdy tylko podjeżdżałem pod jego łyżkę do załadunku, coś głośno krzyczał. Zmieniałem więc ustawienie wozu na różne sposoby, aby wreszcie podjechać tak, jak on chciał, jednak on ciągle krzyczał. W końcu po długich, stresujących chwilach zdobyłem się na odwagę. Wysiadam, idę do niego i pytam: „Czemu tak ciągle na mnie krzyczysz?” A on na to: „Nie przejmuj się, ja tak krzyczę sam do siebie, po prostu wtedy lepiej mi się pracuje. Nie zwracaj na to uwagi!”. No więc od tej chwili ignorowałem jego krzyki, chociaż zawsze czułem pewien dyskomfort.

Operator wozu Kazik, zwany „kierownikiem”, gdy tylko jeździł w parze z jakimś młodym, ciągle pokazywał mu swoją wyższość. Szczególnie miał opanowany numer z myciem maszyn. Jeden lub dwa kursy przed końcem roboty zniknął i jechał na myjkę, gdzie bardzo dokładnie pucował maszynę. Następnie dwa ostatnie kursy robił jak z przysłowiowym jajkiem, żeby już nie ubrudzić wozu (w tym czasie na oddziale trzecim było w miarę sucho) i pruł na komorę, na długo przed młodym. A ten młody zawsze musiał kończyć ostatni, no i jeszcze myć maszynę niejednokrotnie czekając w długiej kolejce.

Zjeżdżanie z oddziału to w latach mojej młodości operatorskiej był cały rytuał. Ważne było, kto szybciej skończył, kto szybciej przyjechał na komorę, wreszcie kto szybciej wyjechał na górę, nie podpadając przy tym dozorowi. Pierwszy był uważany za kogoś lepszego, bardziej obrotowego, dlatego często już rozpoczynając fedrunek, myślało się przede wszystkim o tym, by skończyć szybciej niż koledzy. Niektórym zostało to do dzisiaj, chociaż obecnie, oprócz wątpliwego prestiżu, nie ma to większego znaczenia.

■ Strajkowałem z innymi

Koniec lat osiemdziesiątych przyniósł wielkie zmiany w moim życiu osobistym. Poznałem wspaniałą dziewczynę, pobraliśmy się i wkrótce na

świecie pojawił się nasz pierwszy syn Kamil. Praca z perspektywy głowy rodziny nabierała innego znaczenia i sensu. Tym większym przeżyciem był dla mnie strajk okupacyjny wiosną 1989 roku. Po raz pierwszy brałem w czymś takim udział. Przyjechałem na drugą zmianę i zastałem już strajkującą zmianę pierwszą, a później dołączyła jeszcze nocna. Nikt nie pracował, na dół zjeżdżało tylko kilka osób do obsługi pomp odwadniających itp. Na cechowni siedzieli związkowcy i co jakiś czas przekazywali nam nowe informacje. Przez pięć dni, choć nie byłem związkowcem, nie wyszedłem poza teren kopalni. Graliśmy w karty, oglądaliśmy filmy z kaset „video”, które wtedy zaczynały robić furorę. Spaliśmy na łaźniach, jedzenie przynosiła rodzina, była też otwarta stołówka, która serwowała m.in. bigos.

Przez te kilka dni poznałem wielu ludzi, zarówno wspaniałych jak i wszelkiej maści kombinatorów i cwaniaków. To wówczas zrozumiałem, że zwykli „robale” nie mają nic do gadania w sprawach, dla jakich zatrzymano kopalnię. Po kilku dniach strajk został zakończony. Wróciłem do poprzedniej pracy. Przeprowadziłem się też z rodziną ze wsi Wysokie do bloku w Lubinie, decyzji tej ciągle żałuję. Przez dłuższy czas fedrowałem w miarę spokojnie, aż do nocy 24/ 25 stycznia 1990 roku.

■ Nagle kabina się skurczyła

Feralnej nocy jak zwykle zjechałem na dół i z kolegami udałem się do komory mechanicznej, gdzie sztygar rozdzielał prace. Polecił mi pojechać wozem odstawczym nr 13 do oddziału G-3. Pracowałem w zespole: ładowarka ŁK-2 i dwa wozy odstawcze. Operator ŁK-2 ładował urobek z przodków na wozy odstawcze. Pod koniec zmiany, około godziny czwartej, oczekiwałem w kabinie wozu, w rejonie komory K-13, na załadunek kolejnej łyżki urobku. Wtedy podsełł do mnie przodowy Janek Węgliński i elektryk Mirek Majchrzak. Stanęli obok maszyny, rozmawialiśmy między sobą o polityce i fedrunku, a nawet zapaliliśmy papierosa. Pociągnąłem może dwa razy, gdy usłyszałem straszny rumor i szum powietrza. Odruchowo schyliłem się po hełm leżący z boku i założyłem go na głowę. Niestety, nie mogłem się już wyprostować, ponieważ daszek ochronny maszyny dramatycznie się obniżył. Po chwili wszystko ucichło. Nastąpiła głucha cisza i ciemność. Zdałem sobie sprawę, że zostałem zasypany skalami ze stropu i siedzę w kabinie, której gabaryty nagle się ogromnie zmniejszyły. Przypomniałem sobie o kolegach, z którymi przed chwilą

rozmawiałem. Zawołałem, obaj żyli. Mirek bardzo narzekał, że boli go głowa i krwawi, nie może się ruszać. Janek mówił bardzo mało i spokojnie, że jest przyciśnięty w pasie i że bardzo go boli. Zacząłem wzywać pomocy. Po dłuższej chwili przybiegli pracujący w pobliżu górniczy ze sztygarem Tadeuszem Skowrońskim o przezwisku „Bokser”. Słyszałem ich głosy, lecz ich nie widziałem. To oni wydobyli spod skał Mirka. Krzyczał z bólu, musieli się szybko wycofywać w obawie o własne życie. Został Janek i ja w kabinie wozu, ale jakby pod stołem, na którym spoczywały tony skał odcinające drogę wyjścia. Janek mówił: „Rysiek, ty stąd wyjdiesz, bo siedzisz w kabinie, a ja nie, bardzo mnie boli i ciśnie w pasie. Jak wyjdiesz, to jedź do mojej żony i powiedz jej, że chcę, by dzieci moje i nasze dzieci wychowała jed-

akcję. W końcu około godziny szóstej wyciągnęli mnie wąskim przesmykiem między zbiornikami paliwa a błotnikiem i nogą daszka. Gdybym był tęższy, pewnie by się to nie udało. Janka wyciągnęli dopiero około godziny czternastej. Był przytomny, rozmawiał, cieszył się, że żyje. Dochodzili do szybu, gdy zmarł na rękach lekarza.

■ Musisz wrócić na maszynę

Obrażenia Mirka nie były zbyt groźne, ale już nigdy nie zjechał na dół. Zwolnił się, obecnie mieszka i pracuje w Lesznie. Ja przez kilka miesięcy też nie pracowałem. W tym czasie wypełniłem wolę Janka i odwiedziłem jego żonę. Była to jedna z najtrudniejszych rozmów, jakie w życiu przeprowadziłem. Dowiedziałem się też, że mój wóz odstawił (z numerem zakładowym 13),

w którym spędziłem dwie najdłuższe godziny mojego życia, pozostał w tym samym miejscu - zawał był tak rozległy, że nikt nawet nie próbował go wyciągać. A ja? Chociaż otarłem się o śmierć i oprócz drobnych zadrapań, zmiany koloru włosów, nie odniosłem żadnych obrażeń fizycznych, byłem zrujnowany psychicznie. Stałem się nieznosny, nerwowy, drażliwy. Cierpiała żona, cierpiała rodzina i ja sam. Musiało minąć wiele tygodni a nawet lat, bym odbudował swoje wnętrze i żył w miarę normalnie, co nie znaczy tak samo, jak przed wypadkiem. Dzisiaj wiem z całą pewnością, że te dwie

godziny były mi dane, abym zrozumiał, jak mało znaczy człowiek wobec sił natury, jakiej pokory nam potrzeba, nie tylko na dole, ale i w całym życiu.

Po kilku miesiącach zdecydowałem się wrócić na dół. Przez dłuższy czas pracowałem przy obsłudze pomp odwadniających i remontach maszyn. Pewnego dnia podszedł do mnie sztygar Władek i powiedział: „Rysiek, musisz zacząć jeździć, bo im dłużej będziesz odwlekał tą decyzję, tym trud-



Po dokładnym wpatrzeniu się, można dostrzec część ciągnika wozu i przednie lewe koło. Pod tymi skałami pan Halczak przesiedział dwie godziny w oczekiwaniu na pomoc.

nakowo” (był to drugi związek Janka). Próbowałem go pocieszać, że ratownicy zaraz wrócą i obu nas uratują. Naprawdę wierzyłem w to i modliłem się, aby Bóg pozwolił mi zobaczyć żonę i syna Kamila, który miał wtedy niewiele ponad rok. I doczekałem się - znowu usłyszałem głosy ratowników. Działali dwutorowo, jedni odkopywali drogę do Janka, a drudzy do mnie. Żeby mnie wydostać, musieli też przecinać grube węże hydrauliczne, co wydłużało

niej będzie ci wrócić do fedrunku. A jeździć chyba chcesz?”.

Miał rację, chciałem, bo to i pieniądze lepsze niż na komorze remontowej i samych remontów za bardzo nie lubilem, ale jednocześnie obawiałem się powrotu. W końcu przełamałem się - wróciłem do starej roboty. Nie opowiem, ile mnie to kosztowało. Koledzy zauważyli tylko, że zbyt często spoglądam do góry - na strop. I chociaż to brzmi paradoksalnie, ale pamiętam doskonale strop w miejscu wypadku - był równiutki jak stół.

Czas płynął, zamiar odejścia z kopalni bezpośrednio po wypadku coraz bardziej się rozmywał. Po pierwsze dlatego, że o dobrą pracę było coraz trudniej, a urodził się kolejny syn - Patryk i potrzeby związane z utrzymaniem rodziny rosły. Po drugie, mając w perspektywie emeryturę po 25. latach, było mi coraz bardziej szkoda tych lat spędzonych na dole. Po trzecie, zacząłem się łapać na tym, że jestem z tą pracą, a przede wszystkim z atmosferą, z kolegami coraz bardziej związany.

Latem 1992 roku wziąłem udział w najdłuższym strajku w całej dotychczasowej historii KGHM, a który dzisiaj szumnie nazywają strajkiem w obronie polskości Polskiej Miedzi. Był to strajk rotacyjny, odmienny od tego z 1989 roku. Przychodziliśmy na kopalnię tylko na swoją zmianę, podpisywaliśmy listy obecności i rozkładaliśmy się na trawie przed

budynkami od strony „dwupasmówki”. Lato było piękne, więc opalaliśmy się do woli, graliśmy w karty w oczekiwaniu na informacje od związkowców. Codziennie dwóch, trzech ludzi z naszej brygady zjeżdżało na dół, aby utrzymać gotowość maszyn i obsługi pomp odwadniających itp. Strajk trwał ponad miesiąc. Pamiętam, że w tym czasie reprezentacja Polski w piłce nożnej zdobywała srebrny medal na Igrzyskach Olimpijskich w Barcelonie. W końcu doszło do wyczekiwanego porozumienia. Liderzy związkowi krzyśleli: „Wygraliśmy!” A my zamiast podwyżek płac dostaliśmy pożyczki, które potem latami spłacaliśmy. Wyплаты za dni strajku były bardzo mizerne, a że w ogóle były, to tylko dzięki temu, że kilka dni każdy z nas był na dole na wspomnianym wcześniej dyżurze, a także dlatego, że nie odliczono od wypłaty wszelkich potrąceń (rat pożyczek, składek itp.), które przeniesiono na kolejne miesiące. Takie to było wielkie zwycięstwo. Najwięcej zyskali jak zwykle kombinatorzy, którzy większą część strajku przechorowali lub przesiedzieli na urlopie. No, ale jak się dowiedziałem po latach - obroniliśmy polskość Polskiej Miedzi.

■ W roli skoczka

Gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych zmienił system płac, powiększyły się dysproporcje między dozorem a „robolem”. Nękałem swojego



Ryszard Haleczak odbiera szpadę górniczą (Barbórka 2008 r.).

kierownika, aby podwyższył mi kategorię osobistego zaszerzegowania, gdyż byłem gorzej opłacany od kolegów wykonujących tę samą pracę. Kierownik wymyślił, że wyśle mnie na kurs operatora ładowarek i w ten sposób dostanę podwyżkę. Po ukończeniu kursu, zdaniu egzaminów zostałem górnikiem – operatorem z lepszą stawką.

Rozpoczął się kolejny rozdział mojego życia zawodowego. Wróciłem na swoją komorę i zacząłem powoli zmieniać pracę. Były takie tygodnie, szczególnie za rządów sztygara Franka, że w poniedziałek jechałem na oddział górniczy ładowarką ŁK-1 (mała łyżka), we wtorek wozem, w środę ładowarką ŁK-2 (duża łyżka), w czwartek ładowarką TORO, a w piątek byłem mechanikiem na komorze remontowej. Każdy operator wie, że taka rola skoczka jest niezwykle trudna i niezwykła.

Musiło minąć chyba ze dwa lata, nim na dobre zostałem operatorem ładowarki ŁK-2 i zacząłem fadrować na wozy. Ładowarki TORO, które w międzyczasie pojawiły się w kopalni, mimo iż były i nadal są maszynami na wskroś nowoczesnymi, klimatyzowanymi, jakoś nie przypadły mi do gustu. Moim chlebem powszednim stały się duże „elki”. Najpierw były to zwykłe ŁK-2, fadromy z silnikiem SW-680, później „białe damy” LKP, aż wreszcie niskie LKP. Te zmiany maszyn związane były z pracą w coraz niższych wyrobiskach. Zmieniałem też oddziały górnicze. Przez długie lata pracowałem na G-3, który wspominam z największym sentymentem. Po jego rozwiązaniu przeszedłem na G-4, a ostatnie lata spędziłem na G-1.

Po wielu latach dojrzałem jako operator i górnik. Dzisiaj mogę stwierdzić z całą pewnością, że dojrzałość to umiejętność przewidywania kilku ruchów do przodu, tak jak w grze w szachy. Dojrzały operator, gdy nie ma pewności, nie wjedzie bezmyślnie do rząpia, mimo



Ryszard Halczak otrzymuje z rąk dyrektora Krzysztofa Tkaczka odznakę Zasłużonego dla ZG Lubin (Barbórka 2011).

że mu ktoś nakaże. Nie robi sobie obrywki na głowę itd., nie pójdzie z kolegami na wódkę, gdy następnego dnia czeka go praca. Nie oznacza to oczywiście, że odrobina spontaniczności jest czymś złym, powiedziałbym nawet, że jest w naszym życiu potrzebna. Chodzi jedynie o to, że od spontaniczności do bezmyślności i głupoty jest tylko jeden mały krok i trzeba uważać, by go nie przekroczyć.

W styczniu 2013 roku moja praca dobiegła końca. 25 lat na dole za kółkiem to szmat czasu, a jednocześnie krótka chwila. Przez te wszystkie lata spędzone na szybie „Bolesław” uczestniczyłem w wielkich przemianach. Mimo że kiedyś trochę przypadkowo wybrałem zawód, to dzisiaj jestem przekonany, że postąpiłem słusznie!

Pod koniec pracy zawodowej pan Ryszard zaczął spisywać swoje wspomnienia w formie opowiadań. W marcu tego roku został również jednym z laureatów konkursu literacko-plastycznego „W ogrodach pamięci mojej”, organizowanego przez lubińskie CK Muza. ■

Nad ranem podszedłem do niego, chciałem mu powiedzieć, że robimy ostatni kurs. Patrzę, a on w uszach ma dwie małe żaróweczki do latarki, natomiast w dziurkach od nosa - kawałki gąbki. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. „Jak ty wyglądasz chłopie” – powiedziałem. Zbyszek z bardzo poważną miną wyjaśnił mi, że zawsze tak robi, gdy zabraknie mu stoperów i maski.

Robert Kędziński,
górnik operator
z ZG Lubin. Pracował
w latach 1985 – 2014



Cały czas na jednym oddziale

Ukończył Zawodową Szkołę Samochodową w Rawiczu i planował pracę w młynie, w rodzinnym Wąsoszu. Kiedyś jednak spotkał kolegę, Andrzeja Wielogórskiego, górnika z ZG Polkowice, który roztoczył przed nim wizję dużo wyższych zarobków i namówił na pracę w miedziowym kombinacie. Razem z nim pojechał nawet na kopalnię, ale w „Polkowicach” go nie przyjęto, więc spróbowali na Lubinie Głównym. Tu z przyjęciem nie było problemów. 30 lipca 1985 r. rozpoczął pracę na powierzchni, na stanowisku ślusarza mechanika Oddziału MD-8, na szybie Lubin Zachodni. Wprawdzie nie zarabiał tak dużo, jak mówił Andrzej, ale i tak

zdecydowanie więcej, niż mógłby liczyć we młynie. Przepracował trzy miesiące, gdy powołali go do wojska. Trafił do jednostki w Braniewie. Po dwóch latach wrócił do kopalni Lubin na ten sam oddział i stanowisko.

■ Chciał odejść z kopalni

Minęło pół roku, zapisał się na kurs operatora ładowarki, bo wiedział, że praca na dole to gwarancja wyższych zarobków. Po zdobyciu uprawnień zaczął jeździć na joy-u, też na Oddziale MD-8, przemianowanym później na C3A. Kierownikiem oddziału był wówczas Bolesław Pasiecznik, natomiast robotami kierował pan

Rzepka. Nie spodziewał się, że na dole będzie mu tak ciężko.

– Nie mogłem przystosować się do warunków. Wysoka temperatura, wilgoć dawały mi się szczególnie mocno we znaki na nockach. Wciąż chciało mi się spać, z trudem nad tym panowałem. W czasie przerw na posiłek natychmiast zasypiałem. Byłem już tak zdesperowany, że myślałem o rezygnacji z pracy – wspomina.

Miał szczęście, że w kopalni pracował również Lucjan Orzuk, jego teść. „Przetrzymaj ten trudny okres, przyzwyczaisz się, będzie dobrze” – powtarzał uparcie. Pomogli mu również sztygar Czesław Wrona i kierownik Grzegorz Kłosiński. I został, dzisiaj nie wyobraża sobie życia bez kopalni.

■ Pierwsza wypłata

Po miesiącu pracy na dole wziął pierwszą wypłatę.

– Zrobiłem 5 tys. zł i gdy je zobaczyłem, nie mogłem ochłonąć z wrażenia. Po powrocie do Wąsoszki kupiłem torbę wódki i każdemu z sąsiadów, którego spotkałem (w bloku mieszkało wówczas 16 rodzin), dawałem butelkę mówiąc „trzymaj, to za moją pierwszą wypłatę na kopalni”. Poleciałem do Lidki, wtedy mojej dziewczyny, a później żony i pokazałem plik banknotów. Też była zszokowana, „Robert, ja nigdy w życiu nie widziałam takich pieniędzy” powtarzała, a ja puszyłem się jak paw.

■ Chwile groźne...

Pracował na nocnej zmianie gdy w ZG Lubin miało miejsce jedno z najmocniejszych i najtraficniejszych w historii tąpnięć. Zginęło wówczas czterech górników. Robert Kędziński był w gronie tych, którzy znajdowali się z dala od jego epicentrum.

– Zjechałem na śniadanie. Zatrzymałem się naprzeciw wozu Darka Karczyńskiego. Chyba w pewnym momencie lekko przysnąłem, bo przebudził mnie wstrząs i hałas. Pomyślałem, że odpalili przodki. Po chwili zobaczyłem, że nasze wozy obsypane są glazami do połowy kół. Darek powiedział mi, że było to bardzo mocne tąpnięcie. Mam szczęście, że siedziałem w kabinie, pomyślałem sobie. Później dowiedzieliśmy się jakie były skutki tąpnięcia.

Więcej tak groźnych zdarzeń na dole nie przeżył, co wcale nie oznacza, że było bezpiecznie.

– Kiedyś, gdy podjechałem do przodka i nabrałem urobek łyżką, poleciało czoło przodka. Pył był tak gęsty, że nic nie widziałem. Gorzej, że nie wiedziałem również, gdzie jest Darek Kaleta, który pracował ze mną przy fedrunku. Zdernerwowany przez chwilę zastanawiałem się, co zrobić, następnie zacząłem powoli wycofywać maszynę, bo pył utrudniał oddychanie. Kilkanaście sekund później zobaczyłem z przodu światło lampki. Odetchnąłem z ulgą, wiedziałem, że Darkowi też nic się nie stało.

■ ... i zabawne

Warunki pracy zmieniły się z latami na lepsze. Jednak – jak wyjaśnia Robert Kędziński – wcześniej pracowało się trudniej, ale za to atmosfera w pracy była wspaniała.

Wozy nie miały kabin, a gdy się pojawiły, nie było w nich szyb. Nagminnie brakowało masek i stoperów, co było szczególnie uciążliwe na przodkach, gdzie zapylenie było ogromne, a od hałasu pracujących maszyn jeszcze długo po pracy dzwoniło w uszach.

– Czasami z tych „braków” wynikały nawet zabawne sytuacje. Pamiętam, jak Zbyszek Kurnicki pracował ze mną na nocnej zmianie. Jeździł na „łyżce” (ładowarka ŁK-1 lub ŁK-2 – przyp. red.) i łądował urobek do mojego wozu. Nad ranem podszedłem do niego, chciałem mu powiedzieć, że robimy ostatni kurs. Patrząc, a on w uszach ma dwie małe żaróweczki do latarki, natomiast w dziurkach od nosa kawałki gąbki. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. „Jak ty wyglądasz chłopie” – powiedziałem. Zbyszek z bardzo poważną miną wyjaśnił mi, że zawsze tak robi, gdy zabranie mu stoperów i maski. Muszę przyznać, że później inni czasami też korzystali z tego „patentu” – opowiada.

■ Nauzka na całe życie

Bywały też i inne sytuacje, które po latach wspomina z rozbawieniem.

– Kiedyś na jednej zmianie pracował ze mną Zdzychu Mamrot. Jadę pierwszy, a on za mną. Po chwili zobaczyłem, że mruga światłami, dając znak stopu. Zatrzymałem się, Zdzychu wyszedł z wozu, idzie w moją stronę z kluczem w ręce. Pomyślałem, że chce mi go oddać, choć nie miałem pojęcia dlaczego, bo przecież żadnego klucza mu nie pożyczyłem. Podszedł do mojego wozu i bez słowa stukł dwa tylne reflektory. „Teraz

nie będziesz mnie oslepią” - podsumował krótko, a ja na całe życie zapamiętałem, żeby tylne światła wyłączać, szczególnie wtedy, gdy ktoś jedzie za mną.

■ Najstarsza dla najmłodszego

Pierwsze dwa lata jeździł ładowarką ŁK-2, potem przesiadł się na wóz odstawczy TORO. Pierwsze „torówki” były bez kabin i oczywiście klimatyzacji. Do dziś pamięta, że pierwsza maszyna na jakiej pracował, miała nr 7. Była to najstarsza „torówka” na oddziale i zapewne dlatego „wcisnęli” ją najmłodszemu operatorowi. Miał wtedy zaledwie 21 lat.

zmiany. Tak się do tego przyzwyczaiłem, że gdy sztygar nie obłożył mnie na wolną sobotę czy niedzielę, nie wiedziałem, co ze sobą robić.

■ Rekordowe dniówki i zarobki

Przełożeni wiedzieli, że można na nim polegać i jak trzeba, zawsze pomoże. Bywało, że o 6 rano zjeżdżał po nocce, a już o 10 jechał na drugą zmianę, bo sztygar go o to prosił.

W pierwszych latach tego wieku wypracował 317 dniówek dołowych, innym razem w grudniu „zrobił” 17 dniówek świątecznych.

– Planistka wezwła mnie do siebie i pytała ze zdziwieniem, jak to możliwe. Wyjaśniłem



„Torówka” opatrzona numerem 7, była pierwszą, na której pracował.

W kolejnych latach pojawiły się TORO z kabinami, ale bez szyb, wreszcie na przełomie wieków z kabinami klimatyzowanymi.

– Dzięki temu warunki pracy zdecydowanie poprawiły się, były wręcz komfortowe. Człowiek pracował tylko dla siebie. Jak miałem zrobić np. 40 kursów, to je robiłem, choćby nie wiem co. Teraz wszystko zależało tylko ode mnie. Wcześniej musiałem czekać na załadowanie wozu. Muszę przyznać, że bardzo polubiłem swoją pracę i chętnie zostawałem na dodatkowe

jej, że od pierwszego weekendu po ostatni pracowałem po dwie dniówki w soboty i niedziele, jeszcze jakieś święta po drodze wypadły. Ponadto dyrektor wypłacał nam za każdą sobotę po 100 zł premii ekstra. Pamiętam, że zarobiłem wtedy ponad 13 tysięcy zł, w co długo nie mogłem uwierzyć.

■ Wpuszczał w maliny

Pan Robert znany był z wesołego usposobienia, lubił żartować, brylował w towarzystwie, złasz-

cza podczas organizowanych przez zakład imprezach i wycieczkach.

– Na początku mojej pracy starsi górnicy też robili nam różnego rodzaju dowcipy, które moim zdaniem dobrze wpływały na atmosferę w brygadzie. Uznałem, że teraz moja kolej.

Przed szybem był napis: „podsadzka pracuje”, gdy piasek schodził na dół, lub „podsadzka nie pracuje” w przeciwnym wypadku. Zawsze to wykorzystywałem, gdy ktoś zjeżdżał pierwszy raz. Pewnego razu idę z czterema młodymi chłopakami, widzę napis „podsadzka nie pracuje”. „Widzicie, dzisiaj nie pracujecie”. Ku uciesze wszystkich zawrócili i dopiero po chwili zorientowali się, że to żart. Innym razem wchodzę na łaźnię z dwójką młodych ludzi. Widzą zawieszone wysoko pod sufitem ubrania i pytają ze zdziwieniem, dlaczego tam wiszą. „To są rzeczy tych, co zginęli na kopalni” odpowiedziałem natychmiast. Zbledli, a po ich minach widziałem, że bardzo się przestraszyli. Może to i trochę zbyt makabryczny żart, ale pamiętam, że nam też takie numery wykręcali – komentuje.

■ Piknik nad Baryczą

Robert Kędziński urodził się w Górze Śląskiej, a gdy miał 9 lat, rodzice przeprowadzili się do Wąsosz. W tym samym roku rodzina Lidii Orzuk przyjechała z Gubina. Obie rodziny trafiły do tego samego bloku, zamieszkały na tym samym piętrze, drzwi w drzwi. Lidia i Robert często spotykali się na podwórku, jednak do 15 roku życia byli tylko dziećmi z jednej kamienicy.

– Pewnego letniego poranka wybraliśmy się całą paczką na piknik nad Baryczą. Wtedy pierwszy raz popatrzyłam na niego inaczej. Grał w piłkę, a Robert ciągle zagrywał do mnie. Potem chłopcy poszli się kąpać, my siadłyśmy na brzegu i moczyłyśmy nogi w rzecze, a Robert nurkował i pod wodą łapał mnie za stopy. Gdy wracaliśmy do domu, zapytał mnie, czy chcę być jego dziewczyną. Zgodziłam się, cztery lata później zostaliśmy małżeństwem. Można powiedzieć, że jesteśmy ze sobą całe życie – wspomina ze śmiechem Lidia Kędzińska.

■ Wymarzone mieszkanie

Przez pierwsze lata dojeżdżał do pracy z Wąsosz. Wstawał o 3:30, wracał do domu późnym popołudniem. Nie było im łatwo, tym bardziej



Podczas jednej z Karczm Piwnych, skrzyżował rękawice z samym Januszem Zarenkiewiczem, brązowym medalistą olimpijskim.

że mieszkali z dwójką dzieci w jednym pokoju, u rodziców Roberta. Pewnego dnia małżonka wręcz zmusiła go do złożenia wniosku o przydział mieszkania. W 1991 r. dostali własne „m” na ulicy Mickiewicza w Lubinie.

– Dokładnie 17 kwietnia – precyzuje pani Lidia. – Zapisalam datę w kalendarzu, bo to mój najszczęśliwszy dzień w życiu. Pojechalismy do Lubina. Tak naprawde bylo to male mieszkanie, o powierzchni 32 m kw. Dwa pokoiki, malutka kuchenska oraz lazienka z toaletą, a my szczeniwi i zachwyceni, patrzyliśmy na nie, jak na jakiś pałac.



*Lidia i Robert na ślubnym kobiercu
stanęli w 1985 r.*

Dzieci, 6-letnią Karolinę i 3-letniego Huberta, umieścili w jednym pokoju, dla siebie mieli cały drugi. Pani Lidia zajmowała się wychowywaniem dzieci. Gdy chciała iść do pracy, mąż przekonywał ją do pozostania w domu. W 1995 r. urodziła trzecie dziecko – syna Kamila. Po kilku kolejnych latach przeprowadzili się do większego mieszkania, na Osiedlu Ustronie IV w Lubinie, w którym mieszkają do dziś.

■ Zjazdy na Barbórką

Na dole kopalni pani Lidia była cztery razy, zawsze z okazji święta Barbary. Pierwszy raz w 1993 r.

– Pamiętam, że zjeżdżałam klatką ze sztygarem Czesławem Wroną, potem jechaliśmy pociągiem, a na koniec wozem SWT na sam przodek. Przeżyłam szok i współczułam mężowi, że musi pracować w takich warunkach. Jednocześnie byłam jednak wewnętrznie przekonana, że nic mu się nie stanie. Może dlatego, że z natury jestem optymistką – stwierdza.

Na dole bywała w kilkuletnich odstępach, ostatni raz na początku tego wieku.

– Kolejne zaskoczenie, tyle że tym razem pozytywnie. Na dole miałyśmy toyoty, jechałyśmy autobusem, a kabina „torówki” mojego męża zrobiła na mnie największe wrażenie. Przypominała kokpit w samolocie – pełen różnych lamp i wskaźników z klimatyzacją i radiem.

■ Pożegnanie

W 2007 r. będąc na wczasach w Zakopanem dostał zawału serca.

– Obawiałem się bardzo tego, że lekarz zabroni mi jeździć na wozie. Miałem kilka lat do emerytury, a nie wyobrażałem sobie innej pracy. W końcu tak naprawdę nic innego nie umiałem robić. Na trzy lata ściągnęli mnie z maszyny, aż wreszcie kardiolog uznał, że mogę wrócić na swoje stanowisko.

Ostatnie trzy lata przepracował na „małej łyżce”. W marcu 2013 r. nabył prawo do emerytury, ale postanowił przepracować jeszcze pół roku, aby wziąć nagrodę za 30-lecie pracy. Ostatecznie pracę zawodową zakończył 29 stycznia tego roku.

– Całe swoje życie zawodowe spędziłem na tym jednym oddziale na „Lubinie” Zachodnim. Gdy się żegnałem, na imprezę przyszło ponad 90 osób, nawet wielu takich, których już nie pamiętałem, bo odeszli wcześniej. Chyba naprawdę mnie lubili. Mój kierownik Czesiu Wrona stwierdził, że w życiu nie widział takiego pożegnania – dodaje pan Robert na zakończenie wspomnień. ■

Dyrektorem „Medyka” był przez 20 lat. W tym czasie szkolne mury opuściło ponad 1000 pielęgniarek, z których większość pracowała bądź pracuje na terenie zagłębia miedziowego. Kiedyś w „Gazecie Wrocławskiej” ukazał się artykuł o Liceum Medycznym, w którym autor napisał, że jest to szkoła żon dla górników i ta opinia przylgnęła do nich na zawsze.

Franciszek Hawrysz, dyrektor Liceum Medycznego w Lubinie w latach 1972 – 1992, działacz sportowy, inicjator utworzenia sekcji piłki ręcznej kobiet w Zagłębiu Lubin.



Szkolił pielęgniarki i piłkarki

Na Ziemię Odzyskane Franciszek Hawrysz trafił 29 września 1945 r. Przyjechał z Kresów transportem rodzin, które miały osiedlić się w Brunowie. Jednak cztery z nich, w tym także Hawryszowie, zostały w podlubińskiej wsi Lerchenborg (w tłumaczeniu na język polski Gniazdo Skowronka), której nadano nazwę Skowronków, zmienioną później na Górzycą. Niemiec, rdzenny mieszkaniec wioski, wskazał im opuszczone gospodarstwo, w którym zamieszkali.

■ Musieli uciekać

Urodził się w Hrehorowie (województwo stanisławowskie), na kolonii Słoboda zamieszkałej wówczas przez 6 rodzin polskich i 16 ukraińskich. Niedługo po wybuchu wojny między ZSRR a Niemcami, na terenie obwodu pojawiły się bandy

UPA i zaczęły się „polowania” na polskie rodziny. Pewnego dnia 1943 r. sąsiadka – Ukrainka – ostrzegła ich, że bandyci planują wymordować wszystkie polskie rodziny w Hrehorowie. Jeszcze tej samej nocy przyjechał wujek i wywiózł ich samochodem do Łukowca. Na dwa lata przygarnęła ich obca rodzina, zamieszkali w jednym pokoju. Miał ośmioro rodzeństwa więc było bardzo ciasno. Dlatego od wiosny do późnej jesieni spał z braćmi w drewutni, a gdy było ciepło, w stodole na sianie.

W Łukowcu mieszkali sami Polacy, ale i tutaj nie byli bezpieczni. Do końca wojny każdej nocy mężczyźni strzelili przed bandami UPA. Wśród pilnujących byli również: ojciec pana Franciszka, Stefan oraz najstarszy brat Józef. Po wojnie jednym z pierwszych transportów wyjechali do Polski. Zabrali ze sobą dwie tony zboża

w workach, 15 kur i, podobnie jak filmowy Karł, krowę.

■ Szykany za brata

Przez pierwszy rok w Górzycy Franciszek Hawrysz pomagał rodzicom w gospodarstwie. Gdy w 1946 r. otwarto we wsi szkołę podstawową, o łączonych klasach 1 - 4, rozpoczął naukę. Klasy 6 - 7 ukończył w Krzeczynie Wielkim, potem poszedł do ogólniaka w Lubinie.

Po dwóch tygodniach nauki wezwał mnie dyrektor mówiąc, abym od jutra nie przychodził do szkoły. Później poinformował ojca, że dostał takie polecenie z komitetu partyjnego. Wszystko za sprawą brata Józefa, który został księdzem. W czasie wojny trzy razy był łapany i wysyłany na przymusowe roboty do Niemiec. Za każdym razem udawało mu się uciec z transportu (ostatni raz we Lwowie). Po tych traumatycznych przeżyciach postanowił poświęcić się służbie Bogu. Załamany wrócił do 7 klasy w szkole podstawowej w Lubinie, a po jej ukończeniu zdałem egzamin do Liceum Pedagogicznego w Legnicy. Pamiętam, że najbardziej obawiałam się egzaminu ze śpiewu. Na szczęście kazali mi śpiewać hymn Polski i jakoś sobie z tym poradziłem. Otrzymałem nawet ocenę trzy plus i zostałem przyjęty – Franciszek Hawrysz przywołuje z pamięci wydarzenia z tamtych lat.

■ Po wojsku do szkoły

Tym razem miał szczęście i nikt nie doniósł, że ma brata księdza. Ukończył liceum, otrzymał nakaz pracy w powiecie złotoryjskim i w 1956 r. został nauczycielem w Szkole Podstawowej w Twardocicach, w gminie Pielgrzymka. Przewodnicząc Gminnej Rady Narodowej zaprowadził go do opuszczonego budynku i kazał wybrać mieszkanie. Zamieszkał w jednopokojowym, uznając że więk-

sze nie jest mu potrzebne. Dyrektorką szkoły była Anna Gularska, która młodego nauczyciela przyjęła bardzo serdecznie.

– Również w 1956 roku w okolicy pojawił się Czarny Janek, awanturnik, który uciekł z Białostocznyny. Miał ze swoją grupą bazę w okolicach szczytu Ostrzyca, niedaleko Grodzca, ale często grasował na terenie gminy Pielgrzymka. Kiedyś nocował u rodziny pani dyrektor, bo wcześniej poznał jej męża Wacława Gularskiego, który malował popularne w tamtych czasach portrety. Gdy go złapali, w śledztwie ten fakt wyszedł na jaw i pan Wacław na trzy lata



W Sokolowcu założył również grupę teatralną. Na scenie, pierwszy z lewej, F. Hawrysz w roli literata.

trafił do więzienia. Mocno to przeżyłem, tym bardziej, że z szykanami ze strony władzy ludowej zetknąłem się po raz wtóry – wspomina F. Hawrysz.

Być może Czarny Janek (Jan Bogdziewicz) był członkiem ruchu oporu i ofiarą stalinowskich represji. Wiadomo, że został stracony we wrocławskim więzieniu w 1956 roku. Do dziś nie wiadomo, kim był naprawdę – przyp. redakcyjny.

W 1957 r. został wcielony do 6 Pułku Latającego Lotnictwa Szturmowego w Pile. Po przysiędze prowadził dwie kancelarie – tajną oraz zwykłą i bardzo sobie chwali pobyt w wojsku, chociaż – jak mówi – do przysięgi nieźle dostał

W konkursie organizowanym przez redakcję "Gromada-Rolnik Polski" i Radę Główną Zrzeszenia Ludowe Zespoły Sportowe pod hasłem "Boisko w każdej wsi"

L Z S i S K S w S O K O Ł O W C U
Z A J A Z I M I E J S C E

Decyzją komisji konkursowej przyznajemy Wam I nagrodę sprzęt sportowy wartości 30 tys. zł.

Redaktor Naczelny
Irena Grosz

Przewodniczący Rady Główny
Zrzeszenia LZS

S. Drążdżewski

"Prasa", Sm. 10. Z. 223

Stadion w Sokołowcu o wartości 1 mln zł, wybudowany w czynie społecznym z inicjatywy szkolnego koła LZS SKS za kwotę 38 tys. zł, zajął pierwsze miejsce w ogólnopolskim konkursie Rady Głównej LZS i redakcji „Gromada Rolnik Polski”.

w kość. Po dwóch latach wrócił do Twardocic, a po 10 miesiącach został kierownikiem szkoły w Sokołowcu, gdzie pracował do 1964 r.

■ **Zadecydował przypadek**

Kopalnia Nowy Kościół była oddalona od Sokołowca zaledwie o 3 km. To zaowocowało kontaktami Franciszka Hawryśa, początkowo z pracownikami tej kopalni następnie innych zakładów górniczych. W tamtym okresie poznał m.in. Alfreda Wołczyńskiego, wówczas dyrektora ZG Lena w Wilkowie. Nie przypuszczał nawet jak bardzo zdecyduje to o jego przyszłym życiu.

W czerwcu 1964 r. przyjechał do Lubina. Przypadkowo spotkał się właśnie z A. Wołczyńskim, który pracował już w Lubinie i namówił go na pozostanie w mieście. Został komendantem Hufca ZHP w powiecie lubińskim, w sierpniu tego samego roku otrzymał mieszkanie z tzw. puli pracowników niezbędnych.

- Wszystko zawdzięczam dyrektorowi Wołczyńskiemu, nawet przeprowadzkę, bo za jego sprawą lubińska PBK przetransportowała mnie do

Lubina. Pamiętam, że w Radzie Miejskiej wpłaciłem kaucję za mieszkanie wysokości dwóch miesięcznych poborów, a zarabiałem wówczas 1700 zł i tym sposobem zostałem lubinianinem. Wkrótce rozpoczęliśmy z pomocą Przedsiębiorstwa Budowlano Montażowego Przemysłu Ciężkiego w Lubinie, którego dyrektorem był Alfred Duś, budowę ośrodka w Wygnańcach, do dziś służącego harcerzom z naszego regionu – dodaje pan Franciszek.

■ **Szkola żon**

Po dwóch latach przeszedł do pracy w Wydziale Oświaty i Kultury w lubińskiej radzie powiatowej. Jako podinspektor sprawował nadzór nad przedшкоlami (dwa z nich podlegały kombinatowi) i szkołami. Zajmował się sprawami bhp, sportu szkolnego i opieki społecznej.

Gdy w 1972 r. utworzono Liceum Medyczne, aby dziewczęta, m. in. córki górników, miały gdzie kontynuować naukę na poziomie szkoły średniej, jemu zaproponowano funkcję dyrektora.

Przez rok klasy pierwsze uczyły się kątem w Liceum Ekonomicznym, potem szkoła otrzymała bu-

dynek na terenie KGHM. Zakładem opiekuńczym liceum (zgodnie z obowiązującym zwyczajem szkoły miały wyznaczonych opiekunów) zostało Przedsiębiorstwo Budowy Kopalni Rud w Częstochowie, którego dyrektorem był wtedy Andrzej Duś. Współpracę z nim pan Franciszek do dziś bardzo miło wspomina.

Dyrektorem „Medyka” był przez 20 lat. W tym czasie szkolne mury opuściło ponad 1000 pielęgniarek, z których większość pracowała bądź pracuje na terenie zagłębia miedziowego. Kiedyś w „Gazecie Wrocławskiej” ukazał się artykuł o Liceum Medycznym, w którym autor napisał, że jest to szkoła żon dla górników i ta opinia przylgnęła do nich na zawsze.

■ W nagrodę komplet koszułek

Przygodę ze sportem Franciszek Hawrysz rozpoczął jeszcze w Liceum Pedagogicznym w Legnicy. W SKS „Przyszłość”, którego opiekunami było zastrzeżone dla rozwoju kultury fizycznej w Legnicy małżeństwo Olga i Józef Starościakowie, został przewodniczącym koła. Mało kto dziś wie, że to właśnie Starościakowie zorganizowali pierwszy w Polsce pokaz gimnastyczny dzieci na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu. Z Legnicy na pokaz pojechało 15 autobusów z uczniami klas I – IV.

W Twardocicach utworzył szkolną drużynę piłki ręcznej dziewcząt, która zajęła I miejsce w XI mistrzostwach powiatu złotoryjskiego, co było ogromną sensacją. W nagrodę drużyna otrzymała komplet koszułek, z czego dziewczęta ogromnie się cieszyły. Szczypiorniak stał się jego życiową pasją.

Już po roku pobytu w Lubinie założył Szkolny Związek Sportowy, który organizował szereg imprez sportowych. W Szkole Podstawowej nr 1 w Lubinie wychowania fizycznego dziewcząt uczyła pani Helena Hawrysz, małżonka pana Franciszka, natomiast chłopców Jan Surówka. Drużyna dziewcząt zdobyła mistrzostwo powiatu lubińskiego, a zespół chłopców wicemistrzostwo Dolnego Śląska.

■ Z własnej kieszeni

Większość chłopców z zespołu, po ukończeniu podstawówki, kontynuowała naukę w Technikum Górniczym, natomiast dziewczęta w Liceum Ekonomicznym.

– Szkoda było marnować taki potencjał, więc w 1969 r. pojechałem do Wrocławia, z propozycją utworzenia Międzyszkolnego Klubu Sportowego, z sekcjami piłki ręcznej dziewcząt

i chłopców, bo zgodnie z wówczas obowiązującymi przepisami MKS-y były finansowane przez wojewódzki SKS. Jak na ironię jego szefem był Ryszard Helemejko, znany międzynarodowy sędzia piłki ręcznej, który na to nie przystał... Byłem uparty i zgłosiłem w Okręgowym Związku Piłki Ręcznej drużynę dziewcząt do rozgrywek w klasie A. Przez rok był to de facto mój prywatny klub, w którym byłem również trenerem. Przed meczami wyjazdowymi dziewczęta brały kanapki z domu, a ja załatwiałem autobusy na wyjazd, w czym pomagały mi ZG Lubin i zakłady budujące KGHM. Jako gospodarze mecze rozgrywaliśmy na boisku asfaltowym w Szkole Podstawowej nr 1. Koszty pracy sędziów częściowo pokrywał Wydział Oświaty, a czasami sami się składaliśmy. Nie było to duże kwoty, bo delegacja sędziego kosztowała 40 zł. Gdy rozgrywki zbliżały się do końca, ponownie pojechałem do Wrocławia. Ryszard Helemejko widząc, że dobrze sobie radzimy, oświadczył, że zgodzi się na utworzenie MKS, pod warunkiem awansu zespołu do ligi juniorek – wspomina Franciszek Hawrysz

■ Pierwsza w historii

To stało się faktem po wygranej w decydującym spotkaniu 16:8 z Nysą w Kłodzku. W 1969 r. powstał MKS Cuprum Lubin, dając początki rozwoju piłce ręcznej w Lubinie.

Drużyna dziewcząt odnosiła sukcesy w lidze, awansowała m.in. do finału mistrzostw Polski juniorek. W drużynie występowały takie zawodniczki jak: Anna Langner, Stanisława Żywiecka, Ewa Sosta, Jolanta Seweryn czy Bożena Masternak. Część z nich po ukończeniu liceum kontynuowała naukę w WSP w Opolu i grała w Starcie Opole.

– Anna Langner była pierwszą piłkarką ręczną w historii Lubina, którą wytransferowaliśmy do innego miasta. Wtedy nie było jeszcze oficjalnych transferów, a klub z Kielc, za zgodę na grę zawodniczek w ich zespole, zorganizował nam dwutygodniowy obóz kondycyjny – dodaje pan Franciszek.

■ Przyszli do Medyka

Gdy w 1972 r. został dyrektorem Liceum Medycznego, nie zrezygnował ze swojej pasji sportowej. Drużyna pań występująca w lidze okręgowej oparta była w głównej mierze na uczennicach

jego liceum. Po Lubinie krążyła nawet fama, że jak dziewczyna umie dobrze rzucać piłką, to Hawrysz przyjmie ją do Medyka.

- Tak był rzeczywistość. Na początku każdego roku robiłem sprawdzian sportowy z uczennicami i najlepsze gromadziłem w klasie A, umownie nazywanej sportową, choć wtedy jeszcze takich klas nie było. To bardzo ułatwiało nam później wszelkie sprawy organizacyjne związane z treningami i wyjazdami na mecze - wyjaśnia.

Po kilku latach zrodziła się myśl zorganizowania sekcji piłki ręcznej kobiet w klubie Zagłębie Lubin, aby absolwentki liceum mogły kontynuować karierę w Lubinie. Prezesem klubu, który miał

■ Trafiły do Zagłębia

W 1982 r. warunek został spełniony. Zagłębie wyraziło zgodę na utworzenie sekcji piłki ręcznej kobiet i przyjęło pod swoje skrzydła drużynę MKS Cuprum. F. Hawrysz namówił Henryka Kruglińskiego, wtedy dyrektora OSIiR, na objęcie funkcji wiceprezesa ds. piłki ręcznej, a obowiązki kierownika sekcji przyjął Jan Pawlak, dyrektor ds. pracowniczych Zakładu Transportu KGHM.

- Z moich wychowanek największe sukcesy odnosiła Renata Żukiel Jakubowska, obecna II trener drużyny Zagłębia. Zdobywała medale mistrzostw Polski w Lubinie i Lublinie, grała w reprezentacji Polski. Dużym, choć niespełnionym talentem była Ewa Chomiczewska, która trafiła



ok. 1970. Drużyna junierek MKS Cuprum Lubin. Pierwsza z prawej w II rzędzie Bożena Kazimierczak, trzecia z lewej Anna Langner.

w tamtym czasie 8 sekcji, z tego 6 w I lidze, był Witold Parchimowicz. W rozmowie z Franciszkiem Hawryszem stwierdził, że przyjmie zespół do klubu w przypadku awansu do II ligi.

do nas z SP nr 1 w Chojnowie i razem z Renatą była powoływana do kadry Polski. Z Chojnowa trafiły do nas i kontynuowały karierę w MKS Cuprum także inne znakomite zawodniczki, jak



Rok 1970. Drużyna juniorek MKS Cuprum Lubin. Pierwsza z prawej w II rzędzie Bożena Kazimierczak, trzecia z lewej Anna Langner.

Beata Wylęgła, Pakosz czy Kisielevska – wlicza F. Hawrysz podsumowując swoją sportową działalność.

■ Kronikarz sportu

W 1984 r. napisał na Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu pracę doktorską pt. „Rozwój kultury fizycznej w Legnicko-Głogowskim Zagłębiu Miedziowym w latach 1945-1975”.

Przejdzie na emeryturę nie zmieniło zainteresowań doktora Franciszka Hawrysza. Nadal pasjonuje się sportem i szeroko pojętą kulturą fizyczną. Założył stowarzyszenie Lubiński Klub Olimpijczyka, którego głównym celem jest m.in. propagowanie i krzewienie idei kultury olimpijskiej zgodnie z tradycją polskiego i międzynarodowego ruchu olimpijskiego oraz kartą olimpijską, organizowanie Dni Olimpijczyka oraz pomoc uzdolnionej sportowo młodzieży.

Przez wszystkie lata działalności sportowej gromadził pamiątki oraz kroniki, zdjęcia i artykuły prasowe na temat sportu w Zagłębiu Mie-



Rok 1997. Wojewódzka inauguracji Dni Olimpijczyka w Przemykowie. Trzeci od lewej stoi F. Hawrysz.

dzioym. Na bazie tych zbiorów LKO otworzył w Górzycy Muzeum Sportu. Niestety z powodu braku środków na jego utrzymanie oraz małego zainteresowania, muzeum zostało zamknięte w 2007 r. W 2011 roku wydał książkę pt. „Piłka ręczna kobiet w Lubinie w latach 1968 - 2011”, a w 2014 r. monografię wsi Górzycy pt. „Skowronków mój dom”. ■

słownik terminów

- **analyzer fluorescencyjny** – urządzenie laboratoryjne przeznaczone do analiz pierwiastków występujących w próbkach stałych i ciekłych
- **anhryd** – substancja krystaliczna o barwie niebiesko-szarej, rzadziej białej lub kremowej. Łatwo wchłania wodę, co powoduje zwiększenie jej objętości nawet o 60%, może przy tym pękać i się rozwarstwiać
- **badania mineralogiczne i petrograficzne** – badania rud oraz form ich występowania i okruszczenia; potrzebne do opracowywania technologii przeróbki
- **chodnik** – w górnictwie podziemnym wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), nie mające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi. Drażony jest w złożu i daje urobek będący kopalnią użyteczną
- **czerwony spągowiec** – nazwa kompleksu permskich skał osadowych pochodzenia lądowego i skał wulkanicznych powstałych w permie, w basenie sedimentacyjnym obejmującym znaczne obszary Europy Północnej i Środkowej
- **diagonala** – wyrobisko podziemne drążone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu
- **fedrunek** (niem. Förderung – wydobywanie) – wydobywanie fragmentów złoża przez oddzielanie ich od jego całości
- **filtr workowy** – element systemu odpylania o wysokiej wydajności i skuteczności, stosowany do pyłu o szczególnie trudnym charakterze, także wybuchowym
- **flotacja** (wzbogacanie flotacyjne) – proces rozdziału rudy na frakcje o różnicowanej zawartości składników użytecznych, wykorzystujący różnice zwilżalności ziaren poszczególnych minerałów
- **hajer** – w gwarze śląskiej górnik, pracownik fizyczny
- **kasza** – sztuczny filar z bali drewnianych ułożonych na przemian w warstwach i zasypyany rumowiskiem skał plynnych
- **kawerna** – pusta przestrzeń w skałach, powstała w wyniku procesów naturalnych ługowania, czyli rozpuszczania składników skalnych
- **kopalnia Upadowa Grodziec** – położona w starym zagłębiu miedziowym, od 1958 roku włączona do ZG Konrad
- **kotwiarka** – urządzenie do wiercenia otworów w podziemnych wyrobiskach górniczych w celu mocowania kotew w monolitycznym podłożu
- **kurzawka** – drobnoziarnisty luźny osad, np. piasek lub muł nasycony wodą pod znacznym ciśnieniem
- **łupki miedzionośne** – skały ilasto-dolomityczne o wyraźnym wierzstwowaniu z bogatą mineralizacją siarczkową miedzi, głównie chalkozyn, bornit oraz chalkopiryt
- **markownia** – naziemna część kopalni, gdzie przechowywano tzw. marki - indywidualne znaczki górników (przypominające np. numerki z szatni)
- **maszyna bębnowa** – maszyna wyciągowa do głębinienia szybu, której fundament zazwyczaj po zakończeniu głębinienia szybu jest demontowany
- **maszyna flotacyjna** – podstawowe urządzenie do pozyskiwania minerałów użytecznych z rud metali nieżelaznych i innych surowców metodą flotacji
- **maszyna typu Koepe** – 4-linowa maszyna wyciągowa z napędem bezpośrednim i silnikiem trójfazowym, który przy mocy 4.200 kW napędza dwupoziomą klatkę
- **miąższość** – grubość warstwy (np. skalnej), kompleksu warstw lub innych struktur geologicznych, mierzona pomiędzy stropem a spągami
- **obwał** – opad skał stropowych do wyrobiska, nie powodujący jednak jego niedrożności
- **ocios, zrzęb** – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płożnej lub w kopalinie użytkowej
- **odprężenie górotworu** – zjawisko podobne do tąpnięcia, lecz o słabszym natężeniu i mniejszych skutkach. Między odprężeniem górotworu i tąpnięciem nie ma wyraźnej granicy, a ich rozgraniczenie zostało przyjęte w sposób umowny
- **okorki** – materiały drewnne, pochodzące z obwodowej części kłody, których zewnętrzna powierzchnia na części lub na całej długości może mieć kształt obły
- **planimetrować** – wykonywać pomiary powierzchni nieregularnych na płaszczyznach map, rysunków za pomocą planimetru
- **pochylnia** – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki, drążone od dołu do góry, z transportem realizowanym z poziomu górnego na dolny
- **próbka bruzdowa** – próbka kopaliny pobrana z calizny prostopadle do uwarstwienia pokładu od stropu do spągu, przez wycięcie bruzdy szerokości 25 cm i głębokości 15 cm
- **przeciwbieżny odpylacz cyklonowy** – nowej generacji urządzenie służące do odpylania spalin
- **Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa** – jego początki sięgają 1947 roku, w 1959 r. zmieniło nazwę na Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Kopalni Miedzi (PBMKRM). Po zmianach organizacyjnych w grudniu 1968 r. przekształcono w Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Przemysłu Ciężkiego w Lubinie (BMPMC). W 1977 r. przyjęło nową nazwę Przedsiębiorstwo Budowlano - Montaże Hutnictwa
- **Przedsiębiorstwo Budowy Kopalni Rud w Bolesławcu (PBK, PBKR, PRG, ZBK, ZRG)** – powołane w 1951 r. celem

budowy kopalni w starym zagłębiu miedziowym. Wielokrotnie zmieniano swoją nazwę i status organizacyjny, np. w 1960 w miejsce PBKR w Bolesławcu, powołano Przedsiębiorstwo Budowy Kopalni Rud Miedzi w Lubinie, które zostało generalnym wykonawcą robót górniczych w LGOM. W 1991 r. przedsiębiorstwo przekształcono w oddział KGHM pod nazwą Zakład Budowy Kopalni (ZBK). Dwa lata później powołana została spółka prawa handlowego pod nazwą PeBeKa Sp. z o.o. W styczniu 1997 r. połączono ją z Przedsiębiorstwem Robót Górniczych w Lubinie (PRG), a od 1 stycznia 1999 r., po przekształceniu w spółkę akcyjną, firma funkcjonuje jako Przedsiębiorstwo Budowy Kopalni PeBeKa S.A.

• **przenośnik zgrzeblowy** – urządzenie transportowe typu przesuwającego, w którym przymocowane do łańcucha (łańcuchów) elementy poprzeczne – zgrzebla przesuwają urobek w sposób ciągły w określone miejsce

• **przodek** – końcowa część wyrobiska, w którym odbywa się eksploatacja złoża

• **skała płonna** – skała, która przy wydobywaniu ze złoża określonej kopaliny, jest uważana za nieużyteczną

• **skreper** – maszyna do odpajania gruntu, przewozu i wyładowania urobku w określonym miejscu, zgarbiarka

• **SOWI** – Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego utworzony na podstawie zarządzenia dyrektora naczelnego KGHM z 17 maja 1966 r. Nazwę zakładu zmieniono na podstawie zarządzenia dyrektora z 19 grudnia 1974 r. na Zakład Robót Górniczych, a następnie na - Przedsiębiorstwo Robót Górniczych, które zostało wchłonięte przez Przedsiębiorstwo Budowy Kopalni PeBeKa S.A.

• **spąg** – dolna powierzchnia warstwy skalnej, pokładu lub wyrobiska

• **stropnice płytowe** – okładziny obudowy kotwicznej stosowane do poprzecznej i wzdłużnej obudowy stropów oraz ociosów wyrobisk górniczych

• **szachciak** – gumowane, nieprzemakalne ubranie robocze

• **szczelina pikotażowa** – szczelina między tubingami stanowiącymi obudowę szybu górniczego

• **sztolnia** – wyrobisko korytarzowe o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry do złóż kopaliny użytecznej

• **szytygar (niem. steiger)** – nazwa stanowiska kierowniczego w górnictwie. Szytygar zajmuje się dozorem technicznym, a także częściowo administruje pracę górników

• **szyb** – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyle o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytecznej lub łączące wyrobiska poziome pod ziemią i nie mające ujścia na powierzchnię (szyb ślepy)

• **szyblik** – rodzaj wyrobiska górniczego. Swoją budową przypomina szyb, jednak nie łączy wyrobisk podziemnych z powierzchnią, lecz poszczególne poziomy kopalni ze sobą

• **system komorowo-filarowy** – sposób wybierania złoża jednym frontem eksploatacyjnym, składającym się z szeregu równoległych przodków komorowych łączonych pasami, między którymi pozostawiane są filary technologiczne dla zapewnienia stateczności stropu w przestrzeni roboczej

• **tąpnięcie** – dynamiczne rozładowanie energii potencjalnej sprężystości skał, połączone z wyrzuceniem materiału skalnego do wyrobiska lub zniszczeniem jego obudowy

• **tektonika** (gr. tektonike – sztuka budowy) – nauka o budowie skorupy ziemskiej oraz o procesach wpływających na nią

• **tubingi** – (z ang. tube – rura) – rodzaj obudowy tunelu lub kanału wykonanej z metalu. Połączone tubingi tworzą pierścienie, stanowiący ścianę kanału. Najczęściej wykorzystywane są do budowy szybów wentylacyjnych, szybów kopalnianych czy tuneli metra

• **upadowa** – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki – drążone po upadzie (od góry do dołu),

• **uskok** – struktura tektoniczna powstała w wyniku rozrywania mas skalnych i przemieszczenia ich wzdłuż powstałej powierzchni (lub wąskiej strefy zniszczenia), zwanej powierzchnią uskoku (lub strefą uskokową)

• **wrębniarka** – maszyna górnicza, wykonująca wręby w złożu, składa się z głowicy z wrębnikiem, silnika (elektrycznego lub pneumatycznego) i ciągnika

• **wręboladowarka** – maszyna górnicza wykonująca wręb w kalźnie i ładująca urobek na znajdujący się obok przenośnik

• **wyrobisko** – przestrzeń powstała w wyniku robót górniczych

• **zagęszczacz** – maszyna służąca do zagęszczania. Zagęszczanie grawitacyjne w zagęszczaczach typu Dorra jest pierwszym etapem odwadniania koncentratu flotacyjnego

• **Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR)** – Oddział KGHM Polska Miedź S.A., którego zadaniem jest wzbogacenie rud wydobywanych w oddziałach górniczych. Składa się z trzech rejonów zlokalizowanych przy szybach wydobywczych kopalni: Lubin, Polkowice-Sieroszewice i Rudna

• **zawał** – niezamierzone, grawitacyjne przemieszczenie się mas skalnych lub kopaliny ze stropu albo ociosu w stopniu powodującym niemożność przywrócenia pierwotnej funkcji wyrobiska w czasie krótszym niż 8 godzin

• **ZG Konrad w Iwinach** – zlokalizowane na południowy wschód od Bolesławca. Składały się z trzech rejonów eksploatacyjnych: „Konrad”, „Upadowa Grodziec” i „Lubi-chów”. Działalność zakończyły z końcem 1989 r.

• **ZG Lena w Wilkowie** – znajdowały się w synklinie złoto-ryjskiej na południowy wschód od Złotoryi. Pod koniec II wojny światowej uległy zatopieniu. W 1948 roku, rozpoczęto prace nad odwołaniem i uruchomieniem kopalni. Eksploatację rozpoczęto w 1950 r. a zakończono w grudniu 1973 r. z powodu wyczerpania złóż

DOMEYKO PATRONEM KOPALNI KGHM W CHILE

Wystawę zdjęć z chilijskiej kopalni Sierra Gorda, należącej do spółki KGHM Polska Miedź, prezentowano we wrześniu, w siedzibie Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie. Wśród pięćdziesięciu unikatowych fotografii dokumentujących m.in. historię budowy kopalni Sierra Gorda, znalazły się zdjęcia i materiały ilustrujące życie i osiągnięcia Ignacego Domeyki, honorowego patrona tej inwestycji.

- Inwestując w Chile, podążyliśmy śladami wielkiego Polaka, który podobnie jak my podjął odważną decyzję o wyruszeniu w świat. Wierzę, że przetarty przez KGHM szlak w globalnej branży górniczej zostanie optymalnie wykorzystany przez polskie firmy, dla których będzie to impuls do międzynarodowej ekspansji i rozwoju - mówił Herbert Wirth, prezes KGHM podczas otwarcia wystawy.

Prace w kopalni Sierra Gorda ruszyły już pod koniec lipca br., dziesięć lat po rozpoczęciu badań eksploracyjnych. Docelowo ma ona produkować ponad 200 tys. ton miedzi, 25 mln funtów molibdenu i 64 tys. uncji złota rocznie. Uroczyste otwarcie kopalni, połączone z nadaniem jej imienia Ignacego Domeyki, odbyło się 1 października. W ten sposób KGHM podkreślił, że jako spółka o globalnym charakterze, nie traci kontaktu ze swoimi korzeniami w Polsce.

Wywodzący się z ziemiaństwa Domeyko aktywnie uczestniczył w pracach Towarzystwa Filomatów, był represjonowany. Na wieść o wy-



Domeyko z synami

- jedna z fotografii prezentowanych na wystawie.



KGHM jako spółka o globalnym charakterze nie traci kontaktu ze swoimi korzeniami w Polsce – mówił prezes Herbert Wirth podczas otwarcia wystawy.

nes). Początkowo pracował w Europie, jednak przystał na propozycję objęcia stanowiska wykładowcy chemii i mineralogii w Coquimbo, w północnym Chile. Jak się okazało, został człowiekiem, który dał podwaliny pod rozwój chilijskiego górnictwa metali i metalurgii. W toku swojej działalności dokonał szeregu obserwacji i badań geologicznych. Niektóre z nich są wciąż aktualne. Domeyko jest uważany za jednego z odkrywców złóż El Teniente, które do dziś jest jednym z największych porfirowych złóż miedziowo-molibdenowych na świecie.

Obecnie wystawa prezentowana jest w miastach zagłębia miedziowego. Po Lubinie, gdzie była prezentowana w CK Muza, będzie można ją oglądać w Głogowie, Legnicy i Polkowicach. Trafi również do AGH w Krakowie i na Politechnikę Wrocławską.

Organizatorem wystawy jest KGHM Polska Miedź S.A. Patronat honorowy objęło Ministerstwo Skarbu Państwa oraz Ambasada Republiki Chile w Rzeczypospolitej Polskiej. Kuratorem wystawy jest Krzysztof Kułacz z KGHM.

buchu Powstania Listopadowego dołączył do korpus generała Dezyderego Chłapowskiego. Jednak klęska powstania wymusiła emigrację. Poprzez Saksonię trafił do Francji, gdzie ukończył prestiżową Szkołę Górniczą (École des Mi-



Kopalnia odkrywkowa Sierra Gorda

SKARBEEK I ŚW. BARBARA

W sierpniu, w hotelu Skarbek w Lubinie, odbyła się wystawa prac plastycznych o tematyce górniczej. Wzięło w niej udział 16 artystów zrzeszonych w Lubimskim Stowarzyszeniu Twórców Kultury, którzy zaprezentowali swoje dzieła nawiązujące do pracy w kopalni i do górniczych tradycji.

Na ekspozycję złożyły się obrazy wykonane w różnych technikach (olej, haft, grafika szklana), rzeźby i płaskorzeźby. Najczęstszym tematem prac był Skarbek i św. Barbara, ale twórców inspirowały również kopalniane podziemia: sztolnia, górnik



← „Święta Barbara”
Stanisław Ryzek

↑ „Barwy miedzi”
Urszula Urbaniak

przy pracy, maszyny górnicze, jak i abstrakcyjne motywy - barwy miedzi.

Część spośród tych dzieł można obejrzeć w restauracji Pod Szybem, należącej do spółki Lubinpex, która wspólnie z KGHM zorganizowała wystawę, przy finansowym wsparciu Fundacji Polska Miedź. Ekspozycji patronowali: Marek Bestrzyński - dyrektor naczelny Centrali KGHM Polska Miedź S.A., Ryszard Plichta - prezes zarządu PHU Lubinpex Sp. z o.o. i Janina Komarnicka - prezes Lubimskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Kuratorem wystawy był Krzysztof Kułacz, Sekretarz Fundacji Polska Miedź.

CZTERDZIESTKA „RUDNEJ”

We wrześniu br. Zakłady Górnicze Rudna obchodziły okrągły jubileusz 40-lecia. Kopalnia została oddana do użytku 1 sierpnia 1974 roku, jako trzecia w nowym zagłębiu miedziowym, po „Lubinie” i „Polkowicach”. Budowano ją najkrócej, bo zaledwie przez cztery lata, opierając się na pionierskich doświadczeniach z uruchamiania jej poprzedników.

W „Rudnej” od początku postawiono na najwyższy poziom techniki, dzięki temu dziś lokuje się ona w światowej czołówce kopalń XXI w. Obecnie, jako największy Oddział (działa na obszarze 78 km kw.), ma decydujący udział w ogólnej produkcji KGHM; wydobywa się tu ok. 44 tys. ton rudy dziennie.

Warunki geologiczne, górnicze i ekonomiczne wciąż stawiają przed załogą nowe ambitne wyzwania. Jednym z nich jest rozpoczęcie w kwietniu br. eksploatacji na poziomie 1200 metrów w ramach projektu „Głogów Głęboki Przemysłowy”. (Plany na najbliższe lata zakładają

pokonanie kolejnej bariery - zagospodarowanie złożeń nawet do 1300 m). Stworzenie możliwości wydobycia na tak znacznej głębokości otworzyło szanse dalszego rozwoju górnictwa miedziowego, zapewniając tym samym pracę mieszkańcom zagłębia miedziowego na następne 40 lat. Dziś kopalnia zatrudnia ok. 4600 osób.

Z okazji jubileuszu ukazała się kronika - „Historia z przyszłością. 40 lat Zakładów Górniczych „Rudna”. Oprócz rysu historycznego i opisu dokonaniań technicznych wydawnictwo zawiera ciekawe i pełne emocji opowieści ludzi związanych z kopalnią. Mówią oni o tym, jak ich zawodowe i prywatne losy spletały się z historią Oddziału.



W obchodach wzięli udział Włodzimierz Miesowicz, pierwszy dyrektor ZG Rudna (po prawej), obok obecny dyrektor - Mirosław Łaskowski.

Jednym z filarów Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR) w KGHM Polska Miedź S.A. jest działalność dobroczynna realizowana przez powołaną w 2003 roku Fundację Polska Miedź, która wspiera realizację projektów społecznie użytecznych oraz pomaga w leczeniu i rehabilitacji osób, które znalazły się w trudnej sytuacji finansowej spowodowanej chorobą.

Darowizny Fundacji Polska Miedź:

- umożliwiają doposażenie szpitali i placówek medycznych w nowoczesny sprzęt i aparaturę;
- pomagają chorym i niepełnosprawnym w zakupie leków, sprzętu rehabilitacyjnego i wyjazdach na turnusy rehabilitacyjne;
- trafiają do szkół, placówek oświatowych, pracowni edukacyjnych, bibliotek, świetlic środowiskowych;
- dają dzieciom szansę skorzystania z wyjazdów na kolonie, zielone szkoły;
- wspierają przedsięwzięcia popularyzujące sport i budowę bazy sportowo-rekreacyjnej;
- pomagają kultywować tradycję górniczo-hutniczą regionu;
- ratują obiekty zabytkowe;
- sprzyjają organizacji imprez kulturalno-artystycznych;
- wspierają zakup sprzętu ratowniczego;
- pomagają w likwidacji skutków klęsk żywiołowych.

Każdy może wesprzeć prospołeczną działalność Fundacji Polska Miedź - wystarczy w rocznym zeznaniu podatkowym wskazać ją jako odbiorcę 1% podatku, wpisując numer KRS: 0000154740

Jednym z celów
Fundacji jest
pielegnowanie historii
i tradycji Polskiej Miedzi

